

URSZULA JAKSIK

DOM
NAD
BRZEGIEM
OCEANU



Pascal

URSZULA JAKSIK

DOM
NAD
BRZEGIEM
OCEANU



Pascal

Podziękowanie

Pragnę podziękować wspaniałym ludziom, których spotkałam na swojej drodze i dzięki którym powstała ta książka. To oni mnie inspirowali, wspierali swoimi radami, dopingowali do jej pisania.

Edwardowi Świtalskiemu za to, że zawsze był gotowy, by rozmawiać ze mną - czasem bardzo szczegółowo - na tematy związane z życiem codziennym na Islandii. Okazał się również cierpliwym i życzliwym słuchaczem.

Moim przyjaciółkom: Hani i Małgosi za to, że były skrupulatnymi recenzentkami tej książki i dostarczyły mi cennych sugestii.

Tym, których najtrudniej kochać.

Rozdział 1

Konrad rozsiadł się w fotelu. Stewardesa podała napoje. Wracał do Warszawy. Czuł się bardzo zmęczony i przegrany. Bolały go mięśnie i mocno dawała mu się we znaki nieprzespana noc. Najchętniej zapadłby w głęboki sen, by zapomnieć o wszystkim, lecz wiedział, że w samolocie nigdy mu się to nie udawało. Nie chciał analizować tego, co przeżywał przez miniony weekend. Sącząc drinka, sięgnął po czasopismo leżące na stoliku.

- No i jaka złośliwość losu! - zirytował się. Otworzył je na zupełnie przypadkowej stronie i przeleciawszy wzrokiem, natknął się na tekst Światowej Organizacji Zdrowia, jedyny temat, w który nie miał ochoty wnikać.

Wracał z Afryki, rozczarowany do granic możliwości. Zuluski czarownik w Suazi po całonocnym, bardzo ekspresyjnym rytualnym tańcu nakazał mu uciekać, pożegnać się z dotychczasowym życiem i zmienić tożsamość. Miał spalić wszystkie swoje ubrania, unikać miejsc, w których dotąd bywał, porzucić wszystko, z czym się czuł związany: dom, rodzinę, a zwłaszcza swoje imię. Powinien niezwłocznie zatrzeć wszelkie ślady łączące go z Konradem Kostrzewskim. Jeśli tego nie zrobi - umrze, bo jego ciałem zawładnęła Zła Moc.

Nie po to poleciał do dżungli, by jakiś prymitywny gość straszył go, że umrze. O tym już dawno wiedział. Potrzebował jego nadprzyrodzonej mocy, by zwyciężyć to cholerstwo, które zatruwało mu życie. Jaki był naiwny! Jeszcze jakieś trzy lata temu nie przyszyłoby mu do głowy korzystać z takich usług, ale teraz... Przymknął oczy i natychmiast zawładnęły nim przeżycia sprzed kilkunastu godzin.

O świcie kapłan złożył ofiarę z byka, czarnej świni i dziesięciu kurczaków.

Z ofiarnego mięsa przygotowywano przez resztę dnia pokarmy dla bogów. Miało być ich tyle, ilu bogów zostanie przywołanych. Jego danina była hojna, więc zaproszono wielu.

Właściwa część obrzędu rozpoczęła się po zachodzie słońca. Rozpalono dwa duże ogniska. Iskry strzelały wysoko w górę. Zaczęto walić w bębny, które wzywały bóstwa na ceremonię. Na ten sygnał pojawili się pierwsi tancerze, nasilały się rytmiczne uderzenia w bębny. Krąg tańczących stale się powiększał. Z różnych stron dochodziły kolejne grupki ludzi. Bose stopy wzniewały rudawy pył, który unosił się i przyklejał do spoconych ciał. Jak mu wyjaśniono, pieśni i tańce wykonywane przez uczestników ilustrowały epizody z życia bogów. Po godzinie tancerze przyspieszyli, wirowali wokół ognisk, wydając z siebie rytmiczne gardłowe dźwięki. Nagle z tej plątaniny spoconych ciał i dymu wyłonił się szaman i zbliżył do niego. Ukryty za maską o straszliwym wyglądzie, namaszczał go palcami ociekającymi krwią kurczaka, tańczył wokół niego, chuchał słodkawym dymem w twarz.

Konrad przez otwory w masce widział przekrwione oczy uzdrowiciela. Bardzo chciał

oddać się temu poruszającemu się w głębokim transie człowiekowi, starał się uwierzyć, że szaman rzeczywiście łączył się z jakąś Mocą, która go uleczy. Ale nie potrafił. Przeciwnie, z coraz większym

dystansem oglądał spektakl przygotowany specjalnie dla niego.

Po wykonaniu tańca odsyłającego bogów uczestnicy obrzędu zasiedli do uczy. Wtedy szaman wręczył mu zioła. Tłumacz zaś poinformował go, że trzeba je po odrobinie dodawać do każdego pokarmu i zakończyć spożywanie przed pełnią księżyca. Czarownik, machając rękami, podskakując wysoko i momentami wyjąc jak dzikie zwierzę, przekonywał go o konieczności ucieczki od dotychczasowego życia. Na koniec dał mu talizman - woreczek z czerwonej szmatki, a w nim magiczny kamyk owinięty papierem, na którym umieszczono jakieś tajemne znaki. „To silny amulet, pomoże ci przetrwać drogę, którą musisz uciekać” -

tłumacz przekazał mu słowa szamana. Dodał też, że nie może się z nim rozstawać i stale musi go nosić w prawej kieszeni spodni. W końcu czarownik ścisnął mu dłońmi głowę, w sekundę później odskoczył od niego jak poparzony i gwałtownie potrząsając dłońmi, wycofał się i zniknął w ciemnościach.

Wiedział, że nie powinien tego potraktować dosłownie. Ale ta idea zmiany imienia, tożsamości, ucieczki nie była mu obca. Już gdzieś czytał na ten temat, i chyba nie dotyczyło to Afryki. Musi dotrzeć do tych wiadomości, rozszyfrować je.

Popatrzył z niechęcią na czasopismo - czy los musi być aż tak złośliwy? Za dużo tych przypadków. Jeszcze raz zerknął na znaleziony fragment: *Najkrócej na Ziemi, bo przeciętnie 36 lat, żyją mieszkańcy Zimbabwe. Czterdziestki nie dane jest dożyć również większości obywateli Suazi i Sierra Leone. Wskaźniki te w ostatnim czasie pogorszyły się dramatycznie. Przyczynił się do tego stan gospodarki państwa, a także wielka liczba zakażeń HIV.*

I dalej:

Najdłużej żyją Japończycy i mieszkańcy Księstwa Monako (82 lata) oraz Australijczycy, Islandczycy, Włosi, Szwedzi i Szwajcarzy (81 lat)... Polacy (75 lat).

- No proszę, nasz kraj ma się dobrze, tylko ja niedługo zepsuję statystykę - zachnął się i zamknął czasopismo.

Wrócił do kwestii imienia. Chyba nie za bardzo zastanawiamy się nad tym, jakie imię dajemy swoim dzieciom. A może tylko on nie przywiązywał do tego wagi? To Magda wybierała imiona dla ich dzieci. Akceptował je bez zastrzeżeń, bo... właściwie nie wie dlaczego. Sara, Piotr - po prostu ładnie brzmią. Nie są dziedziczone po przodkach, ani w jego rodzinie... i chyba w rodzinie Magdy również nie. Ciekawe, dlaczego wybrała takie? Musi ją o to zapytać. W większości przypadków to kwestia mody albo jakiejś fascynacji któregoś z rodziców. Z pewnością im dalej od cywilizacji, tym większą wagę przywiązywano do nadawanego imienia - to istotna część człowieka. Ktoś bez imienia to po prostu Nikt. Za to z nazwiskiem jest chyba dokładnie na odwrót - zastanawiał się. W krajach wysoko rozwiniętych to ono miało zasadnicze znaczenie.

Lubił swoje, Kostrzewski, takie polskie, mocne, trudne dla obcokrajowców.

Współczuł tym, którzy muszą podpisywać się Kot, Baran czy Ogórek. Miałyby zmienić swoje nazwisko? Absurdalna myśl. Całe swoje dotychczasowe życie walczył o to, by właśnie ono coś znaczyło, było symbolem sukcesu, otwierało drzwi, stanowiło jego wizytówkę. Przebył

już niezły kawałek życiowej drogi i chociaż prognozy nie były dla niego korzystne, nie potrafiłby przekreślić wszystkiego, co do tej pory osiągnął. To jakby unicestwił samego siebie.

Konrad! Dlaczego dostał właśnie to imię? Nigdy się już nie dowie. Wie tylko, że był jedynym chłopcem noszącym to imię w szkole i na podwórku.

No dobrze, mała symulacja zdarzeń. Od jutra znika. Wyjeżdża... do małego miasteczka w górach. Wynajmuje pokój u jakiejś biednej gaździny. Melduje się jako Rafał

Jakktochce. Zapuszcza brodę i wąsy, ubiera się jak traper. Unika garniturów, krawatów. Nie ma komórki, laptopa, czyta gazety, ale nie te, co zwykle, jakieś lokalne. Nikogo nie zna i nikt go nie rozpoznaje.

Po tygodniu wszyscy go szukają. Nie skorzysta już z konta w banku. Po miesiącu nie ma już dla niego

miejsca w firmie. Któryś z młodych przejmie kontakty, poprowadzi rozmowy i... świetnie sobie poradzi, niestety.

A rodzina? Nie wpływają pieniądze na konto, Magda musi pomyśleć o pracy, Sara ląduje w hospicjum. Po roku będzie dla wszystkich wspomnieniem.

Czy w zamian śmierć o nim zapomni? Bzdura! Zmęczył się tą wizją.

Przede wszystkim nie wierzy, by śmierć była taka głupia i dała się oszukać. Nie takie mózgi próbowały z nią wygrać - co najwyżej przesunęli trochę datę. I na tym właśnie musiał się skupić, o to powalczyć. Marzył o dziesięciu latach. Potrzebował ich dla Piotrusia. Tyle chciałby mu dać, dojrzał wreszcie do roli ojca. Cholera! Właśnie teraz mógłby być ojcem, o jakim marzą mali chłopcy. Jakiego on sam nigdy nie miał.

Walka, stawianie czoła wyzwaniom to było jego powołanie, jego natura. Z kostuchą też wynegocjuje najlepsze warunki, nie podaruje jej ani minuty swojego życia. Wyjazdy do szamanów to tylko strata czasu. Próbował. Poniósł klęskę na tym polu, ale to tylko przegrana bitwa, wojna nadal trwa.

Podciągnął się w fotelu, założył nogę na nogę, dopił drinka. Dopiero teraz zauważył uśmiechniętą twarz Tomka. Oj, niedobrze z nim, zupełnie stracił czujność. A dzisiaj w biznes klasie był wyjątkowy luz. Odwzajemnił uśmiech. Znali się od kilku lat, od kilku starć przy stołach negocjacyjnych, taka czysto służbowa znajomość, ale facet był okej. Skinął mu głową, tamten wstał i przysiadł się.

- Oj, Konrad. Obserwuję cię od Frankfurtu, dałbym złotego dukata za twoje myśli.

- Nie warto, stary.

- Jakoś ci nie wierzę. - Roześmiał się szczerze. - Trochę cię znam, wyraźnie podjąłeś jakąś decyzję.

- Zmyłka. Wracam z weekendu. Niewielkie safari.

- Serio? Tylko polowanko?

- I to bezkrwawe, jak wiesz.

- Popatrz, dałbym głowę, że coś mocno kombinujesz. Chyba się starzeję. Co fajnego czytasz? - zmienił szybko temat. Kontynuacja poprzedniego nie miała sensu, za dobrze znał

Konrada i jemu podobnych. Niczego już z niego nie wycisnie. Szkoda, był pewien, że Kostrzewski nie lata do Afryki dla relaksu. Zerknął na czasopismo. Tego „Newsweeka” już miał w ręce, nic interesującego w nim nie znalazł. Musi go przejrzeć jeszcze raz.

- Nic ciekawego, możesz popatrzeć. - Konrad rzucił mu go na kolana.

Podeszła stewardesa, odebrała im puste szklanki.

- Proszę się przygotować, zapiąć pasy, pod nami Warszawa.

Rozdział 2

Michał złapał ją w ostatnim momencie. Zachwiała się i upadłaby na metalowy stojak na kroplówki, gdyby jej mocno nie przytrzymał. Na szczęście nie osunęła się, nie zemdląła.

Stali tak przez moment mocno objęci. Na papierowo białą twarz kobiety powoli powracały kolory, jej wzrok stawał się przytomniejszy. Skinęła mu głową. Rozluźnił uścisk, w końcu opuścił ramiona. Wskazał jej krzesło pod ścianą i odwrócił się w stronę wyjścia z sali, by wezwać pielęgniarkę.

W drzwiach stała Kinga. Patrzyła na niego wściekłym wzrokiem, a po chwili bez słowa odwróciła się i wybiegła. Michał poczuł się przez moment kompletnie dezorientowany. Nagle uświadomił sobie, o co go posądzała. Absurd! Kinga posunęła się za daleko. Miał tego dosyć, jej zazdrość stawała się patologiczna. Chyba czas zakończyć ten romans, robił się męczący. Jeszcze dziś jej to powie.

Kilka minut temu zmarła pięcioletnia Oliwia. Rak mózgu rozwinął się błyskawicznie.

Gdy dziewczynka do nich przyjechała, miała już przerzuty do innych narządów. Oni, lekarze, nie mogli nic zrobić. Kobieta, którą przed chwilą uchronił od upadku, to matka małej.

Samotnie wychowująca, samotnie siedząca od kilku dni przy łóżku, samotnie cierpiąca. Coraz

częściej był świadkiem takich scen. Samotność stawała się powszechna. Było to szczególnie przykre w takim miejscu jak to. Bardzo jej współczuł. Była ładną, zgrabną kobietą. Miała dwadzieścia dziewięć lat i duże szanse, że jeszcze ułoży sobie życie, urodzi kolejne dziecko.

Musi tylko przetrwać ten czas żałoby - szkoda, że samotnie.

Zapisał na karcie pacjentki czas zgonu i wrócił do dyżurki lekarskiej. Nie potrafił zubożnąć - to kolejna śmierć w tym tygodniu. Najgorsze było poczucie bezradności.

Dobrze, że brakowało czasu na roztkliwienie się, bo następni pacjenci już czekali i liczyli na to, że zaradzi ich nieszczęściu. I mieli do tego prawo. Na dzisiaj już skończył pracę. Chciał stąd wyjść jak najszybciej.

Ta śmierć go nie zaskoczyła, wiedział, że mała nie miała najmniejszych szans, ale gdzieś w najdalszym zakamarku duszy liczył na cud. Zawsze tak było, wbrew wiedzy i doświadczeniu. Spakował do torby swój laptop. Przebierając się, układał program na resztę dnia. Wpadnie na salę gimnastyczną, pobiega i powrzuca piłkę do kosza, aż wypoci z siebie tę bezradność i wściekłość, poczuje pod prysznicem zmęczenie i spokój.

Przypomniał sobie o Kindze. Czas na poważną rozmowę. Ich romans trwał jakieś pół roku. Było im świetnie, dopóki dotrzymywali umowy i wspólnie ustalonych reguł: a więc po pierwsze, żadnego afiszowania się. Zdawali sobie sprawę, że utrzymanie stuprocentowej tajemnicy w szpitalu było bardzo trudne, a może nawet niemożliwe, ale wyjątkowo dbali o to, by w pracy zachowywać dystans. To głównie jej zależało na dyskrecji.

Po drugie, żadnych zobowiązań. Kinga miała syna i nieuregulowaną do końca sytuację małżeńską. Rozstała się z mężem, zamieszkała u matki, ale oficjalnie byli jeszcze małżeństwem.

No i żadnych wspólnych planów, wybiegania w przyszłość. Spotykali się wtedy, gdy oboje tego potrzebowali. Oczywiście seks był ważny, ale nie tylko. Głównie chodziło o wspólne przebywanie, rozmowę, przytulenie. Wyjeżdżali do hoteli, poza miasto, ponieważ potrzebowali zmiany środowiska. Codzienne przebywanie w bliskim kontakcie z cierpieniem i śmiercią wymagało odreagowania. Gdy czasu było mało, wpadali do jego kawalerki.

Ostatnio jednak Kinga przekraczała te wspólne ustalenia. Chciała znacznie częściej się spotykać, bez przerwy pisała do niego SMSy lub dzwoniła. Dąsała się, gdy natychmiast nie oddzwaniał. Chciała „po prostu usłyszeć jego głos” i jeszcze, by mówił jej, jak bardzo jest ważna w jego życiu, że ją kocha. Drażniło go to. Czuł, że wymusza to na nim, że jest to coraz mniej spontaniczne. I jeszcze zaczęły się te nieuzasadnione posądzenia o zdradę. Wszędzie wietrzyła rywalki. Dzisiaj przekroczyła granicę jego akceptacji. Nie było sensu ciągnąć tego dalej.

Wychodząc, wstąpił do pokoju pielęgniarek, ale Kingi już nie zastał. Trudno, pewnie znowu była obrażona i czekała na jego tłumaczenie się. Miał tego dosyć! Dlaczego kobiety lubiły komplikować to, co było przecież dobre i sprawdzone?

Na korytarzu wpadł na Daniela, który też już skończył na dzisiaj. Razem wyszli na parking.

- O, masz kobietę przy samochodzie. - Daniel pierwszy ją zauważył. - Jesteście razem?

- Nie, skądże. Jej kuzyn choruje, konsultowałem jego przypadek. Musiało się coś stać, bo nie umawialiśmy się - okłamywał go.

- Współczuję. Nie lubię rozmów o chorobach po pracy. To do jutra.

- Do jutra.

Na szczęście Daniel znacznie bliżej zaparkował swój samochód. Michał zwolnił, by dać sobie więcej czasu. Kinga stała oparta o karoserię. Wyglądała bardzo atrakcyjnie w minisukience, szpilkach i rozpiętym letnim płaszczku. Miała śliczne, długie nogi. Gdy tylko podszedł do niej, usłyszał:

- No i co mi powiesz? Jak tym razem będziesz się tłumaczył?

- Nie będę się tłumaczył, bo nie mam z czego - odparował. Ale już mięknął na jej widok i miał ochotę o wszystkim zapomnieć. Kiedy był tak blisko niej, problemy znikwały, traciły znaczenie, wygrywało jej

ciało.

- No tak, nie masz z czego? Biedaczek! To przecież nie twoja wina, że ręce ci latają, gdy tylko jakaś laska stanie obok ciebie - prychnęła pogardliwie.

- Przesadziłaś! - Zwiesił głos. - Mam ci jednak coś do powiedzenia. - Patrzył w jej ironiczne, zmrużone, wypełnione złością oczy, które bardzo ułatwiały mu zadanie, i kontynuował: - Kończymy z tym wszystkim. Poszukaj sobie kogoś, kto wytrzyma te twoje humorki i gierki.

- I tego się po tobie spodziewałam! - odgryzła się. - Doktorek się znudził. Pół roku to norma, prawda? A miało być inaczej, tak uczciwie, przyjaźnie i szczerze! - nieomal krzyczała.

- Dobrze, poszukam sobie innego. Bez problemu. Nie jesteś nikim wyjątkowym, okazałeś się tuzinkowym fiutem! Cześć!

Odwróciła się do niego plecami i zaczęła nieśpiesznie się oddalać. Zdumiony patrzył, jak zgrabnie minęła kolejny samochód i za chwilę znikła za zakrętem. Był totalnie zaskoczony przebiegiem rozmowy. To nie tak miało być. Jeszcze dwa dni temu kochali się namiętnie, a ona szeptała mu do ucha tyle czułych słów.

Wsiadł do samochodu i nie bardzo wiedział, co ma dalej robić. „Tuzinkowy fiut!”?

Był naprawdę wytrącony z równowagi. Za kogo ona się uważała? Nigdy nie była dla niego kimś szczególnie ważnym, ale nie traktował jej jak dupy do łóżka. Narastało w nim poczucie krzywdy. Nie zrobił nic złego, ciężko pracował i potrzebował tylko odrobiny ciepła i zrozumienia. Oboje tego chcieli. Był naprawdę okej, to nie fair z jej strony. W sumie dobrze, że tak to się skończyło, powinien być zadowolony, ale nie odczuwał ulgi. Zadzwoiła komórka. Czyżby się rozmyśliła?

- Dzień dobry, panie doktorze. Przepraszam, że niepokoję, ale u Sary pojawiła się nietypowa wysypka i temperatura trzydzieści siedem i osiem. Czy znajdzie pan chwilę, by wpaść do nas?

- Dzień dobry, pani Magdo. Przyjadę oczywiście, tylko nie wiem o której. -

Zastanowił się. - Może wieczorem? Albo nie, wpadnę do was od razu, później mogę nie mieć czasu. Będę za jakieś piętnaście minut.

- Dziękuję, czekamy na pana.

- Do zobaczenia.

No, teraz przynajmniej wiedział, co ma dalej robić. Bardzo polubił panią Kostrzewską i jej córeczkę. To był zupełnie inny świat i inna kobieta. Kontakt z takim bezgranicznym oddaniem, poświęceniem, miłością przywracał mu wiarę w kobietę, matkę... Westchnął.

A Kinga? To też kobieta i matka, ale jakże inne emocje w nim wzbudzała. Drażniła go i pociągała. Drapieżna i nieprzewidywalna, budziła w nim myśliwego. Tak - uśmiechnął się.

Na widok takiego ciała... Znów westchnął. Nie czas na to, włączył silnik i wyjechał na ulicę.

Kinga stała w bramie kamienicy naprzeciw szpitala. Widziała, jak Michał odebrał telefon, uśmiechnął się i szybko odjechał w kierunku przeciwnym, niż mieszkał. Nie myliła się, instynkt trafnie jej podpowiadał - miał kogoś! Dobrze zrobiła, że pierwsza go rzuciła.

Tyle przynajmniej miała satysfakcji. Faceci już tacy są - jak tylko kobieta się zaangażuje w związek, natychmiast zwijają żagle. Od jakiegoś czasu spodziewała się takiego zakończenia. Michał wyraźnie ostygł w adorowaniu jej, stale chodził rozdrażniony. Rzadziej do niej dzwonił, przestał aranżować „niespodziewane” spotkania. To raczej ona o to zabiegała. Dobrze, skoro tak chce, niech będzie koniec. Tylko żadnych przyjacielskich rozmów, zero kontaktów. „Będzie dla mnie powietrzem!” - obiecywała sobie. Sytuację trochę utrudniał fakt, że pracowali w jednym szpitalu, ale nie da mu tej satysfakcji, nie pokaże, jak bardzo ją zranił. Obojętność - to najbardziej go zaboli. Wiedziała coś o tym, Witek był w tym mistrzem...

Doktor Michał to ścisła czołówka w szpitalnym rankingu, bardzo atrakcyjny singiel.

Szkoda, że na początku upierała się, by zachować ich związek w tajemnicy. Jak on za nią szalał!

Pewnie nikt by nie uwierzył, że to ona jego rzuciła. Trudno, musi jej wystarczyć, że on sam był tego świadomy. Ciekawe, kim była jej następczyni? Oby nie któraś ze szpitala. Nic nie zauważyła, chociaż była bardzo czujna. Widać doktorek umiał być dyskretny! Życzyła mu, by trafił wreszcie na taką, która usidli go na dobre. Niech przestanie być cholernym motylkiem... Czas na małżeńskie kajdanki - pomyślała mściwie. Małżeństwo to już zupełnie inna bajka, wiedziała coś o tym...

Musi się dzisiaj upić. Na trzeźwo nie przełknie tego wszystkiego. Drań! Gdzie są ci wierni, odpowiedzialni mężczyźni? Westchnęła. A jednak szkoda. Takie ciacho! Fajnie było mieć go u boku, gdy schodzili na drinka do hotelowej restauracji... Nie, przeciwnie, bardzo dobrze, że tak szybko się ewakuowała, niewiele brakowało, by dziś znowu mu uległa. Te jego cholernie błękitne oczy... On i tak spadnie na cztery łapy, chętnych, by go pocieszyć, nie zabraknie. Nie utrzymałaby go dłużej, był zbyt atrakcyjny.

I co dalej? Kolejny facet? Wokół niej wszyscy tacy sami - single, coraz młodsze roczniki, albo żonaci, żaden wybór. Każdy następny i tak będzie tylko zamiast... Jej facetem był Witek, to jego chciała. Był jej pierwszą miłością i największą porażką życia. Urodziła mu syna, stworzyła ciepły dom, a on ją porzucił dla młodszej. I po co tyle starań? W czym była gorsza? Przecież trzydzieści pięć lat to nie starość... Kochała go, a on zidiociał na punkcie dwudziestopięciolatki, świata poza nią nie widzi. Nawet dla Szymusia coraz mniej ma czasu, bo tamta niedawno urodziła mu bliźniaki. Drugi raz nie pozwoli się porzucić. Pierwsza zada cios. Tak jak dzisiaj. Dosyć! Koniec z tym wszystkim, faceci to... Podniosła wysoko głowę i wystukując obcasami rytm, z pasją wypluwała z siebie wszystkie obraźliwe słowa, jakie tylko mogła sobie przypomnieć. Zadzwoń wieczorem do Oli, też samotnej, stale poszukującej tej prawdziwej miłości. Ona doskonale ją zrozumie, już nieraz się wzajemnie wspierały.

Rozdział 3

Mamo, mamo, znowu mi się to śniło, boję się! - Piotruś wbiegł do jej pokoju i wtulił się w nią.

- To tylko zły sen, syneczku - uspokajała go zmęczonym głosem. Przytuliła mocno i kołysała w ramionach. Powieki chłopca z wolna opadały, gęste rzęsy rzucały cień na zaróżowione policzki, a jego ciało wiotczało. Po chwili usłyszała równy oddech. Odgarnęła mu z czoła niesforny loczek. Westchnęła. Synek był takim nieskomplikowanym dzieckiem, dawał tylko radość. Rósł, rozwijał się prawidłowo, bez jej wielkiego zaangażowania. Czyżby macierzyństwo mogło być takie proste? Nie, z pewnością takie nie było, to jej wina, tak się ułożyło jej życie, że całą uwagę skupiała na córce. Czuła, że tak trzeba, później mu wszystko wynagrodzi.

Z trudem wstała i zniosła synka do jego pokoju, okryła go kołdrą i popatrzyła na rysunki przyklejone nad łóżkiem.

Piotruś od zawsze lubił rysować i wykazywał w tym niemały talent. W przedszkolu już to zauważono. Niepokoiło ją tylko jedno - od jakiegoś czasu na każdym rysunku, niezależnie od tematu, umieszczał rakiety kosmiczne. Niesamowity, ciemny twór na tle kolorowych obrazków. Upierał się, że jego „rocket” - Piotruś uczył się angielskiego w przedszkolu - musi tam być, bo jest teraz najważniejsza. To rakieta z jego snów, a właściwie koszmarów.

W tym powtarzającym się od czasu do czasu śnie błędził po ulicach miasteczka, w którym nigdy nie był, i szukał rakiety. Dokuczało mu wyjątkowe zimno i bał się, bo obok niego nie było innych ludzi. Wszystkie domy miały zamknięte drzwi i ciemne okna, jakby nikt w nich nie mieszkał. Zaglądał w jakieś bramy i na opuszczone podwórka. Wiedział, że ona gdzieś stoi, czeka na niego, musi ją tylko odnaleźć. Niestety, miał coraz mniej czasu.

Śpieszył się, by polecieć do nieba, tam, gdzie mieszka Bóg, o którym opowiadała siostra Ludwika w przedszkolu. To on jest najpotężniejszy na świecie i ma największą moc. Większą nawet niż Superman.

Chce mu opowiedzieć o tym, jak bardzo Sara jest chora. Dostaje tyle zastrzyków i w ogóle nie może

chodzić, a ostatnio już nawet siedzieć nie potrafi. I wtedy ten Bóg wyleczy Sarę. Wystarczy tylko bardzo poprosić, tak mówiła siostra Ludwika.

Podziwiała fantazję synka i cieszyła się, że sześciolatek potrafił sobie jakoś radzić z tą bardzo trudną sytuacją w ich domu. Piotruś często zaskakiwał ją swoimi dojrzałymi, mądrymi zachowaniami. Był nad wiek poważny, a jednocześnie sprawiał, że ich dom tętnił życiem -

głównie dzięki niemu atmosfera w mieszkaniu była jak w innych rodzinach. Wybuchy śmiechu, głośna muzyka i ten jego głosik stale o coś pytający, opowiadający, wyklócający się.

Wszystko zamierało, gdy on zasypiał.

Spojrziała na zegar wiszący na ścianie, za dziesięć minut musi podłączyć Sarze kroplówkę. Od kilku lat w każdym pomieszczeniu ich mieszkania wisiały duże zegary, nawet w łazience. Odmierzały czas od zabiegu do zabiegu. Dzieliły jej życie na regularne kawałki, narzucały rygorystycznie swój rytm.

Czas Sary był policzony. Lekarze nie dawali już żadnej nadziei. Choroba nic sobie nie robiła z tych wszystkich zabiegów, lekarstw, modlitw. Jedyne, co jeszcze można było robić, to dbać o to, by jak najmniej cierpiała.

Cicho zabrzączał telefon.

- Madziu, chyba cię nie obudziłam?

- Nie, skądże - zaprzeczyła. - Cieszę się, że dzwonisz. - Lubiła Adę, swoją przyjaciółkę i sąsiadkę.

- Przepraszam, że o tej porze, ale późno wróciłam dzisiaj z pracy i dopiero teraz przygotowuję się na jutro. Zapomniałam ci powiedzieć, że dzieciaki jadą na basen. Piotruś coś wspomniał, że zgubił swoje klapki, jak nie znajdziesz, to poszukam jakieś od Moniki.

- Dobrze, muszę sprawdzić.

- Wiesz, dzisiaj z przedszkola odebrał dzieciaki Bartek, bo mój szef znowu w ostatniej chwili przypomniał sobie, że na jutro musi mieć wzory zaproszeń. Dałam mu jakieś dziesięć dni temu kilka propozycji, dzisiaj okazało się, że żadna mu nie odpowiada. On ciągle robi takie numery, a później ma wiele powodów, by się wyżywać na ludziach.

- To musi być denerwujące. Współczuję ci. Szkoda, że on nie ma gromadki dzieci na głowie, musiałyby być lepiej zorganizowany.

- Całe szczęście dla tych dzieci. - Ada roześmiała się. - Ostatnio jego ulubionymi słówkami są: dyspozycyjność i kreatywność.

- Podziwiam cię - westchnęła Magda. - Ja przy takim szefie bez przerwy bym panikowała.

- Co ty opowiadasz? To ciebie wszyscy podziwiają... Jak się dzisiaj czuje Sara?

- Lepiej, wszystko się chwilowo uspokoiło. Wczoraj źle to wyglądało, ale ten doktor Michał jest po prostu cudowny, przyjechał natychmiast. Wiesz, sama jego obecność dobrze wpływa na Sarę, i na mnie też. Czuję się przy nim o wiele spokojniejsza. Wyobraź sobie, był

z nami do czwartej nad ranem, a potem musiał iść normalnie do pracy, do szpitala.

- Siedział do rana? Kochana, myślę, że takich lekarzy jest niewiele - podkreśliła Ada.

- Tak - zgodziła się Magda - ale dobrze, że w ogóle są. Muszę kończyć, kochana, Sara czeka.

Wpadniesz jutro na kawę?

- Chętnie, chyba że mój szef znowu coś wymyśli. Ucałuj ode mnie małą.

- Dzięki, no to do jutra.

Magda od dwóch miesięcy ani na moment nie opuściła tego mieszkania. Hania, przyjaciółka jeszcze z liceum, robiła jej wszystkie zakupy, płaciła rachunki, a Ada, sąsiadka mieszkająca piętro niżej, matka sześciolatniej Moniki, zajmowała się Piotrusiem.

Odprawiała codziennie dzieci do przedszkola, zabierała na spacer, do kina czy McDonalda. Bez ich pomocy Magda nie poradziłaby sobie.

Podziwiała je. Obydwie miały mężów i dzieci, pracowały zawodowo, były bardzo aktywne. Radziły sobie z masą problemów, zawrotnym tempem życia, a przy tym potrafiły być uśmiechnięte i zadowolone.

Giganty. Ją coraz częściej gnębiły myśli, że im nie dorównuje, stoi na bocznym torze, podczas gdy życie pędzi ekspresem. Bała się myśleć o tym, co zrobi potem, gdy Sary już nie będzie... Zastanawiała się też, gdzie byłaby, co robiłaby, gdyby Sara się nie urodziła? Po co to teoretyzowanie, na najważniejsze pytania i tak nie ma odpowiedzi, tego nauczyło ją życie.

No a Konrad? Co robił jej mąż, ojciec Sary?! On przysyłał pieniądze. Spore kwoty wpływały na jej konto, wystarczały na wszystko. Całkowicie poświęcił się pracy.

Wyprowadził się do Warszawy, miał służbowe mieszkanie, często bywał za granicą. Był przykładem nowoczesnego podejścia do życia, robił błyskawiczną karierę, odnosił sukces za sukcesem. Chłopiec z plakatu: zdolny błyskotliwy pracoholik. Przepaść między nimi była już nie do pokonania. Żyli w różnych światach. Przerwała te myśli, wstała i poszła do pokoju córki.

- Moja maleńka, czas na kolację. - Uśmiechnęła się do córeczki. - Co oglądasz?

Oczy dziewczynki ożywiły się.

- Tajemnice australijskiej rafy koralowej. Coś pięknego. To jeden z tych filmów, które dostałam od taty. A wiesz, że parę lat temu sam nurkował, jak był w Australii?

- Wiem, córeczko. Wasz tata zwiedził już kawał świata.

- Jest taki odważny, niczego się nie boi. Pływa i nurkuje, jeździ na koniach i szybkimi samochodami... A ty, mamusiu, musisz ciągle być tu w domu, z nami.

- Nie, kochanie, nie muszę. Ja bardzo chcę być razem z wami. Wy jesteście całym moim światem, najlepszym, nie pragnę innego. Już ci to tłumaczyłam. Każdy człowiek jest inny, ja nie mam w sobie duszy podróżnika, ja lubię dom i bardzo kocham swoje dzieci.

- Tata nas tak nie kocha...

- Kocha, oczywiście, że kocha, tylko inaczej, bo jest innym człowiekiem.

Magda sprawdziła pampersa, poprawiła prześcieradło i ułożyła dziecko wygodniej. Na koniec podłączyła kroplówkę. Usiadła na krześle, wzięła dłoń Sary w obie ręce i delikatnie ją masując, zaczęła nucić jej ulubioną piosenkę o króliczku, który wędrował po lesie i łąkach w poszukiwaniu przyjaciół, by wybrać się z nimi w daleką podróż statkiem. Sara lubiła słuchać wieczorem tych prostych dziecięcych kołysanek. Odprężała się i zasypiała. Magda nuciła coraz ciszej. Za dwadzieścia minut odłączy kroplówkę i będzie mogła się położyć.

Przypomniała sobie o telefonie Ady. Odszukała w szafce klapki Piotrusia, przygotowała mu wszystko na jutrzejszy basen. Zaparzyła sobie herbatę i usiadła w fotelu. Lubiła ten nocny czas. Dzieci spały, wszystko było zrobione. Wieżowiec kładł się do snu. Cichły rozmowy za ścianą, gasły światła w oknach naprzeciwko.

Pomyślała o Konradzie. Ciekawe, jak on spędza tę noc. Z pewnością jeszcze nie śpi, prowadzi takie aktywne życie. Wrócił niedawno z Afryki, przesłał Piotrusiowi dużo zdjęć.

Bardzo kochał swojego syna. Tak, nie ulegało wątpliwości, że miłość ojcovską obudził w nim Piotruś, nie Sara. Nie potrafiła się z tym pogodzić. Momentami żał, który się w niej gromadził przez lata, dławił ją tak mocno, że miała ochotę krzyczeć z całych sił. Ale nie mogła, bo zakłóciłaby spokój innym.

Jakiś rok temu zaproponował, że zabierze syna do siebie, do Warszawy, żeby ją odciążyć w obowiązkach.

- Pozwól mi go stąd zabrać. On nie może stale przebywać w tym domu smutku i śmierci. Ma prawo być dzieckiem radosnym, wesołym, beztroskim. Jest za poważny na swój wiek, za smutny. Nie widzisz tego?

- Nie! Nie widzę, bo tak nie jest. Chodzi do przedszkola, ma przyjaciół. Ma wystarczającą ilość rozrywek. Często wychodzi z Hanią lub Adą. Rozwija się prawidłowo.

A że ma nietypową sytuację w domu? No cóż, brakuje w nim ojca, który poświęciłby mu swój czas. Nie, nie będziesz wybierał sobie dzieci. Masz dwoje! Pamiętasz o tym? Jak zaradzisz smutkowi Sary? Ile

ona ma powodów do radości? - Wiedziała, że jej słowa cięły jak brzytwa.

- Sarze nie mogę pomóc, ale Piotrusiowi tak. Nie jestem Panem Bogiem, nie mam takiej mocy - bronił się.

- Ona potrzebuje twojej miłości, twojej OBECNOŚCI! Do tego nie potrzeba boskiej mocy. - Jak zawsze, gdy mówili o dzieciach, jej dzieciach, Magda szybko wpadała w agresywny, zaczepny ton. Uderzała celnie. W najczulsze miejsce, w jego poczucie winy.

Wycofał się, dał za wygraną. Nie pokonał twierdzy, w której zamknęła się razem z dziećmi. Próbował jeszcze interweniować poprzez lekarza, przypadkiem usłyszała fragment tej rozmowy:

- Proszę tego nie robić - tłumaczył doktor. - Chłopcu tu jest dobrze. Jest bardzo silnie związany z matką i siostrą. To bardzo inteligentne i wrażliwe dziecko. Zabierając go teraz, zrobi pan krzywdę nie tylko jemu, ale także im. A poza tym pana żona musi mieć jakąś nić łączącą ją z tym światem. Piotruś nią jest. Proszę mi wierzyć, on naprawdę jest jej ratunkiem.

To już nie potrwa długo. Sara odchodzi. Proszę być teraz blisko, będą pana bardzo potrzebowali.

Dlaczego obcy mężczyzna to rozumiał, a jej mąż nie? W ostatnich dwóch miesiącach odwiedził ich jeden raz. Uciekł po trzech godzinach. Tak, uciekł! Nawet się nie pożegnał, bo Sarze gwałtownie się pogorszyło i przyjechało pogotowie. Nie mógł pomóc, to fakt. Ale tłumaczenia, że „nie potrafił patrzeć na cierpienia swojego dziecka, że wszystkim tylko przeszkadzał”, nie przyjęła. Po prostu wykorzystał zamieszanie i zniknął, bo tak było najprościej. Miała dosyć tych wszystkich rozmów, zawiedzionych nadziei, wzajemnego oskarżania się. Na szczęście okresy buntu, złości, ataki nienawiści do męża miała już za sobą.

Zaakceptowała to, czego nie mogła zmienić, dostosowała się i tyle.

Starła się jak najmniej o tym myśleć. Wiedziała, że później będzie miała dużo czasu, by to analizować i podejmować decyzje. Później rozpatrzy, czy w ogóle można czymś wytłumaczyć taką postawę. Wybaczyc taką zdradę? Później zdecyduje, czy mogą jeszcze być rodziną.

Rozdział 4

Kinga była konsekwentna, musiał to przyznać. Nie rozumiał tego, ale szanował.

Unikała go, maksymalnie ograniczając dyżury na salach chorych, które mu bezpośrednio podlegały. Gdy spotykali się na korytarzu, mijała go ostentacyjnie, jak powietrze, nie reagując na jego pozdrowienia. Bardzo go to drażniło, bo nie czuł się winny, nie zrobił nic złego. Była bardzo zgrabną, ładną kobietą, ale w końcu nie jedyną. Skupił się na pracy, problemów nie brakowało. Od dawna uznawał, że praca jest najważniejsza. W przeciwieństwie do kobiet nigdy go nie zawiodła i nadawała sens jego życiu.

Przeglądał wyniki badań pacjenta, gdy zadzwonił telefon. Uśmiechnął się, słysząc w słuchawce głos dziadka Einara. Musiał skupić uwagę, by zrozumieć, co do niego mówił.

Staruszek uparcie trzymał się języka islandzkiego, chociaż doskonale władał angielskim i znał trochę polski. Zamierzał w ten sposób wymusić na wnuku posługiwanie się nim. Chciał znacznie więcej, ale tego Michał nie mógł mu obiecać.

Dziadek ostatnio trochę niedomagał i zabrał się do porządkowania spraw rodzinnych.

Uznał Michała za jedyne go spadkobiercę i robił wszystko, by zachęcić go do osiedlenia się na Islandii, podsuwał mu nawet kolejne kandydatki na żonę, oczywiście rodowite Islandki, chciał doczekać się prawnuka, dziedzica.

Jeszcze kilka lat temu Michał był pewny, że nie skorzysta z zaproszenia. Lubił jeździć tam na święta, wydłużone weekendy, ale nie wyobrażał sobie spędzenia w Reykjavíku roku, kilku lat, całego życia. Co on by tam robił? To miasto, w którym mieszka dwie piąte Islandczyków, można obejść w godzinę. Reszta kraju to pustkowia, farmy oddalone jedna od drugiej o dwadzieścia kilometrów.

Z czasem zaczął cieszyć się taką alternatywą. Zawsze to jakieś zabezpieczenie, nie czuł się taki przyparty do muru jak jego koledzy w szpitalu. Sytuacja w Polsce stawała się, łagodnie mówiąc, coraz

trudniejsza, kryzys nie omijał służby zdrowia. Rozpoczęła się walka o kontrakty, sporo kolegów wyjechało z Polski.

Dzisiaj dziadek poinformował go, że przesłał mu jakieś dokumenty rodzinne.

- Jakie dokumenty, dziadku? Czego dotyczą?

- Ważne, bardzo ważne! Kurier dostarczy ci je jutro. Chciałbym, byś je dokładnie przeczytał i wszystkie jak najszybciej odesłał z powrotem.

- Mam ci je odesłać? Coś podpisać? - Michał był coraz bardziej zaintrygowany.

- Nie musisz nic podpisywać, ale zadzwoń do mnie, jak już się z nimi dokładnie zapoznasz.

- W porządku, dziadku, zrobię, jak sobie życzysz. A jak twoje zdrowie, dobrze się czujesz?

- Dobrze, dobrze, nie martw się. Szkoda tylko, że nie ma cię tutaj ze mną.

- Może wpadnę za jakiś miesiąc lub dwa. Zadzwonię.

- No to czekam na twój telefon.

Dziadek, Einar Olafsson, był jego najbliższym krewnym. Zawsze bardzo go szanował i lubił. Jak większość rodowitych Islandczyków był mężczyzną małomównym, niezbyt wylewnym w okazywaniu uczuć, ale sprawiedliwym i mądrym. On sam będąc dzieckiem, lubił przytulać się do babci, ale z problemami biegał do dziadka. Z dalszą rodziną utrzymywał

bardzo luźne kontakty. Jego rodzice byli jedynakami. Nie czuł się jednak osamotniony. Miał zaufane grono przyjaciół tu w Polsce i tam na wyspie.

Bardzo wcześnie się usamodzielniał, życie to na nim wymusiło. Zdał maturę i trudny egzamin na medycynę. Za tydzień miał otrzymać indeks akademii medycznej. Był wielką dumą rodziców - pierwszy w rodzinie student, i to medycyny. I mama, i ojciec pochodzili z prostych rodzin. Dziadek Einar był rybakiem, ojciec technikiem metalurgiem. Całe życie pracował w hucie, przy produkcji silników okrętowych.

Mama, pielęgniarka, pracowała w przyzakładowej przychodni. Michał w młodszych klasach zaraz po lekcjach przychodził do poradni, często właśnie tam, w pustym gabinecie lekarskim odrabiał lekcje. Tam też się bawił w lekarza. Rodzice żartowali, że przesiąkł

atmosferą i połknął bakcyła medycznego. Może i jest w tym sporo prawdy, bo decyzję, że chce zostać lekarzem, podjął bardzo wcześnie.

Był na obozie wioślarskim, odpoczywał po trudach egzaminacyjnych. Opalony, roześmiany, zadowolony z siebie nastolatek. I wtedy, gdy się tego najmniej spodziewał, otrzymał od losu potężny cios. Tam właśnie dopadła go wiadomość o ich wypadku.

Jakiś TIR nie wyrobił się na zakręcie i wjechał niespodziewanie na ich pas ruchu.

Rodzice zginęli na miejscu, w jednej sekundzie. W słoneczne popołudnie, przy doskonałej widoczności i suchej nawierzchni. Kierowca TIRa był trzeźwy, nie potrafił wyjaśnić, jak to się stało. Ksiądz powiedział: „przeznaczenie, wola Boża”.

Kilka razy, w trudnych momentach, chciał zrezygnować ze studiów. W końcu miał dwadzieścia lat, nikt go nie pilnował. Posiadał mieszkanie i rentę po rodzicach. Jadł to, co sobie kupił i ugotował, musiał pracować, prasować, myć okna i studiować. Miał dosyć. Jednak po kilku dniach spędzonych na balowaniu z rówieśnikami życie gwałtownie traciło smak, robiło się nudne. Wracał na uczelnię, czuł, że tam jest jego miejsce. Bardzo pomagały mu wakacyjne wypady do Islandii - dzika, nieujarzmiona przyroda, praca fizyczna na farmie, długie rozmowy z dziadkiem o sensie życia, przeznaczeniu, roli przypadku. Powracał

wzmocniony fizycznie i psychicznie, naładowany dobrą energią.

W końcu narzucił sobie ostrą dyscyplinę, zrobił to dla rodziców, by mogli być z niego dumni, tam gdzie są. Postanowił też udowodnić tym wszystkim, którzy w niego wątpili, że źle go oceniali, że się mylili. I udało mu się, chociaż przeżył kilka bardzo bolesnych porażek.

Najbardziej rozczarowały go kobiety. Na początku ufał im jak matce. Sam spontaniczny, szczery,

uczciwy w zamiarach trafiał na przebiegłe, interesowne osobki. Im ładniejsze, tym sprytniejsze. Nie do końca zdawał sobie sprawę, że jego atrakcyjność podnosiło samodzielne mieszkanie i pieniądze gwarantujące mu swobodne życie. Może by się w tym zatracił, gdyby nie praktyki w klinice. Obserwując swoich małych pacjentów, rozumiał, że życie to nie zabawa, lecz nieustanna walka o przetrwanie. W obliczu ich cierpienia pokorniał, uznał, że czas przestać się użalać nad swoim sieroctwem. W końcu metodą prób i błędów ustalił swoje priorytety, swój własny system wartości. Nabrał dystansu do ludzi i wydarzeń. Miał zawód, który stał się jego pasją. Pomagał ludziom, ratując im zdrowie i życie. To bardzo wiele.

Miał też kilku przyjaciół, z którymi spędzał wolne chwile, na których pomoc mógł zawsze liczyć. Znali się jeszcze ze szkoły, razem zdawali maturę. Ich przyjaźń przetrwała, chociaż każdy trafił na inną uczelnię. Lubili piesze wędrówki po górach i jazdę na nartach.

Ostatnio spotykali się zdecydowanie rzadziej. I Maciek, i Adam założyli już rodziny, zostali ojcami. Był mile widziany w ich domach.

Maciek wprowadził się wraz z Kasią, swoją żoną, do dużego mieszkania po dziadkach. Michał pomagał im w jego remoncie, pięknie go sobie odnowili. Rok temu urodziła im się córeczka Zosia. Adam mieszkał ze swoją żoną Sonią i dwuletnim Maksem w domu swoich teściów. Młodzi urządzili się na piętrze, zostawiając starszym parter. Michał

lubił brać dzieciaki kumpli na ręce, rozpieszczać je prezentami i słodyczami. Był ich ukochanym wujkiem. W opinii przyjaciół byłby dobrym ojcem, ale do tego potrzebował

odpowiedniej kobiety. Wierzył, że ją znajdzie, nakazał sobie cierpliwość. Ostatni związek to ten burzliwy, krótki romans z Kingą. Bardzo go rozczarował, chociaż od początku wiedział, że nie połączyła ich miłość, ale myślał, że jest im dobrze razem.

Kolejny telefon przywrócił go rzeczywistości. Wzywano go na górę, mały Sebastian odchodził. To najtrudniejsze momenty w jego pracy, ale taką wybrał specjalizację - onkolog dziecięcy.

Michał wyłączył silnik samochodu. Westchnął ciężko, był bardzo zmęczony. Miał za sobą pracowity dzień w poradni i nocny dyżur w szpitalu. Słońce przenikało przez szybę, zmuszając go do zmruczenia oczu. Stadko wróbli podskakiwało na trawniku, głośno świergocąc, żywopłot zazielenił się młodziutkimi listkami. Nie do wiary, kiedy ta wiosna tak się rozpanoszyła? Jeszcze niedawno było szaro i chłodno. Przydałby się wypad za miasto.

Powinien pomyśleć o jakimś dniu wolnym, ostatnio za dużo pracował. Lekarzy było coraz mniej, a chorych przybywało. Teraz marzył tylko o prysznicu i pościeli. Minęło kilka sekund, zanim zmobilizował się i odpiął pasy.

Widok własnej kawalerki nawet jego samego przeraził. Od zerwania z Kingą znikła motywacja do jakichkolwiek porządków. Musi się w końcu zmierzyć z tym bałaganem.

Potem. Wziął ciepły prysznic, który go odprężył i sprawił, że ledwo dotarł do łóżka.

Dzwonek do drzwi wyrwał go z jakiejś głębokiej ciemnej jaskini. Przez moment zastanawiał się, gdzie jest i co robi. Opuszczone ciemne żaluzje nie pomagały mu w tym. Ale ten ktoś za drzwiami miał czas i cierpliwość.

Był to zapowiedziany przez dziadka Einara kurier. Z uśmiechem zażądał podpisu i wręczył mu niewielką paczkę.

- To ostatnia dzisiaj - dodał uradowany.

- Takiemu to dobrze - burknął Michał, ale chłopaka już nie było, pędził schodami w dół po dwa stopnie.

Spojrzał na zegarek, dochodziła trzynasta. Rzucił paczkę na fotel i dał nura pod kołdrę. Trzy godziny snu to stanowczo za mało.

Późnym popołudniem zaparzył sobie mocnej kawy i rozerwał opakowanie paczki. Na stół wysypały

się jakieś stare fotografie, położył zeszyt w tekturowej okładce i list.

„Co tym razem staruszek wymyślił?” - zastanawiał się zaintrygowany. Fotografie były czarnobiałe, niewielkiego formatu, obrzeżone charakterystycznymi ząbkami. Pamiętał takie z czasów swojego dzieciństwa. Zauważył, że zrobiono je na Islandii. To chyba budynek szkoły w Rejkiawiku, a przed nim jacyś młodzi ludzie, dziewczyny i chłopcy, bardzo rozbawieni. Gdy się dokładnie przyjrzał, rozpoznał swojego ojca. Był na wszystkich zdjęciach w grubym swetrze z owczej wełny, w charakterystyczne norweskie wzory. Obok niego stała dziewczyna z jasnym długim warkoczem.

Sięgnął po list. Rozpoznał charakterystyczne pismo dziadka. Pisał po angielsku, widać zależało mu, by wnuk dobrze go zrozumiał. Mimo to Michał przeczytał tekst dwa razy, ponieważ treść wydawała mu się nieprawdopodobna.

Stary Einar zaczął od tego, że odwiedziła go Sigrid, żona Arniego, rybaka z Akranes.

Dziadek znał jej męża od dawna, ponieważ był synem Jonssona, z którym łowił przez wiele lat na jednym kutrze. Sigrid, jej mąż Arni i Hermann, ojciec Michała, byli rówieśnikami i chodzili do tej samej szkoły. Dziadek pamiętał ją z tamtych czasów, bo bywała w ich domu.

Kobieta wypytywała dziadka o jego wnuka, Michała, głównie interesowało ją, jakie ma zamiary w stosunku do jej córki Johanny.

... Twierdziła, że piszecie do siebie te internetowe listy, a jak odwiedziłeś ostatnio Rejkiawik, byliście w kinie, na tańcach i kilka razy na basenie.

Powiedziałem jej, że skoro piszecie, to widocznie się lubicie i ja, Einar Olafsson, nie mam nic przeciwko temu. Już się zacząłem cieszyć, bo wiedz, że rodzina Jonssona jest bardzo porządna, a Johanna byłaby dla ciebie dobrą partią. Jest nauczycielką w gimnazjum. Ale Sigrid wrzasnęła na mnie:

- Nie życzę sobie tej znajomości, Einarze Olafssonie! Moja Johanna ma już narzeczonego, to Karl Hansen, ze starej, tradycyjnej islandzkiej rodziny.

- Ty, Sigrid, zapominasz, że w dzisiejszych czasach młodzi sami decydują, z kim założą rodzinę. A mój wnuk Michał jest lekarzem, wielkim specjalistą i lepszego męża dla swojej córki i tak nie znajdziesz. Powinnaś być zadowolona, że ją chce - odpowiedziałem.

- Nie obraż się, Einarze, ale w waszych żyłach płynie dużo obcej krwi. Nic nie wiem o Polakach, ale nie chciałabym szukać wnuków za morzem. Popatrz na siebie. Mieszkasz tutaj sam jak palec, odkąd twoja Margrethe umarła. - Sigrid była naprawdę zła.

- Słuchaj, kobieto! - podniosłem głos, bo odwykłem od babskiego skrzeczenia. - To młodzi zdecydują, i Bóg, czy są sobie przeznaczeni, czy nie. Czy twoja Johanna wie, że do mnie przysłała z taką sprawą?

- Nie wie i nie może się nigdy dowiedzieć! - I rozplakała się, jak to baba.

Dopiero teraz rozpoczęła swoją opowieść. Na dowód tego, że mówi prawdę, przyniosła swój pamiętnik, który pisała w czasach, gdy chodziła do szkoły, i zdjęcia.

Twój ojciec, Michale, bardzo jej się podobał w ostatniej klasie. Lubili chodzić do kina i dyskutować o filmach. W ostatni dzień szkoły, gdy odebrali świadectwa, całą gromadą poszli się zabawić. Dużo wypili i jak się już pewno domyślasz, skończyło się namiętnie.

Niestety, mój syn, a twój ojciec, pojechał odwiedzić kraj swojej matki, Polskę.

Obiecaliśmy mu tę podróż, jeżeli skończy szkołę z dobrą lokatą. Jakiś daleki kuzyn Margrethe przysłał mu zaproszenie. Gdybym mógł przewidzieć, że mój syn nigdy już nie wróci do Islandii... No, dalej już sam wiesz. Spotkał twoją matkę i zakochał się na zabój.

Przyjechaliście do Rejkiawiku dopiero, gdy ty skończyłeś siedem lat. Nie dało się wcześniej, ponieważ Polska to był kraj zamknięty. Nie chcieli dać paszportów całej rodzinie.

Tymczasem Sigrid zorientowała się, że jest w ciąży. Od Margrethe dowiedziała się, że Hermann nie wróci po wakacjach na Islandię. Zdecydował się zmienić ojczyznę, zakochał się i zamierzał się żenić.

Wyszła więc za mąż za Arniego, który marzył o niej od dawna. Nigdy nie powiedziała mu, że Johanna nie jest jego córką, a on nigdy o to nie zapytał. Urodziła mu jeszcze trzech synów. Arni okazał się bardzo dobrym mężem i ojcem. Dzisiaj jest poważnie chory na serce. Miał rozległy zawał, ostatnio przeszedł operację założenia bajpasów. Sigrid boi się, że nie przeżyłby wiadomości, iż Johanna nie jest jego córką, i tego, że wiele lat temu zdradziła go z jego najlepszym przyjacielem. Gdyby nie podejrzenia Sigrid, że między tobą a Johanną rodzi się poważne uczucie, to zabrałaby tajemnicę do grobu. A tak musi mi zaufać, że przekazę ci wiadomość, ale oboje zachowamy ją dla siebie.

Tak więc, Michale, Johanna jest twoją przyrodnią siostrą i moją wnuczką. Tylko kobiety potrafią tak namieszać w życiu. Do tej pory nie wiem, czy się cieszyć, czy złościć.

Przez moment byłem szczęśliwy, myślałem, że znalazłeś kobietę od nas, że ożenisz się i zamieszkacie w naszym domu, Na Skale. Z drugiej strony mam wnuczkę, tylko co mi z tego, gdy ona nigdy się o tym nie dowie?

Michał zamyślił się. Miał siostrę. Przez tyle lat żałował, że nie ma rodzeństwa, że po nagłej śmierci rodziców został zupełnie sam. Czy jego ojciec wiedział, że ma córkę? Nie, z pewnością nie. Ta Sigrid dochowała tajemnicy, nie dowiedział się o tym również jej mąż ani nikt z jej otoczenia. Michał bardzo lubił Johannę. Poznali się dwa lata temu w pubie. Świetnie się rozumieli, mieli podobne poczucie humoru, lubili sport, nie nudzili się w swoim towarzystwie. Teraz zrozumiał dlaczego. W ich żyłach płynęła ta sama krew. Jak to możliwe, że dziewczyna poznana przypadkiem w piątkowy wieczór, okazała się jego siostrą? Los może płatać aż takie figle?

Wstał i poszedł do kuchni. Otworzył lodówkę. Błądził wzrokiem po półkach, zanim zorientował się, co właściwie robi. No tak, powinien coś zjeść, tylko nie zrobił zakupów. Nie miał wyboru, musi być jajecznicą. Sięgnął po patelnię i zabrał się do roboty.

Johanna. Miał do niej pewną słabość, kilka razy się nawet całowali, ale na szczęście nic więcej. No, gdyby mieszkał w Rejkiawiku, to może byliby razem, ale kiedy wracał do Polski, ta bliskość się jakoś rozmywała. Podejrzewał jednak, że sama Johanna mogła inaczej to wszystko widzieć. Jej maile były bardzo ciepłe i serdeczne, szczególnie po jego ostatniej wizycie w Islandii.

Spacery nad zatoką. Johanna miała długie jasne włosy, które na co dzień spletała w tradycyjny gruby warkocz, chociaż większość islandzkich dziewczyn trzymała się raczej mody europejskiej. Tam na skałach pozwalała, by wiatr rozwiewał je, otulał jej twarz.

Pamiętał, że gdy leżał na trawie i przyciągnął ją do siebie, kaskada z tych włosów utworzyła nad nim zastłonę. Wtedy całowali się bardzo namiętnie, było tak intymnie, że gdyby nie zabłąkani turyści... Wstrzymał na chwilę powietrze, by z ulgą głośno je wypuścić. Co za szczęście. To by było! Z własną siostrą! Koszmar!

Czajnik zagwizdał, jajka ścięły się w sadzone, bo zapomniał je zamieszać. Przykręcił gaz, by się nie spaliły, i wyciągnął kubek na herbatę.

Ciekawe, czy matka Johanny mówiła prawdę o jej narzeczonym? Przypomniał sobie, że Johanna rzeczywiście pisała, że była w kinie z Karlem, ale jakoś go to nie zainteresowało, pewnie dlatego, że należał do ich paczki, a ona nigdy nie wspomniała, że ta znajomość to coś wyjątkowego. A teraz okazuje się, że są rodzeństwem. Okej, nie ma nic przeciwko temu.

Szkoda tylko, że nie może jej o tym powiedzieć. No i jest problem. Nie chciałby jej urazić.

Musi coś wymyślić, żeby nie cierpiała.

Na szczęście dziadka Einara może zapewnić, że właściwie do niczego między nimi nie doszło. Lubił Johannę i życzył jej jak najlepiej, ale nie planował z nią związku.

Michał zjadł kolację i do późnej nocy czytał dziennik Sigrid. Takie tam dziewczynskie wynurzenia, pełne marzeń, spojrzeń, spacerów i dyskusji na temat filmów. Oni również zachwycali się *Casablancą*. Sigrid poświęciła kilka stron w dzienniku Bogartowi i Ingrid Bergman.

Końcowe strony były pełne rozpaczy. Hermann wyjechał do Polski, a ona zorientowała się, że jest w

cięży. Ostatni zapis dotyczył wiadomości, że ukochany nie wraca do kraju, żeni się z Polką.

Siedział wpatrzony w pożółkły zeszyt. Niby nic, parę zapisanych kartek, a mogły zmienić życie kilku osób. Jak w filmie. On sam dowiedział się, że jego ojciec był wrażliwym chłopakiem, taktownie obchodził się z dziewczyną. Ile ciepłych słów, delikatnych pocałunków, przytuleń. Sigrid i Hermann bardzo dbali, by ich związek był dla innych tajemnicą, w towarzystwie trzymali się z daleka od siebie. Chyba nikt się nie domyślał, że łączy ich coś więcej niż koleżeństwo. Nawet jego szkolny przyjaciel, Arni, nie był

wtajemniczony. A może to właśnie ze względu na niego?

„No tak, ale to jest jej wersja wydarzeń” - zastanawiał się Michał. Ojciec mógł to widzieć inaczej, przecież miesiąc później był tak zakochany w Polce, że rzucił dla niej wszystko. A jeśli z Johanną jest podobnie? Może się zaangażowała i też zapisuje każde jego cieplejsze słowo, gest, spojrzenie. A jemu tak naprawdę dobrze było w jej towarzystwie, ale zabrakło tego czegoś, tej chemii. Nie czuł się z nią związany. Nie snuli wspólnych planów, niczego jej nie obiecywał.

Z dziennika Sigrid też nie wynikało, by jego ojciec coś takiego zrobił. A z pewnością zapisałyby to, skoro notowała różne inne drobiazgi. Dziwne, że najważniejsza noc została potraktowana w zapiskach bardzo skąpo:

Wróciłam nad ranem już nie ta sama. Jestem kobietą. Otworzyły się przede mną nieznane drzwi i weszłam do nowego pokoju. Wszystko niby znajome, ale wygląda inaczej.

Ostrzejsze kolory, nowe zapachy. Dzieciństwo zostało za drzwiami, nie ma już powrotu.

Żadnych szczegółów, szkoda - uśmiechnął się. Chciałby wiedzieć, jak ojciec sobie z tym poradził. Dziś dowiedział się, że wiele cech odziedziczył właśnie po nim.

Jego pierwszy raz był inny. Miał dziewiętnaście lat, przeżywał dramat po tragicznej śmierci rodziców. A Jadzia, starsza o dwa lata, doświadczona, wprowadziła go w tajniki seksu.

Bardzo mu pomogła przetrwać ten trudny czas, ale musieli się w końcu rozstać. Była zbyt rozrywkową dziewczyną - to przez nią omal nie wyleciał ze studiów, ale w porę się opamiętał. Kilka razy wracali do siebie i zawsze źle się to kończyło. Widać sama chemia, nawet bardzo silna, też nie gwarantowała udanego związku. Potrzebny był ten magiczny miks, o którym wszyscy marzą.

Michał przeciągnął się w fotelu, spojrział na zegar, dochodziła północ. Czas do łóżka.

Jutro musi być przytomny w pracy. A bałagan jaki był, taki został.

Rozdział 5

Konrad pił już poranną kawę, chociaż zegar wskazywał dopiero kilka minut po czwartej. W jego życiu wszystko się zmieniło, nawet to, że kiedyś był śpiochem i bardzo niechętnie wstawał przed ósmą.

Siedział przy biurku, bo nie potrafił zaczynać dnia w wygodnym fotelu czy przy kuchennym stole. Patrzył na swoją twarz, odbitą w ciemnym jeszcze ekranie laptopa. Nie wyglądał ciekawie. Bardzo szczupły, wręcz chudy, podkrążone oczy. Ekran litościwie ukrywał niezdrowy kolor skóry. Ale był tego wszystkiego świadomy. Nie mogło być inaczej, bo przegrał, zniszczył swoje życie. Dzisiejszy poranek spędzi w szpitalu - nie znosił tego, ale nie miał wyboru.

Nigdy nie zapomni tej rozmowy. Był wtedy w Paryżu. Jedli służbową kolację w hotelowej restauracji. Obok niego siedziała śliczna Nicole.

Godzinę wcześniej uzgodnili szczegóły nowego korzystnego kontraktu i podpisali go.

Bardzo z siebie zadowolony, pił szampana, bawiąc towarzystwo anegdotkami. Obserwując Nicole, domyślał się, że to właśnie w jej towarzystwie spędzi resztę wieczoru i może noc. Już dawno pozbył się wyrzutów sumienia, że zdradza żonę. Nie była to przecież miłość.

Z pięknymi kobietami tylko przyjemnie spędzał wolne chwile.

Od jakiegoś momentu czuł wibrowanie telefonu komórkowego w kieszeni marynarki, ale nie reagował. Chciał mieć spokój, cieszyć się sukcesem - uczciwie sobie na niego zapracował. Wtedy

podszedł kelner z wiadomością, że ma pilny telefon. Tego już nie mógł zlekceważyć. Przeprosił towarzystwo przy stole i wyszedł.

To był Andre, bardzo zdenerwowany. Konrad sądził, że są problemy z kontraktem, który podpisywał w imieniu firmy jakieś cztery miesiące temu w Stanach. A tymczasem był to cios, którego się zupełnie nie spodziewał.

- Konrad, to nie żarty, zrób sobie badanie na obecność wirusa HIV.

- Oszalałeś!

- Chciałbym. Te cholerne Tajki były zarobaczone. Załatwiły nas, rozumiesz?! Całą czwórkę załatwiły, no chyba że ty jesteś szczęściarzem.

- Nie wierzę, zabezpieczałem się.

- Jesteś pewny, że przez całą noc? Dla mnie, Toma i Marka to była śmiertelna zabawa.

Ścigam cię po całej Europie, nie odpuszczaj sobie, zrób te cholerne badania i zacznij się leczyć.

Błyskawicznie przesunęła mu się przed oczami tamta szalona noc. Śliczna buzia, piękne, młode ciało i te umiejętności, sztuka podniecania opanowana do perfekcji! Nad ranem, wyczerpany, był na granicy świadomości i ciągle nienasycony. Mógł stracić czujność i stać się ofiarą.

Jedynie doskonale wyuczonej sztuce panowania nad emocjami zawdzięczał to, że wrócił do stołu i dokończył kolację, nie wzbudzając podejrzeń. Tylko Nicole nie mogła zrozumieć, dlaczego pożegnał się z nią przed drzwiami jej pokoju. Rozzalone, nigdy nie dowiedziała się, że darował jej życie.

Jakieś pół roku temu dostał wiadomość od Andre, wirus mu się uaktywnił, był już bardzo chory. Nie bez goryczy stwierdził, że Konrad jak zwykle okazał się szczęściarzem.

Nawet jeżeli nie ucieknie spod kosa, to pożyje najdłużej z nich. Czterech wspaniałych młodych mężczyzn sukcesu padło w tę jedną noc.

Wygląda na to, że nocny, jak dotąd zaufany lokal sprowadził te Tajki specjalnie dla takich jak oni - mężczyzn z sal konferencyjnych. Pokoje na górze urządzono jak wyspy.

Miękka, złocista wykładzina wydawała pod stopami charakterystyczny chrzęst piasku. Na ścianach ogromne zdjęcia z widokiem plaży i szafirowego morza. W rogach pokoju rozłożyste palmy, a szerokie łoże oświetlała mocna lampa.

Wystarczyło zdjąć ubranie, by poczuć się jak na Tahiti. A w tym rozbieraniu pomagała już młoda piękność ubrana w zwiewną szatkę w kwiaty, z długimi do pasa kruczoczarnymi włosami. Tajskie lolitki były prześliczne. Drobnej budowy, szczuplutkie, zwinne. Czarne jak węgielki oczy, czerwone, ładnie wykrojone usta. Na stoliku patery z owocami i kolorowymi drinkami. W pokoju było tak gorąco, że każdy rozbierał się z przyjemnością i od razu czuł pragnienie.

Oczywiście policja zajęła się sprawą, ale po Tajkach ślad zagałał. Podobno miały piętnaście, szesnaście lat. Nigdy by się nie domyślił, były mistrzyniami seksu, ich umiejętnościom nie oparłby się żaden mężczyzna. Ktoś je świetnie wyszkolił.

Konrad wściekł się, gdy przeczytał o tym wszystkim w mailu od Andre. Oni, biznesmeni, wykształceni, zajmujący wysokie stanowiska w firmach, o które walczyli przez wiele lat. Posiadający władzę i możliwości wpływania na sytuację gospodarczą świata.

Żyjący stale pod presją, w silnym stresie, zostali załatwieni przez takie nastoletnie dupy.

Te gówniary nie skończyły nawet szkoły, niczego nie pokazały światu poza ładnym tyłeczkiem i piersiami, w które wyposażyła je natura. Chciały szybko zarobić dużo forsy, wkładając w to minimum wysiłku. Nie był w stanie myśleć o nich inaczej, zastanawiać się nad ich losem. Może i tragicznym. Nie w tych okolicznościach.

Był też, tak jak Andre, przekonany, że te dziewczyny usunięto już na dobre, ale nawet przez chwilę nie przyszło mu do głowy, by tym dziwkom współczuć. Z całą pewnością najwyższą stawkę zapłacił też właściciel tego biznesu. Taką wpadkę bezlitośnie wykorzystywała konkurencja.

- Takie nic załatwiło czterech superfacetów - zżymał się na samą myśl. - No nie, na razie trzech. On

się tak łatwo nie podda. Nigdy się nie poddawał.

Na zakończenie swojego pożegnania listu Andre obiecywał mu, że jeżeli je spotka tam, po drugiej stronie, to się z nimi rozliczy.

Pamięta też ten drugi telefon. Tak się składało, że najważniejsze wiadomości docierały do niego telefonicznie.

Magda bezbarwnym głosem oznajmiła mu:

- Jestem w ciąży. I żebyś nie miał złudzeń - dodała - to chyba czwarty miesiąc. Sama nie wiem dokładnie, mam tak rozregulowany organizm, że tego nie zauważyłam. Zrobiłam dwie próby ciążowe, są pozytywne. Musiałabym iść do lekarza, ale to tylko formalność.

Milczał wstrząśnięty, bo natychmiast dopadł go lęk, że Magda może być również zarażona i to ich mające się dopiero narodzić dziecko też. Kara za jedną namiętą noc byłaby druzgocąca. Od tygodnia już wiedział, że on jest pozytywny.

- Jesteś tam? Czy to dziecko znowu jest nie w porę? - zapytała zaczepnie.

- Jestem. Zaskoczyłaś mnie. Oczywiście, że się cieszę. Mam nadzieję, że to będzie syn, zdrowy syn.

- Też bym sobie tego życzyła. - Urażona rzuciła słuchawkę.

Cholera, źle się wyraził. To przecież nie jej wina, że córeczka była chora i nie o tym w tamtym momencie myślał. Nie mógł jej jednak niczego wyjaśnić.

Gdy odłożył słuchawkę, rozplakał się jak dziecko. Po raz pierwszy w życiu dostał histerii. Padł na podłogę, walił w nią głową, w końcu zachołgał się do łazienki i długo wymiotował. Żeby nie zwariować, spał się do nieprzytomności.

Rano długo obliczał, wertował swój kalendarz, zmuszał pamięć do odtwarzania tamtych dni. Nie mógł nic ustalić, ani w jedną, ani w drugą stronę. To były takie bliskie daty.

Musiał mieć pewność, musiał zdobyć próbkę krwi żony.

Udało mu się to załatwić dopiero dwa miesiące później. To były najgorsze miesiące w jego życiu. Magda obraziła się na niego, odsunęła zupełnie. Do dzisiaj nie wie, jak wielkie niebezpieczeństwo zawisło nad ich domem.

Piotruś urodził się o czasie, bez komplikacji i zupełnie zdrowy. Musiał tego dopilnować, ponieważ Magda żyła w swoim świecie, bywało, że zapomniała o jedzeniu, nie chciała wychodzić na spacer, na wizyty kontrolne. W jej życiu ważne były tylko potrzeby córki. W końcu zatrudnił pielęgniarkę dla Sary, by maksymalnie odciążyć żonę i mieć nad nią kontrolę. Z trudem dała się przekonać.

- Żeby każdy przychodził z takimi żyłami, to byłoby dobrze! - zachwycała się pielęgniarka, wbijając igłę w siny ślad pod skórą. Strzykawka powoli wypełniała się brunatnym płynem.

- Ma pani rację. - Uśmiechnął się Konrad. Jego żyły rzeczywiście mogłyby służyć do ćwiczeń wszystkim debiutantom w tym zawodzie. Bledziutka, cienka skóra zdradzała całą mapę rozgałęzień i połączeń krwiobiegu. Czasami z powodu nękającego go nadciśnienia naczyń wybrzuszały skórę, co jeszcze bardziej ułatwiało pobieranie, ale niestety nie dodawało jego rękom urody.

- No i po wszystkim. Wyniki do odebrania jutro w rejestracji.

- Dziękuję. Ma pani złote rączki, pani Beatko.

Konrad, wchodząc na teren szpitala, przeistaczał się, wyzbywał się pewności siebie, agresji, stawał się innym człowiekiem, pokorniał. Pozwalał, by decydowano za niego, mówiono mu, co i kiedy ma robić. Zamieniał się w PACJENTA.

Nie zawsze tak było. Od kiedy? Nie pamięta. Czas to teraz takie względne pojęcie.

Pewnie wtedy, gdy świat objawił mu swoje drugie oblicze. Rzucił go na kolana. Jego, twardego, bezkompromisowego zdobywcę.

Szybko nauczył się, że musi być grzeczny, prosić, dziękować, bo każda inna postawa natychmiast obracała się przeciwko niemu. Cierpliwość i spokój, nieśmiały uśmiech oraz czekoladki i kwiaty to

właściwa broń na tym terenie.

Duże szpitale, kliniki to kombinaty, w których chory człowiek czuje się przedmiotem.

Oszklone, nowoczesne bloki, podziemne przejścia, system wind i ciągnące się w nieskończoność korytarze, w których gubią się nie tylko pacjenci. Chory czeka, a wokół niego przewala się armia ludzi w różnych szpitalnych uniformach i w pierwszych dniach trudno się zorientować, kto jest kim. Wszyscy się śpieszą, są czymś zajęci, a nieszczęśliwiec ma cierpliwie czekać i nie przeszkadzać.

W dużych szpitalach już w poczekalni dostawał numerek - tym był najbardziej rozdrażniony, degradowano go, zabierano mu tożsamość. Nagle to on musiał cierpliwie czekać, odpowiadać na wiele pytań, rozbierać się i ubierać na polecenie, wędrować od gabinetu do gabinetu, z papierkami, które mu wręczano na drogę. Nikt nie liczył się z jego czasem, nie interesował się, kim był, co ważnego miał do zrobienia.

Pierwsze miesiące były dla niego koszmarne. Drażnił go nie tylko fakt, że z dnia na dzień z człowieka zdrowego stał się śmiertelnie chory. On, okaz zdrowia! Nie odczuwał przy tym żadnych objawów, nic go nie bolało, ale trawiły go lęk i wściekłość, olbrzymia wściekłość - również dlatego, że nowa sytuacja wymuszała na nim postawę zupełnie mu obcą - uległości. W tym okresie często się awanturował, próbował wymusić szybsze tempo załatwiania spraw, ale stale przegrywał i odczuwał tego negatywne skutki. Z czasem spokorniał, bo przekonał się, że najszybciej osiągnie cel, dostosowując się. Odkrył też, że wiele zabiegów załatwi w przyjaźniejszej atmosferze w małych ośrodkach zdrowia, oddalonych od centrum Warszawy czy Katowic.

Teraz był już doświadczonym starym wygą. Prawdziwa walka trwała rok i cztery miesiące, ale świadomość, że musi stanąć na ringu i bić się na śmierć i życie, towarzyszyła mu od ponad sześciu lat.

Był dzielnym wojownikiem, stosował wszystkie znane oraz najbardziej eksperymentalne sposoby walki. Ryzykował, balansując na granicy samounicestwienia, bo miał potężnego przeciwnika, cholernie podstępny, który pozbawiał go właśnie możliwości obrony. Atakował go od środka i najwyraźniej kpił sobie z jego woli walki. Nie udało się go usunąć, więc współistnieli tak sobie w jednym ciele: on i jego zabójca.

Taksówka czekała na niego przed szpitalem. W dni, w które robił badania, nie używał swojego samochodu. Czuł się rozkojarzony, podenerwowany, często nasilały się objawy, pocił się, nie miał apetytu, był w podłym nastroju. Od rana chodził rozdrażniony, nie potrafił nad tym zapanować. Nie lubił siebie jako chorego, nie był pogodzony z losem, całą sytuację pogarszał fakt, że musiał trzymać wszystko w wielkiej tajemnicy, i to przed wszystkimi. Nie korzystał nawet z porad lekarzy, których opłacała firma, chociaż to bardzo ułatwiałoby mu życie.

Dzisiaj jechał prosto na naradę, starał się tego unikać, ale nie na wszystko miał wpływ.

Na szczęście dokumenty, nad którymi siedział do późnej nocy, dodawały mu pewności, wiedział, że znowu pozytywnie wszystkich zaskoczy. Potrafił przewidzieć ruchy konkurenta niczym wytrawny szachista. Był błyskotliwy, pełen pomysłów. Czy to rekompensata za rosnącą słabość ciała? Możliwe. Ale wolał myśleć, że to wyłącznie jego zasługa, jego inteligencji, determinacji, zachłanności na życie.

Bez błędnie oceniał to, co jest istotne w strategii działania: najprostsza droga, konkretne rozwiązanie, a nade wszystko czas. To atutowa karta. A on ostatnio śpieszył się podwójnie, mniej bał się ryzyka, więc częściej wygrywał. Szczególnie polubił eksperymenty -

skracaly mu drogę do celu. Miał świadomość, że często prowokował los, był o włos od katastrofy, ale na razie wygrywał i coraz mocniej wierzył, że mu się uda. Był przecież szczęściarzem.

Poczuł wibrowanie telefonu. Zniecierpliwiony sięgnął do kieszeni - już go ścigają? Od czego w końcu miał sekretarkę? Nagle uśmiechnął się, to Piotruś dzwonił, więc szybko odebrał.

- Cześć, tato, jesteś bardzo zajęty? Nie przeszkadzam ci?

- Cześć, synu. Jadę taksówką na naradę, możemy porozmawiać.

- To fajnie, chciałem ci opowiedzieć o tym, co dzisiaj widzieliśmy na spacerze.

- No to opowiadaj!

- Zatrzymaliśmy się na czerwonym świetle, a ulicą przejechało dwieście motocykli!

Na pierwszym jechała panna młoda ubrana cała na biało i z welonem wystającym spod kasku, a obok niej pan młody w garniturze. A za nimi tyle ryczących motorów. To było super, mówię ci! Wszyscy ubrani w skórzane kurtki i spodnie, a motocykle jakie piękne, takie błyszczące, a każdy inny. Najbardziej podobał mi się taki pomalowany w czerwone płomienie! To było niesamowite! - Entuzjazm chłopca był coraz większy.

- To musiało być coś! - powiedział Konrad. - A skąd wiesz, że było ich aż dwieście?

- Jakiś pan opowiadał pani Steni, słyszałem, bo stałem blisko. To prezes koła motocyklowego jechał do ślubu.

- Aha, no to mieliście szczęście, że mogliście to zobaczyć, bo takich ślubów jest niewiele.

- No, pani Stenia też tak mówiła - potwierdził Piotruś. - Tato, a Franek powiedział, że jemu tata przywiezie z Londynu taki motocykl i nawet kurtkę skózaną, i kask. Tato, czy ty też mógłbyś mi kupić taki motocykl? Proszę! Moglibyśmy się z Frankiem ścigać. Proszę, proszę. - W głosie syna pojawiły się przymilne tony.

- Piotrusiu, porozmawiamy o tym, jak przyjadę do domu. Nie wiem, o jakim motocyklu mówił Frankowi tata, bo takie na akumulatory są przecież dla całkiem małych dzieci. Myślę, że do ścigania z Frankiem lepszy byłby rower. Na takie motocykle z silnikiem, na benzynę, to musicie niestety poczekać jeszcze ponad dziesięć lat. Ale już ci mogę powiedzieć, że samochody są i wygodniejsze, i bezpieczniejsze...

- Ale ja się nie boję szybkości i wolę motocykle! - upierał się chłopiec.

- Spokojnie, omówimy to, gdy się spotkamy, okej? - próbował załagodzić sprawę. -

Teraz muszę już kończyć rozmowę, bo dojeżdżamy do biura. Pozdrów mamę i uściskaj Sarę.

- Okej - potwierdził rozczarowany. - A kiedy do nas przyjedziesz?

- Może mi się uda w przyszłym tygodniu, trzymaj się synu.

- Dobrze, tato, cześć!

Konrad westchnął, chowając telefon. Ostatnia rzecz, na jaką miałby ochotę, to widok syna na motocyklu. Od razu odżyły wspomnienia. Dawne czasy, jego bracia i te głupie zawody ogłoszone przez Achima... Nie, nie może na to pozwolić, musi jakoś odwrócić uwagę młodego od motocykli. Ciekawe jak? I czy zdąży?

Kierowca zatrzymał taksówkę przed biurowcem. Konrad siedział przez dłuższą chwilę przygwożdżony świadomością, że jeżeli przegra walkę z chorobą, nie będzie go w życiu syna, gdy ten dorośnie do skuterów, ścigaczy i quadów. Jak mógł do tego dopuścić?

Rozdział 6

Magda weszła do pokoju Piotrusia. Na jego biurku leżał laptop, prezent od Konrada.

Mały zapomniał go wyłączyć, a ona nie miała pojęcia, jak się go obsługuje, zupełnie ją to nie interesowało. Patrzyła na kolorowy ekran, po którym wolniutko pływały egzotyczne rybki.

To Konrad uparł się na ten zakup, twierdził, że musi mieć stały kontakt z synkiem, bo ona uparcie odmawiała zgody na ich wspólne wyjazdy.

Panicznie bała się rozstania z synem. Tak naprawdę czuła się bezpieczna tylko tutaj, w tym mieszkaniu, w którym sama się wychowała, i ze swoimi dziećmi w zasięgu głosu.

Piotruś od kilku miesięcy każdą wolną chwilę spędzał przed monitorem. Oglądał bajki i filmy, grał w jakieś skomplikowane gry. Uczył się grać w szachy i zdarzało mu się rozgrywać partie na odległość z własnym ojcem. No i przede wszystkim rozmawiał

z Konradem. Pokazywał jej jakąś kamerkę i mikrofon, ale nie miała do tego głowy. Technika

rozwijala się w takim tempie, że dawno przestała za nią nadążać - trochę się tego wstydziła, ale szybko sama siebie rozgrzeszała za to zaniechanie. Potem będzie czas na wszystko, potem, potem... Odpychała każdą rzecz, która mogłaby zakłócić jej wypracowany, bezpieczny rytm życia.

Piotruś miał teraz dwie pasje: malowanie i komputer. Dzięki niemu jego tata mógł cierpliwie odpowiadać na jego zadawane w nieskończoność pytania. Magdzie to bardzo odpowiadało. Wolała taki pośredni kontakt niż wizyty męża w domu. Jego obecność wprowadzała zbyt wiele zamieszania w ich idealnie zsynchronizowany schemat dnia. A u niej samej wywoływała jakieś niedobre emocje, rozdrażnienie, zniecierpliwienie. Doceniała to, co robił dla Piotrusia. Tylko dlaczego potrafił kochać syna, a córki nie? Bo Piotruś był zdrowy, bystry, wesoły? Piotrusia łatwo było kochać, jego wszyscy kochali.

Z podziwem obserwowała, z jaką wprawą syn posługiwał się klawiaturą, i trochę mięła w ocenie jego ojca. Od prawie roku poświęcał mu zadziwiająco dużo czasu, a był przecież bardzo zapracowany. Efekty naprawdę zaskakiwały. Niespełna sześciolatek, posługując się klawiaturą, pisał i czytał samodzielnie. Podobno do wszystkiego są specjalne programy. Nie nadążała za tym, dobrze więc, że Konrad się tym zajął.

Parę miesięcy temu ten sprzęt był także atrakcją dla Sary. Dzieci spędzały razem sporo czasu, zaśmiewając się, rozmawiając, ponieważ laptop w połączeniu z drukarką i skanerem dawał olbrzymie możliwości. Najwięcej emocji wzbudzały oczywiście gry komputerowe. Piotruś w krótkim czasie opanował ich zasady i wygrywał nie tylko z Sarą, ale również z córką Ady i kolegami z przedszkola. Dzieci używały przy tym specyficznego języka, którego Magda nie rozumiała. Zaistniał obok niej jakiś nowy świat, wirtualny, zupełnie jej obcy, który błyskawicznie się rozrastał i sprawiał, że coraz częściej czuła się zagubiona. Rósł w niej lęk przed wszystkim, co nowe, nieznanne, bała się, że z niczym sobie nie poradzi.

Magda podziwiała więc, jaka łączyła jej dzieci. Piotruś był oczami, rękami i nogami siostry, przywiązanej chorobą do łóżka. Miał w sobie tyle energii, że wystarczała za dwóch.

Niestrudzony i zawsze pomocny. Najbardziej lubiła, gdy siedzieli na łóżku i szeptali między sobą. Mieli swoje sekrety, w które jej nie wtajemniczali. Cieszyła się, że córeczka może przeżywać dziecięce fascynacje, bo w miarę jak stan Sary pogarszał się, zaczęły zanikać kontakty z jej rówieśnikami, aż w końcu wizyty koleżanek i kolegów szkolnych całkowicie ustały.

Najnowszym pomysłem Konrada był cyfrowy aparat fotograficzny. Piotruś namiętnie pstrykał zdjęcia. Chichotali później z Sarą - to było jej okno na świat. Braciszek codziennie opowiadał siostrze o tym, co wydarzyło się w przedszkolu, w parku czy na ulicy. Dla niej dokumentował swoje opowieści zdjęciami i krótkimi filmikami. To było naprawdę zabawne i ciekawe. Sama wiele razy podziwiała jego wyczyny, zaskakiwana bystrością obserwacji i trafnością komentarzy.

Kiedyś Piotruś na spacerze w parku sfilmował kobietę, która mocno trzymając dziewczynkę za rączkę, prawie ją ciągnęła, bo pewnie się śpieszyła.

- *Mamo, zobacz, te ptaki mówią jak ludzie* - zawołała dziewczynka, pokazując palcem w stronę krzaków, nad którymi leciały dwie sroki. Pierwsza z nich odwróciła główkę w stronę tej lecącej za nią i jednocześnie kobiecy głos powiedział: - *Miałeś z nimi nie dyskutować. Zawsze robisz po swojemu, a później cierpisz.*

- *Chciałem im tylko wytłumaczyć, że w ten sposób nie rozwiążą tej sprawy.*

- *Niepotrzebnie! Na koniec wykorzystają te wszystkie argumenty przeciwko tobie, zobaczysz.*

Ptaki znikły z pola widzenia i obraz przestał się pokrywać z głosami.

- *Emilko, błagam cię, przestań fantazjować, tyle razy cię prosiłam.*

Zza zakrętu wyłoniła się para starszych ludzi zasłonięta dotąd krzakami.

- *No i co? Miałam rację? To oni rozmawiali ze sobą.*

Dziewczynka potaknęła. Spuściła głowę, by za sekundę krzyknąć: - *Uważaj, ślimaczek!*

Kobieta cofnęła się gwałtownie, popatrzyła na maleństwo wyglądające jak inne kamyczki na tej zwirowej alejce. Przekraczając ślimaczka, powiedziała: - *Emilko, spacer z tobą to koszmar!*

Magda zrozumiała, że świat postrzegany oczami dzieci jest zupełnie inny niż dorosłych, musiała też przyznać sama przed sobą, że już nie pamiętała, kiedy była z Piotrusiem na spacerze w parku. Poświęcała cały swój czas Sarze, a zbyt mało uwagi młodszemu dziecku. Ale on był zdrowy i to ją trochę rozgrzeszało. Przyjdzie ten moment...

wtedy mu to wszystko wynagrodzi. Tak, wie, że czasu nie cofnie, syn nie poczeka z dorastaniem, ale Sara... Jej mogła poświęcić czas tylko teraz, dla niej nie było żadnego „potem”.

Innym razem podsłuchiwała rozmowę między dziećmi, która bardzo ją zaniepokoiła.

- Coś ty, dziewczyny tak patrzą na chłopców? - Sara z niedowierzaniem przeglądała jakieś zdjęcia.

- Słowo! - Piotruś podniósł dwa palce do góry. - Sebek opowiadał, że jego siostra, ta dorosła, co ma już szesnaście lat, oglądała w internecie strony z randkami, a tam chłopcy umieszczają swoje zdjęcia, a niektórzy zamiast twarzy pokazują pupy, i to gołe! -

Rozchichotali się. - Albo w majtkach. No i zrobiłem dziś w przedszkolu konkurs na superpupę.

- Naprawdę? - Sara ożywiła się. - Pokaż.

- Wołałem chłopaków po kolei do łazienki, zdejmowali spodnie i robiłem im zdjęcia z tyłu, zobacz.

- A czyja ta? - dopytywała się Sara.

- W te słoniki? To Kuba.

- A niby jakie pupy mają być ładne?

- Sebek powiedział, że te mocno wystające.

- No to największą ma ten. - Pokazała palcem.

- Nie, to Maciek, grubas, on się nie liczy. Grubasy nie są ładne.

- A kto wygrał konkurs?

- No właśnie tego nie wiem, może ty mi pomożesz? Powiedziałem, że wyniki ogłoszę jutro i wręczone nagrodę, całą paczkę gum balonówek, wiesz tych amerykańskich, które przywiózł tata. Właściwie to dziewczyny powinny wybierać, ale pani by się to nie spodobało.

Już się zaczęła interesować, po co latamy bez przerwy do łazienki.

- No dobrze, to pokaż wszystko jeszcze raz, po kolei - zadecydowała Sara.

Magda nie mogła się zdradzić, że ich podsłuchiwała, ale zaniepokojona opowiedziała o konkursie Konradowi. Był zachwycony pomysłem Piotrusia i dumny z niego, uznał, że ma zadatki na fotoreportera. I radził nie ingerować. Tak zrobiła. W końcu najważniejsze, że to wywołało uśmiech na twarzy córeczki.

Magda wróciła do kuchni i wstawiła czajnik z wodą. Sara spała, ostatnio często jej się zdarzały takie drzemki w ciągu dnia. Wyraźnie słabła.

Zaparzyła sobie herbatę i przeniosła się do pokoju córki. Lubiła być blisko niej, patrzeć na jej drobną twarz, przytulać ją. Córunia, jej kochane dziecko, ale nie taty...

Konrad był wspianym partnerem, do czasu. On po prostu nie chciał dzieci.

- Jeszcze nie teraz - prosił. - Nie poradzimy sobie. To przekreśli wszystkie nasze plany.

- „To” jest naszym dzieckiem! Nie pojmujesz? - Była zaskoczona jego reakcją. Po raz pierwszy nie zgadzali się i to w tak zasadniczej kwestii.

- Nie tak się umawialiśmy! Chcę mieć z tobą nawet kilkoro, ale wszystko musi mieć swój czas i miejsce - tłumaczył. - Ledwo skończyłem studia, rozpocząłem pracę, ty masz prawie rok nauki. Muszę być dyspozycyjny, pokazać, na co mnie stać! To cud, że mnie przyjęli. Wiesz przecież przez jakie sito przeszedłem! A nasze podróże? Marzyliśmy o wyjazdach, o poznawaniu obcych kultur.

Oczywiście, że wszystko pamiętała, nie musiał jej przypominać. Plany na najbliższe lata mieli piękne. Konrad jeszcze w trakcie studiów, w ramach wymiany studentów, był na trzymiesięcznej praktyce w Madrycie. Wrócił stamtąd taki odmieniony. Zachłystywał się samym miastem, sposobem życia młodych Hiszpanów. Bez przerwy wszystko porównywał: stołówki, kampusy, sklepy, knajpy, nocne życie. Nawet

klimat, owoce i kwiaty.

Rysował przed Magdą wspaniałe perspektywy, tak bardzo żałował, że nie mogła tam z nim być, obiecywał, że na pewno jej kiedyś wszystko pokaże, a ona, gdy zobaczy młodych malarzy, ich prace wystawione wprost na ulicy, w parkach, przełamie swoją niechęć i wróci do malowania.

Pamiętała to wszystko, widziała ten żar w jego oczach. Wrócił taki opalony, w nowej fryzurze i bajecznie kolorowych podkoszulkach. Bez przerwy wtrącał hiszpańskie słówka w swoje wypowiedzi. Słuchał hiszpańskiej muzyki, ciągnął ją do kina na hiszpańskie filmy.

Marzyła o tym, że będzie szła przytulona do niego po rozpalonej słońcem plaży, takiej ze zdjęć, które przysłali mu z Madrytu zaprzyjaźnieni studenci, tylko...

- Wiem, ale to dziecko widać nie znało naszych planów i już jest. Po prostu jest -
dodała cicho.

Co więcej mogła wtedy zrobić? Sara, nie pytając nikogo o zdanie, rozgościła się w niej. Cięża zaskoczyła ją równie mocno. Błąd w obliczeniach, kaprys natury, a może przeznaczenie. Tę wersję wybrała i wbrew wspólnym planom zdecydowała się urodzić.

Konrad boczył się na nią przez trzy miesiące. Tak się bała, że ją porzuci, że zostanie sama i nie poradzi sobie. Nie miała rodziców, rodzeństwa, mogła liczyć tylko na siebie i Konrada. Widziała, jaki był zdolny, przeczuwała, że wiele może osiągnąć w życiu, a ona swoją decyzją stanęła mu na drodze. Wiedziała też, że nie byłaby pierwszą studentką, która poddałaby się aborcji. Odbyli wiele rozmów. Konrad prosił, przekonywał, użył chyba wszystkich możliwych argumentów, nie ukrywał, że był zdecydowanie przeciwny, ale uszanował jej decyzję. Wzięli skromny ślub, urządzili się w jej mieszkaniu odziedziczonym po rodzicach.

To nie było radosne oczekiwanie na cud narodzin. Wiele razy, patrząc na Konrada, miała wyrzuty sumienia. Starła się nie ograniczać jego potrzeby wolności. Uczestniczyła w jego życiu - wyjazdach, spotkaniach - dopóki zniekształcona sylwetka nie zmusiła jej do rezygnacji. Robiła wszystko, by nie stwarzać mu problemów. Egzaminy zaliczyła w terminach zerowych, a pracę magisterską obroniła na tydzień przed porodem. Na tym, niestety, zakończyła swoją karierę naukową i zawodową. Nigdy nie podjęła pracy. Cały czas wierzyła, że gdy tylko Konrad weźmie dziecko na ręce, obudzi się jego instynkt ojcowski i wszystko się zmieni. Będą szczęśliwą rodziną.

Sara od urodzenia była bardzo chorowitym dzieckiem. Całe noce płakała, okazała się wyjątkowym niejadkiem, stale mieli problemy z jej niedowagą. Lekarze uspokajali, że wszystko minie, że niektóre niemowlaki potrzebują więcej czasu na uregulowanie swoich potrzeb. Magda miała wrażenie, że córeczka każdym dniem swojego życia udowadniała, że to Konrad miał rację. Czyżby podjęła złą decyzję? Tak, zadawała sobie takie pytania. Ale trwała. Kochała, tuliła i płakała. Winiła siebie za choroby małej, panicznie bała się, że nie jest dobrą matką. Bardzo boleśnie odczuwała w tamtym okresie fakt, że oboje z Konradem byli sierotami. Na początku ich znajomości właśnie to tak bardzo ich zbliżyło do siebie, doskonale się rozumieli - teraz wprost przeciwnie.

Dlatego podwójnie bolało, że nie mogła na niego liczyć, że właściwie zostawała sama z wielką liczbą niewiadomych. Zrobiła się płaczliwa, panikowała nawet w prostych sprawach.

Miała uczucie, że wszystko ją przerasta, że z niczym sobie nie radzi. Często wydzwaniała do Konrada, ale on stawał się coraz mniej dostępny. W końcu uświadomiła sobie, że potrzebuje pomocy, była bliska załamania nerwowego, bardzo zeszcupiała, cierpiała na bezsenność.

Wszystko zmierzało w kierunku katastrofy.

Ale wtedy nic takiego się nie stało. Dużą pomocą okazała się odnowiona przyjaźń z Hanią, koleżanką, z którą przyjaźniła się jeszcze w podstawówce. Ona miała już męża i kilkuletnie dziecko oraz starsze siostry doświadczone w macierzyństwie.

W krótkim czasie sytuacja się odwróciła. Sara stała się bardzo grzecznym dzieckiem, niebywale bystrym. Codziennie zaskakiwała ich nową umiejętnością. Bycie matką stało się łatwe i bardzo

przyjemne. Już nie przeszkadzało jej to, że mąż nie zajmuje się córką i rzadko bywa w domu. Wspólne spacerowanie w słoneczne niedziele, kupowanie słodyczy, książeczek, zabawek - do tego ograniczała się rola ojca w jego wykonaniu.

Żyli w innych światach. Coraz bardziej odległych. Ona miała przyjaciółki, też młode matki, wspólne wypadki z dziećmi do parku, na basen, do teatrzyku kukielkowego.

Zasmakowała w macierzyństwie, spacerach, gotowaniu, dbaniu o dom. Żyła rytmem Sary i czuła się spełniona. On miał swoją pracę, konferencje, coraz dłuższe wyjazdy. Bardzo dużo się uczył, szlifował języki. Nie przeszkadzali sobie, a wspólne weekendy były prawdziwym świętem rodzinnym.

Katastrofa tak naprawdę wydarzyła się, gdy Sara skończyła trzy lata i miała zostać przedszkolakiem. Niegroźny upadek z huśtawki i utrata przytomności zmusiły ich do przeprowadzenia szczegółowych badań. Wtedy usłyszeli diagnozę przekreślającą wszystko.

Dystrofia mięśniowa obręczowa. Niesłuchanie rzadka u dziewczynek, zwłaszcza tak małych.

Pierwsze objawy wyglądają niewinnie: zachwiania równowagi, częste upadanie, znacznie później rozwija się postępujące osłabienie i zanik mięśni, pojawiają się trudności oddechowate.

Rozpoczęły się wędrówki po gabinetach specjalistów, skomplikowane badania, nieustanna rehabilitacja. Magda częściej nocowała w różnych szpitalach niż w domu. Poznawała świat ludzi chorych, skazanych, przeżywała wszystkie fazy: od paniki, lęku, po znajdowanie pogodnych chwil w najbardziej ekstremalnych warunkach.

Konrad musiał pracować za dwóch, był gościem w domu. Łapał każdą dodatkową pracę, bo leczenie córki kosztowało. Wreszcie go dostrzeżono, zaczął awansować w firmie. Nie musiał już dorabiać, ale to wcale nie oznaczało, że miał więcej czasu dla rodziny. Im wyższe stanowisko, tym więcej obowiązków, wyjazdów służbowych, narad do późnych godzin. Konrad to uwielbiał, praca stała się jego największą pasją. Stale obłożony książkami, śledził nowości w internecie, tworzył jakieś projekty. To był obcy dla niej świat, ich drogi się zdecydowanie rozdzieliły. W końcu zaproponowano mu pracę w Warszawie, służbowe mieszkanie i samochód.

I znowu trudne rozmowy, siłowanie na argumenty. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego tak stroni od Sary, tak rzadko bierze ją na ręce, przytula, całuje. Tłumaczyła to sobie tym, że był sierotą, że nikt w dzieciństwie go tego nie nauczył. Na pewno kochał swoją córeczkę, tylko nie potrafił tego okazać.

Nie chciała niszczyć mu kariery, kochała go. Podziwiała jego upór, fakt, że krok po kroku osiągał wyznaczone sobie cele, realizował marzenia. Oczywiście, że była dumna, ale jednocześnie wściekła za tę jego permanentną nieobecność. Klócili się coraz częściej i ostrzej.

Padały przykre, raniące słowa. Odpłacała mu tą samą monetą - brakiem uwagi i czasu, niechęcią do przytulenia i pieszczot. Im mocniej tęskniła, tym gwałtowniej go odtrącała.

Przyjeżdżał taki przystojny, elegancki, pewny siebie. Kolejny sukces, kolejny awans, coraz więcej zaszczytów i pieniędzy. Tylko czasu dla nich coraz mniej, także miłości, tej prawdziwej, zrozumienia... Tak, przywoził drogie prezenty, tylko po co jej kolejna torebka włoskiego producenta, bransoletka, czy kolczyki? Ada wielokrotnie jej mówiła, że trafił jej się skarb nie facet, czysty diament. Dla niej ten diament z każdym rokiem bardziej zmieniał

się w bezwartościowe szkieleto.

Ona skupiła się na tym, żeby być przede wszystkim matką. Robiła wszystko, by córeczka czuła się szczęśliwa. Starła się bardzo, by nie brakowało jej ojca.

Zgodziła się na tę jego przeprowadzkę do stolicy. On już i tak od dłuższego czasu bywał gościem w domu. Często wyjeżdżał za granicę, spędzał tam długie miesiące. Ona nie mogła podróżować - choroba Sary na to nie pozwalała. Nie czuła też potrzeby zmian, straciła całe zainteresowanie kulturą, architekturą, pięknymi widokami. Poza tym nie chciała opuszczać przyjaciół, mieszkania, w którym czuła się bezpieczna, lekarzy, do których miała zaufanie. Konrad założył jej konto w banku i regularnie przelewał pieniądze. Przynajmniej ten problem miała z głowy.

U Sary natomiast nawroty choroby zdarzały się coraz częściej. Tylko przez rok chodziła do szkoły. Później przyznano jej nauczanie indywidualne w domu. Od wielu miesięcy zaprzestano i tego.

Drugiej ciąży również nie planowali. Nawet nie zauważyła pierwszych objawów. Od dawna żyła w takim stresie, że jej organizm funkcjonował, jak chciał. Nie zabezpieczała się, nie było potrzeby, z Konradem zdarzało się to tak sporadycznie. Tym razem nie musiała podejmować żadnej decyzji, po prostu było na nią za późno. Męża poinformowała telefonicznie. Był gdzieś na drugiej półkuli w hotelu, z trudem uzyskała połączenie. Trochę za długo milczał. Czy to zawiniła odległość, czy się bał? A może to drugie dziecko znowu nie było w porę? Ona sama przez długi czas zachowała dystans i jakąś obojętność. Ani jej ciąża nie przeszkadzała, ani nie cieszyła. Była.

Konrad chciał mieć syna. Dała mu go. Euforia trwała krótko. Pojawiły się nowe perspektywy w firmie, kolejny awans i pełna dyspozycyjność, służbowe kolacje, weekendowe wyjazdy. Ale musiała uczciwie przyznać, że całą ciężką pracę jej pomagał. Bywał częściej w domu, był czuły i wyrozumiały. Starał się godzić ze sobą swoje dwa światy. Znowu zbliżyli się trochę do siebie. Tylko trochę, bo coraz częściej czuła, że ich miłość zmienia oblicze, bardziej przypominała relację ojca z córką niż męża i żony. Był opiekuńczy, ale nie romantyczny. Jego dotyk był ciepły, lecz nie wywoływał dreszczy rozkoszy - zresztą ograniczał się do przytulania, od dawna nie uprawiali seksu. Wpadał rzadko i na krótko, często zmęczony, jakby stale przeziębiony. Ostatnio naprawdę źle wyglądał, bardzo zeschupłał. Tyle razy go prosiła, by zwolnił tempo życia, by zadbał o siebie, wypoczął, leczyl się, ale dla niego zawsze praca była najważniejsza. To jej podporządkował całe swoje życie.

Tylko pieniądze przybywało na koncie. Konrad zaproponował, by kupili dom z ogrodem, ale ona nie chciała wyprowadzać się z osiedla, na którym się wychowała, miała przyjaciół i życzliwe sąsiadki. Co robiłaby sama w dużym domu, bez przyjaznych ludzi? Na Konrada przecież nie mogła liczyć.

Magda ocknęła się z zamyślenia, westchnęła ciężko - dawno nie miała czasu na rozpamiętywanie swojego życia, od kilku lat nie należało do niej. Nie ona decydowała.

Nauczyła się przyjmować wszystko z pokorą. Wróciła do kuchni i wstawiła mięso na zupę.

Rozdział 7

Halo, dziadku Einarze, jak się czujesz?

- O, nareszcie się odezwałeś. Długo musiałem czekać. - Głos dziadka był rozdrażniony.

- Załatwiłem wreszcie kuriera, jutro dostaniesz z powrotem te papiery. - Michał przeszedł od razu do konkretów. Śpieszył się.

- O niczym nie zapomniałeś? Sigrid by mi głowę urwała, codziennie wydzwania. Jest coraz bardziej nerwowa. No, mów wreszcie, jak sprawy wyglądają? - niecierpliwił się.

- Dopuść mnie do słowa, to się dowiesz. - Michał uśmiechnął się, ten jego dziadek to raptus.

- No więc?

- Dziadku, nie ukrywam, że był to niemały szok. Mam siostrę, a zawsze myślałem, że jestem jedynakiem. Bardzo się z tego cieszę. Szkoda tylko, że ona nie może dzielić z nami tej radości, i z tym może być problem.

- Cieszysz się? To znaczy, że ty i ona...

- Nie, dziadku, nie byliśmy parą. Bardzo ją lubię, fajna z niej dziewczyna. Teraz wiem dlaczego. - Roześmiał się.

- No i dobrze, że tak jest. - Michał słyszał, jak dziadek głęboko odetchnął.

- Wiesz, dziadku, tak to wygląda z mojej strony, ale nie wiem, jak to widzi Johanna?

Z kobietami nigdy nie wiadomo.

- Oj, nie wiadomo, kto by je tam zrozumiał - zgodził się z nim Einar. - Musisz to jakoś załatwić, żeby jej nie zranić, chłopcze. To w końcu moja wnuczka.

- Myślę nad tym. Dziadku, a co z tym narzeczonym? To coś poważnego, bo Johanna nic o tym nie pisze? To by rozwiązało problem.

- Boję się, chłopcze, że to raczej pobożne życzenia jej matki, skoro tobie o nim nie wspomniała... - zastanawiał się. - A może ona czeka na ciebie, liczy na to, że się jednak zadeklarujesz?

- Niczego jej nie obiecywałem i sumienie mam czyste, ale łatwo urazić czyjeś uczucia.

- I to mnie martwi.

- Coś wymyślę, nie martw się. W końcu nie pali się, mamy chyba trochę czasu?

- Jak nie jesteście parą, to mamy. Ja też będę myślał.

- Dziękuję, dziadku. Muszę kończyć.

- Oj, wy młodzi wiecznie się śpieszycie. Daj mi zaraz znać, jak coś wymyślisz.

- Oczywiście dziadku, trzymaj się zdrowo.

- Ty też, ty też.

Michał odłożył słuchawkę. Wcale nie był pewny, czy coś sensownego wymyśli.

Wczoraj wieczorem przeczytał całą korespondencję z Johanną. Przejrzał zdjęcia, które sobie przesyłali. Sporo się tego nabierało, sam był zdziwiony. Dużo ciepła i serdeczności było w tych literkach i wyraźnie zmierzało to do jakiejś konkretyzacji uczuć. A jednak nie śpieszyli się, coś ich powstrzymywało.

Johanna nie była dziewczyną do zaliczenia, krótkiego romansu. Atrakcyjna i inteligentna, wysoko stawiała poprzeczkę. Cieszył się, że jego siostra taka właśnie jest.

Tylko w tej chwili to jeszcze bardziej komplikowało sytuację. Mógł jej zaoferować przyjaźń.

Jaka szkoda, że nie może jej po prostu powiedzieć prawdy. Każde inne tłumaczenie będzie nieuczciwe. Teraz bardzo mu zależało, żeby lepiej ją poznać, utrzymywać kontakt, w końcu to siostra. Dziwne uczucie - nigdy nie był bratem.

W sumie to niewiele o niej wiedział. Teraz się okazało, że była starsza od niego o ponad rok. Pozostała singielką, chociaż była wcześniej w jakichś związkach. Miała przyjemne mieszkanie w Rejkiawiku. Uczyła biologii i chemii w gimnazjum. Jej rodzice mieli dom we Flateyri, ojciec był rybakiem. A poza tym świetnie pływała i jeździła na nartach. Widywali się w weekendy, lubili filmy akcji. Ostatnio pochłaniała szwedzkie kryminały.

Jaka jest jego siostra? Z pewnością ładna, miła, radosna, dowcipna, lubi się śmiać...

Ciekawe, co ona powiedziała o nim? Ma już trzech braci, czwarty nie jest jej potrzebny do szczęścia.

Rozdział 8

Przed swoją pierwszą egzotyczną podróżą Konrad kupił dobry aparat fotograficzny.

W Maroku napstrykał sześćset zdjęć. Był dumny z siebie, dopóki przypadkiem nie wpadł mu w ręce jakiś numer „National Geographic”. Zrozumiał, że fotografia jest sztuką i trzeba podejść do tego profesjonalnie. Wyrzucił większość zdjęć, kupił kilka płyt z kursem fotografii cyfrowej i zaczął od nowa. Fotografowanie przerodziło się w pasję.

Jego mieszkanie w Warszawie pełne było zdjęć, rzeźb, masek. Kochał prymitywną, prostą, pierwotną odmianę sztuki. Naturalne materiały: drewno i kamień, bo są energetyczne, świetnie odzwierciedlają zakłętę w nich emocje. Meksyk, Peru, Afryka i Azja. Miał okazję powłóczyć się trochę po świecie, głównie służbowo, ale swoje urlopy również spędzał

w podróży. Należał do tych niespokojnych duchów, których stale gdzieś nosiło. Śpieszył się, by zdążyć zobaczyć, przeżyć jak najwięcej. Każdym nerwem czuł, że rzeczywistość, w której przyszło mu żyć, to czas silnych emocji - im więcej adrenaliny we krwi, tym lepiej.

Nieprzypadkowo takim powodzeniem cieszyły się sporty ekstremalne. On sam również, gdy tylko miał okazję, chętnie w nich uczestniczył. Uwielbiał to balansowanie na granicy życia.

Nie znosił żmudnej codzienności.

Z przerażeniem patrzył na życie Magdy. Samą siebie skazała na tę potworną wegetację. A jeszcze nie tak dawno była taką bystrą, cudowną dziewczyną. Współczuł jej, ale jednocześnie drażniła go ta jej pokora, godzenie się na wszystko, co jej podsuwa los. Taka bierność, zamknięcie się na świat, cofanie się. Niedopuszczalna postawa we współczesnym świecie, z góry skazująca na porażkę.

Przechowywał setki płyt ze zdjęciami. Opisane tematycznie, ułożone alfabetycznie, pozwalały szybko dotrzeć do materiałów.

Okresami fascynował go coraz to inny temat. Od dwóch lat były to drzewa. Miał już sporą kolekcję zdjęć niesamowitych drzew. Niemal z każdym wiązała się jakaś legenda, ciekawa historia. Perełką były drzewa z Kambiry w Indonezji - w ich pniach umieszczano zwłoki zmarłych dzieci. W ten sposób dzieci te mogły rosnąć wraz z drzewem, aż ich dusze osiągną niebo.

Gdy spędzał weekend u zaprzyjaźnionego Norwega, miał okazję podziwiać stare powalone sosny, które dzięki samomumifikacji pamiętały czasy średniowiecza. Ten gatunek, gdy obumierał, wydzieliał bardzo dużo żywicy odstraszał mikroby odpowiedzialne za butwienie. Drzewa bywały naprawdę niesamowite i zawsze przyjazne człowiekowi. Jako dziecko lubił się przytulać do chropawych pni i wdrapywać się na sam ich czubek. Zapamiętał

ten moment zaskoczenia, gdy po raz pierwszy, stojąc wysoko na gałęzi, zobaczył swoje podwórko z zupełnie innej perspektywy. Kilka lat później zrozumiał, że również jego problemy, tak jak ludzie tam na dole, mogą skarleć, jeżeli nauczy się nabierać do nich dystansu. Bardzo mu to pomagało w życiu.

Popatrzył z zadowoleniem na pokój, w którym popijał szkocką z lodem. Siedział w wygodnym skórzanym fotelu, jego stopy tonęły w miękkim dywanie. Raz za razem nakładał mu się na to zupełnie inny obraz: ciemne dwa pokoiki, mała kuchnia, opary dymu, smród piwa, przekleństwa braci. Dwa światy, obydwaj z jego życia.

Zgromadził w tym mieszkaniu masę materiałów, by później, gdy wycofa się z intensywnego życia zawodowego, pisać książki. Zamierzał też wydać albumy fotograficzne ze swoich wypraw. Nie miał czasu na pisanie dzienników, więc fotografował, utralając to wszystko, co wydawało mu się ważne, co go inspirowało.

Dopiero jakiś rok temu zorientował się, że w tych czterech dużych pokojach obwieszonych zdjęciami różnych formatów brakowało fotografii osób mu najbliższych. Kupił

więc Piotrusiowi prostego w obsłudze Nikona, nauczył wgrywania zdjęć do komputera i przesyłania na jego pocztę. Chłopiec robił szybkie postępy, biegał i pstrykał, a on miał co parę dni świeże zdjęcia z domu. Poznał wreszcie kolegów syna, wychowawczynię z przedszkola, widział, kto odwiedza Magdę - zamknięty krąg osób: przyjaciółki Hania i Ada, lekarz, pogotowie ratunkowe.

Tylko zdjęcia Sary wywoływały w nim lęk i chęć ucieczki. Zawsze od niej uciekał, od chwili poczęcia; wzbudzała w nim uczucia bezradności, winy i buntu. Nie pozwalał sobie na myślenie o swoich kontaktach z córką, ponieważ nie radził sobie z nimi. On sobie z czymś nie radził! Taka świadomość bolała, i to bardzo. Degradowała go we własnych oczach.

W okresie, gdy był postrzegany jako najlepszy, szybko awansował, został liderem w firmie, po powrocie do domu stawał się bezradnym rodzicem. Miał żal do Magdy, że mu zafundowała ten dyskomfort. Nigdy się z tym nie pogodził. Gdy Sara się urodziła, wyróciła ich życie do góry nogami. Taki mały wrzeszczący ludzik, który nie chciał jeść i przybierać na wadze jak wszystkie inne niemowlaki. To przez nią przestał istnieć dla Magdy, która swój cały zapas miłości przelała na córkę. To jej pojawienie się stworzyło przepaść między nimi...

I jeszcze ta świadomość, że on to wszystko przewidział i można było temu zapobiec.

Dzisiaj musiałby Magdzie powiedzieć: widzisz, miałem rację, to poświęcenie wszystkiego nie miało sensu. Zmarnowałaś naszą miłość, nasze wspólne życie, a najbardziej siebie samą. Nie osiągnęłaś niczego! Niczego, a mogłaś tak wiele...

Ostatnio często zastanawiał się, w kogo miały uderzyć choroby Sary, przecież nie w nią, bo była niewinnym dzieckiem. Myślał raczej o sobie. Może to kara za to, że jej nie chciał? Szukał dla niej ratunku na całym świecie, wykorzystywał swoje wpływy, znajomości, pieniądze. Nie oddał jej tylko swojego serca. Zrozumiał to dopiero, gdy urodził się Piotruś.

To on uruchomił w nim miłość ojcowską. Starał się część tego obudzonego uczucia przelać na córkę, ale Sara go onieśmiewała, dręczyły go wyrzuty sumienia i dominujące przeczucie, że dla nich było już za późno. Kiedyś miał sen, pamięta go w szczegółach. Scena jak z *Portretu Doriana Graya*, tylko gdy we śnie zerwał zasłonę z obrazu, zobaczył nie siebie, lecz twarz Sary, oszpeconą i przerażającą. Koszmar.

Nikomu się nie przyznał, ale był taki moment w jego życiu - trwał sekundę, ale był, tkwił jak gwóźdź w jego świadomości - gdy czekał na wyniki analizy krwi Magdy, gdy ważyły się losy jego nienarodzonego syna, poprosił, by los zabrał Sarę, bo i tak już była skazana, a ocalił to nowe dziecko. I los spełnił jego życzenie. U pięcioletniej córeczki pojawił

się nowy wróg, białaczka szpikowa. Dwie straszne choroby w jednym ciałku...

Piotruś robił także wiele zdjęć swojej mamy. A on lubił patrzeć na tę pogodną twarz.

Była w niej zakłęta niesamowita mieszanka dobroci i czułości. Emanował spokój, którego Konrad nigdy nie zaznał. Przymykał oczy i czuł, że przy niej byłby bezpieczny. Była matką.

Taką prawdziwą, jakiej on nigdy nie miał.

Nie rozumiał tego powiązania rodzinnego. To była nie tylko odpowiedzialność, obowiązek wychowywania, poświęcenie... to jakaś specyficzna więź... Szczerze podziwiał

siłę uczucia łączącego córkę z matką. Wydawała mu się nie z tego świata. On, ojciec, czuł się poza nawiasem, niewtajemniczony.

Wstał i dolał sobie szkockiej, dorzucił kostkę lodu. Ostatnio często spędzał tak wieczory. Samotnie analizował swoje życie.

Dopiero własna choroba otworzyła mu oczy, zmieniła proporcje, ukazała świat z innej perspektywy. Zmusiła go do przewartościowań. Chyba dzięki niej zyskał większe zrozumienie dla innych i lepiej poznał siebie.

Ostatnio coraz częściej czuł, że sukcesy, które osiągał, nie dawały mu szczęścia. Jak każdy młody mężczyzna chciał być podziwiany, chciał, by jego kobieta była z niego dumna, by się nim zachwycała. Był przekonany, że wszystko robił z ważnego powodu: walczył

o zapewnienie rodzinie stabilizacji w tym zwariowanym kraju. Próbował rozmawiać o tym z żoną.

- Kariera, kariera! Czy ty nie przesadzasz? Osiągnąłeś już tak dużo i co z tego masz, naprawdę jesteś szczęśliwy? Masz pieniądze, jesteś znany i doceniany, ale czy szczęśliwy?

- Oczywiście, że jestem! - oburzył się. - Zdobyłem tak wiele, zrealizowałem marzenia, nie zaprzeczysz! Ale to wszystko nie spadło ot tak z nieba. To nieustanna walka i ciężka praca. I nie robiłem tego tylko dla siebie, zawsze myślałem o was.

Zamilkła. Nagle straciła zapał i całą swoją buntowniczość, skuliła się, opuściła głowę.

Zaskoczony, nie wiedział, co o tym myśleć.

- Zobacz, co się z nami stało - zaczęła cicho. - Żyjemy w innych światach, różnimy się właściwie wszystkim. Tak naprawdę nie jesteśmy już małżeństwem. Nie znamy się. Jesteś mi obcy.

Zachnął się i chciał zaprzeczyć, ale gestem go powstrzymała.

- Nie mam do ciebie żalu, nie obwiniam cię. Nie, to nie to. Podziwiam cię i cieszę się z twoich sukcesów. Wiem, że nie spadły z nieba. Tylko proszę, nie mów bez przerwy, że robisz to dla mnie, dla dzieci. Myślałam, że mężczyzna, którego wybrałam, zapewni nam poczucie bezpieczeństwa, otoczy opieką, że razem, wspólnie stawimy światu czoło. Pieniądze to nie wszystko. My potrzebujemy twojej obecności, twojego współuczestniczenia w życiu rodziny. Dzieci potrzebują ojca, który będzie na wyciągnięcie ręki, zawsze gdy jest im potrzebny. A ty jesteś jak dobry wujek, wpadasz rzadko, opowiadasz o cudownych podróżach, przywozisz drogie prezenty. Myślisz, że tak wygląda miłość?

- Wątpisz w to, że kocham swoje dzieci?

- Ależ kochasz je, ale po swojemu, na swoich warunkach. Zapewniasz im komfortowe życie, martwisz się o przyszłość. A co z teraźniejszością? A co ze mną?

- Kocham cię, ale nic bym nie zdziałał, gdybym razem z tobą zamknął się w tym domu.

- Ty to tak widzisz.

- Każde z nas patrzy na świat swoimi oczami.

Zrozumiał, że dla niej dojrzały, męski facet to ktoś opiekuńczy, stale obecny. Ale świat nie był taki, wymagał poświęceń i kompromisów. Ona, przez tę dobrowolną izolację, całkowite poświęcenie, nie była świadoma sytuacji w Polsce, bezrobocia, inflacji, wielkiej emigracji za pracą. Nie musiała się o nic martwić, osłaniał ich, jak mógł. W jednym miała rację - nie byli razem, każde walczyło na innym polu, ale tego wymagała sytuacja. Na wiele rzeczy nie mamy przecież wpływu.

Ostatnio sporo o tym wszystkim myślał. Jego życie wyraźnie rozpadało się na trzy światy. Tak, na trzy, ponieważ jego dom rodzinny od domu małżeńskiego dzieliła również olbrzymia przepaść. Nigdy nie zabiegał o budowanie mostów, które połączyłyby je w całość.

Odwrotnie - działał tak, jakby zależało mu na tym, by nie łączyć tych światów. Tak było wygodniej, bezpieczniej, bo jak sobie uświadamiał, w każdym z nich był innym człowiekiem.

Teraz chciałby z tych kawałków sklecić jakoś siebie i zrozumieć. Jednak rzeczywistość, w której się urodził, była tak odległa i tak różna od tej, w której żył obecnie, że ich konfrontacja jego samego zdumiewała. Był pucybutem. O nie, był większym pucybutem niż ten symboliczny w Ameryce, bo działał w polskich warunkach. Był naprawdę dumny z siebie.

A jednak nie czuł się szczęśliwy.

Korzeni tego wszystkiego zaczął szukać w swoim dzieciństwie.

Rozdział 9

Konrad Kostrzewski! Jestem bardzo mile zaskoczona. Muszę dać ci piątkę, a nawet piątkę z plusem! Czy ty na pewno jesteś bratem Romana i Darka? No, chłopcze, będziesz musiał mi to udowodnić. Na następnej klasówce siedzisz w pierwszej ławce, tu przede mną, przy katedrze. - Nauczycielka stuknęła palcem w blat. Dopiero wręczając mu pracę, uśmiechnęła się.

Usiadł, trzymając kartkę z rozwiązanymi zadaniami i wielką czerwoną piątką z plusem. Długo się zastanawiał nad słowami nauczycielki. Co niby miał jej udowodnić? Że jest czy nie jest bratem swoich braci?

Był wtedy uczniem czwartej klasy, miał dziesięć lat i do dzisiaj nie znalazł odpowiedzi na tamto pytanie.

Jego rodzina to ojciec, dwóch braci i on. Matka zmarła na raka płuc, gdy skończył

dwa lata. Jak przez mgłę pamięta odgłos rozrywającego, nieprzerwanego kaszlu. Nosila go na rękach, a gdy łapał ją kolejny atak, przytulała jego główkę do piersi, zasłaniając mu usta dłonią. Jakby chciała go chronić przed zarażeniem. Wyrывał się, bo przerażało go to głośne rżenie, i dusił się z braku powietrza. To jedyne wspomnienia o mamie, jakie zachowały się w jego pamięci.

Gdy parę tygodni po śmierci matki on sam zaczął kaszleć, lekarz stwierdził zapalenie oskrzeli i wymusił bezwzględny zakaz palenia papierosów w jego obecności. Bracia przenieśli jego łóżeczko do maleńkiej kuchni i rzeczywiście, w tym najmniejszym pomieszczeniu mieszkania nie palili, a nawet pilnowali, by nikt inny tego nie robił.

Jeszcze wiele razy czynili odstępstwa dla jego dobra. Chyba był to przejaw miłości z ich strony. Widział to dopiero teraz, gdy analizował tamte lata. Nikt go nie przytulał, nie całował, nie pieścił. Gdy się uderzył boleśnie, przewrócił, zapłakał, to słyszał: - No, chłopie, poboli i przestanie. Przestań ryczeć, nie jesteś babą.

W tym łóżeczku spał do szóstego roku życia. Nie mieścił się już w nim, nogi sterczały poprzez

szczelbelki. Wstydział się go bardzo i jednocześnie tylko w nim czuł się bezpiecznie.

Zakupienie nowego łóżka nie było aż takie trudne, chodziło o brak miejsca. Kuchnia była za mała, a w dwóch pokojach nie było możliwości.

W pierwszym pokoju spał ojciec i jeden z braci, zamiennie. W drugim nocował ten z braci, który przyprawiał na noc dziewczynę. O to pomieszczenie toczono największe boje. Awantury wybuchały szczególnie ostro w sobotnie wieczory. On nie pasował do żadnego z nich, no bo ten dym z papierosów. Wieczory w domu były zawsze takie same: papierosy, piwo i mecz albo film do późnych godzin nocnych, często w towarzystwie kolegów ojca lub braci. Został więc w tej kuchni i co wieczór rozkładał turystyczne łóżko, blokując wejście.

Jego bracia byli postrachem całej dzielnicy. Już sam ich wygląd wystarczał.

Mięśniaki! - tak ich nazywano. Całe dni spędzali w siłowni, którą urządzili sobie w starej pralni.

- Buczki! - mówił o nich dumny ojciec.

Gdy przysłała moda na łyse głowy i tatuaże, jego bracia pierwsi w to weszli. Zaraz znalazło się wielu naśladowców i cała dzielnica zaroila się od łysych dresiarzy.

Mógł się tylko domyślać, skąd bracia mieli sprzęt, na który ojciec nie dawał im pieniędzy, bo ich nie miał. Pensja hutnika wystarczała na rachunki, jedzenie i piwo. Oficjalnie bracia zbierali złom i węgiel na hałdach.

Konrad był Patyczakiem. Taką ksywę wymyślił mu Darek, bo chudy, bledziutki, niejadek. Jego żołądek nie potrafił sobie poradzić z kapuśniakiem, żurem, golonką, tłustymi żeberkami, które gotował ojciec. Każda próba zmuszenia go do zjedzenia kończyła się wymiotami, biegunką i temperaturą.

Ciotka Stasia wpadała więc parę razy w tygodniu i przyrządzała dla niego rosółki, racuszki czy naleśniki. Ojciec zagroził, że chłopcom łapy poprzetrąca, jak dobiorą się do tego jedzenia. Niewiele to pomagało.

Wzbudzał litość. Taka mała sierotka bez matki wywoływała potrzebę opieki.

Sąsiadki zapraszały go do swoich domów i karmiły. Ciasteczka domowego wypieku, pomidorowa na śmietanie, pierogi. A że jadł jak wróbel, nikt mu nie żałował.

Najbardziej polubił grubą Ritę. To dla niej wymusił na braciach, by zamontowali zjeżdżalnię ze schodów. Od tej chwili mogła sama opuszczać mieszkanie na swoim wózku inwalidzkim. Te cztery schodki były jej zmurą - kto by tam, na Bobrku, pomyślał

o niepełnosprawnych? Teraz Rita mogła czytać swoje książki pod kasztanowcem, jedynym drzewem rosnącym na ich podwórku. Do końca życia była mu za to wdzięczna.

To Rita wprowadziła go w świat książek. Czytała mu bajki i romanse. A gdy skończył

pięć lat, wysłała do biblioteki publicznej i od tej chwili był jej posłańcem, a przy okazji wybierał coś dla siebie. Szybko nauczył się czytać. Ricie na tym szczególnie zależało, bo zadawał mnóstwo pytań, na które ona już nie miała cierpliwości odpowiadać. Wszystko go interesowało. Za radą Rity szukał odpowiedzi na swoje pytania w książkach.

Bibliotekarka, pani Gosia, też traktowała jego ciekawość z wielką życzliwością. Całą swoją wiedzę czerpał z książek, bo telewizor u nich był, ale nastawiony wyłącznie na sport i filmy akcji. Piłka nożna, boks i żużel - to były prawdziwie męskie sporty. Nie podzielał

żadnej z tych pasji.

Już jako dziecko samodzielnie czytające odrzucił bajki i książki fantasy, uwielbiał

prawdziwe historie o odkrywcach, ludzkiej odwadze, o wyznaczaniu sobie celów i osiąganiu ich wbrew logice, na przekór wszystkim i wszystkiemu. Wierzył w potęgę ludzkiego umysłu.

Uważał, że Święty Graal, jak wszystkie czarodziejskie przedmioty, był dla tych, którym nic nie wychodziło i potrzebowali wsparcia nadnaturalnych mocy.

Nigdy nie miał problemów z nauką. Zajęcia szkolne go wręcz fascynowały.

Szczególnie w młodszych klasach. W miarę spokojny, na tyle by nie rzucać się nauczycielom w oczy,

w miarę aktywny, żeby akceptowali go koledzy. Zresztą nikt nie odważyłby się z niego wyśmiewać, a tym bardziej atakować go, chociaż był chucherkiem, a tacy zawsze obrywali za winy niepopołnione. On był bratem Mięśniaków. To wystarczyło. Był nietykalny.

Wtedy uważał to za normalne. Dopiero znacznie później uświadomił sobie, że zaoszczędziło mu to wielu upokorzeń.

Nowa nauczycielka matematyki, zadając mu to pytanie, uświadomiła mu, jak bardzo różnił się od swoich braci, że zupełnie do nich nie pasował. Był inny. I również to, że chciał być inny.

Postanowił udowodnić, że będzie najlepszy - i w klasie, i w całej szkole. To dążenie do bycia najlepszym zamieniło się w obsesję uczenia się. W starszych klasach pojawił się dodatkowo element konkurencji. Uwielbiał zaskakiwać wiadomościami, wiedzieć więcej niż inni, a jeszcze później zdobywać nagrody, dyplomy, wygrywać konkursy i olimpiady.

Bracia traktowali go pobłażliwie - taki nieszkodliwy odmieniec. On jeden był podobny do matki. Drobną buzią z dużymi szarymi oczami, cały delikatniutki. Co z takim zrobić, raczej trzeba było uważać, żeby go nie trzepnąć mocniej, bo łatwo mu coś połamać, uszkodzić i byłby kłopot. A jednak byli z niego dumni.

Darek zrobił mu półki na ścianie w kuchni, by miał gdzie położyć książki. A ojciec pokazywał swoim koleżkom i wszystkim sąsiadom jego świadectwa i dyplomy, które trzymał w dużym pudełku po butach.

W piątej klasie Roman zaczął dawać mu kieszonkowe. Uznał, że żaden Kostrzewski nie może być „gołodupcem”. Właśnie skończył zawodówkę i rozpoczął pracę w hucie. Miał dziewczynę i zamierzał się ożenić.

I wtedy zdarzył się ten wypadek. Ale najpierw Darek odkupił stary motocykl. Całymi wieczorami dłubali przy nim, czyścili, polerowali, kombinowali części i próbowali. Ryk silnika zagłuszał wszystko. I o to chodziło, nikt nawet nie pomyślał o założeniu tłumika. Co wieczór była o to awantura. Kobiety stawały w oknach i darły się, próbując przekrzyczeć dźwięki, które doprowadzały je do furii. Aż wreszcie udało się go uruchomić i rozpoczęły się szaleńcze jazdy po hałdach.

Jak zwykle jego bracia wprowadzili nową modę. W sobotnie popołudnia na ich podwórko zjeżdżało się kilku motocyklistów. Każda maszyna inna. Pomalowane w dzikie płomienie, smoki, czarne pantery. Gdy razem ruszały, w domach trzęsły się ściany, szkło brzęczało w kredensach. Dzieciaki gromadziły się, podziwiały, ale nie miały odwagi nawet dotknąć.

Wtedy jeszcze na wakacje przyjeżdżał Achim. Achim to był ktoś na Bobrku. Od sześciu lat mieszkał w Niemczech, przyjeżdżał na Śląsk do dziadków. Rozdawał dzieciakom gumy do żucia z Donaldem, a dziewczynom czekolady. Chłopakom stawiał piwo. Miał forszę, miał marki! Skończył dwadzieścia lat i jeździł samochodem, który jego rodzice podarowali dziadkowi. W to lato jego auto nie wzbudzało należytego zainteresowania. Liczyły się motocykle.

Achim mógł się tylko odgrażać, że na następne wakacje przyjedzie supermaszyną, może nawet harleyem. Samym gadaniem nikogo nie wzruszał. Więc żeby nie stracić pozycji lidera, wymyślił ten wyścig, a nawet ufundował nagrodę dla zwycięzcy - pięćset marek! Masa forsy. Odtąd wszyscy żyli tą jedną datą: dwudziestego dziewiątego lipca.

W ich domu doszło do prawdziwej konfrontacji sił między Darkiem i Romanem.

Każdy widział się zwycięzcą, a zawodnikiem mógł być tylko jeden. Kłócili się jak nigdy dotąd, dochodziło do rękoczynów. W końcu ojciec zagroził, że rozwali motocykl, jeśli się nie uspokoją i nie ustalą, który z nich wystartuje.

Zdecydował los. Były dwie karteczki w kapeluszu, z napisem „tak” i „nie”. Roman był tym szczęściarzem, ale wcześniej ustalili, że ten drugi w ramach rekompensaty dostanie sto marek.

Konrad był „za smarkaty”, z góry wykluczony. W domu w wielu zdarzeniach nie uczestniczył, bo to

były męskie sprawy i tematy. Tak było od zawsze.

O wszystkim, co później się wydarzyło, dowiedział się głównie z relacji innych dwunastolatków.

Do wyścigu przystąpiło sześć motocykli. Trasa biegła przez hałdy między kopalnią i hutą. Powbijano nawet paliki z czerwonymi chorągiewkami i zawieszono wielki napis „META”. Jak na prawdziwych zawodach.

Skąd się wzięło to żelastwo dwieście metrów za wyznaczoną metą, nigdy nie ustalono.

Od niepamiętnych czasów mieszkańcy familoków zbierali złom na hałdach, mógł to zrobić każdy.

Rozpędzony motocykl, minąwszy metę, walnął w kawał szyny wtopiony w kępę trawy. Roman zginął na miejscu.

Achim przyszedł wieczorem, bez słowa położył pięćset marek na stole i od razu wrócił do Niemiec.

Nikt go więcej nie oglądał. Jego dziadkowie wyjechali w grudniu na święta i też już nie wrócili.

Darek z ojcem pili codziennie. Chyba na to poszły wszystkie zdobyte marki. Nie trzeźwili do października, kiedy to Darka powołano do wojska.

Konrad miał teraz dla siebie cały pokój braci. Za to musiał nauczyć się gotować i sprzątać, bo ojciec do niczego się nie nadawał.

Na przekór sytuacji uczył się jeszcze więcej. Sprawiało mu to wielką satysfakcję.

W końcu został najlepszym uczniem nie tylko w klasie, ale też w całej szkole.

Brat na przepustce z wojska był tylko raz, zaraz po przysiędze, na którą pojechali jego koledzy z podwórka. Konrad nie zabrał się z nimi, bo ojciec był świeżo po wylewie i nie mógł zostawić go samego.

Darek dostał przydział do Marynarki Wojennej i nie opłacało mu się przyjeżdżać na Śląsk. Wolał spędzać swoje przepustki z dziewczynami, które poznawał na Wybrzeżu. Pod koniec trzyletniej służby wojskowej przyszedł telegram z jednostki. Wynikało z niego, że Darek zginął w bójce na zabawie w jakiejś wiejskiej remizie strażackiej. Na koszt wojska sprowadzono go do domu i pochowano. Ludzie różnie to komentowali, każdy powrót w metalowej trumnie budził wątpliwości i spekulacje. Oni nie dochodzili prawdy. Był rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty piąty.

Konrad został jedynakiem, wyłącznym opiekunem na wpół sparaliżowanego ojca.

Musiał dorosnąć w tempie przyspieszonym.

W tym okresie najbardziej pomocna była Rita. To ona zajmowała się ojcem, gotowała posiłki, gdy on siedział w szkole czy w bibliotece. Prasowała im spodnie i koszule. Konrad bardzo dbał o swój wygląd. Jako jeden z nielicznych używał dezodorantów. Nie mógł pozwolić, by w szkole rozpoznawano go po zapachu.

Usłyszał kiedyś w tramwaju rozmowę młodych dziewczyn. Stwierdziły, że mieszkańców Bobrka można rozpoznać po zapachu. Głęboko wzięł sobie tę uwagę do serca.

Załatwiał sprawy w urzędach, w aptece, u lekarza, robił wszystkie zakupy. Został głową rodziny, chociaż był tak młody.

Szkolę podstawową ukończył z najwyższą lokatą. Miał prawo wyboru szkoły średniej.

Zdecydował się na najbardziej oblegane Pierwsze Liceum Ogólnokształcące imienia Jana Smolenia w Bytomiu. Chciał mieć wokół siebie najlepszych.

I to mu już zostało. Szukał w otoczeniu tych, którzy mogli go czegoś nauczyć, i przyklejał się do nich na jakiś czas. Lubił inne spojrzenia na sprawę, niekonwencjonalne rozwiązania, nowatorskie tezy. Czuł, że musi być nieustannie inspirowany. Wtedy jego mózg zwiększał obroty, życie nabierało tempa i było fascynujące. Adrenalina na wysokim poziomie.

Przez liceum przeleciał jak burza i znowu, będąc w gronie najlepszych absolwentów, miał prawo wyboru uczelni.

Był rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty pierwszy. Czas wielkich przemian.

Właśnie zjednoczyły się Niemcy, a rozpadał Związek Radziecki. W Polsce prezydentem został Lech

Wałęsa. Tyle się działo i zapowiadały się dalsze rewolucyjne zmiany. Wszystko mogło się wydarzyć i stawiano na młodych. To była wielka szansa dla operatywnych.

Wiedział, że musi wybrać zawód związany z finansami, zarządzaniem, ekonomią.

Firmy rosły jak grzyby po deszczu. Marzyły mu się wielkie korporacje, współpraca z zagranicą, wyjazdy.

Przez jakiś czas fascynowała go giełda. Zapewne pod wpływem serialu *Capital City*, przedstawiającego niezwykle życie kilkorga yuppie. Maklerzy i brokerzy - to byli jego ulubieni bohaterowie filmowi. Oni wprowadzili go, nastolatka, w świat finansjery, zarządzania ryzykiem, pokazali „mózgowych” dealerów.

Rozpoczął studia na Wydziale Zarządzania i Marketingu na Uniwersytecie Śląskim.

Wszystko sobie dokładnie obliczył. Dostawał stypendium socjalne - niska renta ojca mu to gwarantowała - dorabiał sobie korepetycjami z angielskiego. Nie trwało to długo, już po pierwszym roku zgarniał najwyższe z możliwych stypendium naukowe za wysoką średnią ocen.

To był piękny okres w jego życiu. Student uniwersytetu to był ktoś, niewielu z jego dzielnicy studiowało. Cieszył się ogólną sympatią i szacunkiem. Mieszkańcy familoków byli z niego dumni. Nadal był nieetykalny, chociaż czasy zrobiły się bardziej bandyckie.

Powstawały coraz okrutniejsze i lepiej zorganizowane gangi, ale pamięć o jego braciach wciąż była żywa i chroniła go jak niewidzialna tarcza. Obaj zginęli tragicznie - to wzbudzało respekt. Lubił swoich sąsiadów, ale jednocześnie robił wszystko, by odciąć się od swoich korzeni. Nigdy nie założył dresu, chodził głównie w garniturach, w płaszczu, a nie w kurtkach. Nie nosił modnych w tej dzielnicy toreb na długim pasku, tylko skórzaną aktówkę. Tępił u siebie gwarę, nie przeklinał, a jednocześnie lubił słuchać przez otwarte okno, jak wieczorem na ławeczce starzyki rozprawiali, a młodzież soczyście klęła. Nie zwracał uwagi na dziewczyny z Bobrka, nie planował zakładania tutaj gniazda.

Na drugim roku studiów nagle zmarł na zawał serca jego ojciec, a w cztery miesiące później, w czasie snu, cichutko odeszła Rita. Został sam jak palec.

Nie czuł potrzeby roztkliwiania się nad sobą. Działał w kilku organizacjach uczelnianych, jadał w stołówce studenckiej, do domu jeździł się wyspać. Coraz mniej łączyło go z tą dzielnicą.

Pod koniec trzeciego roku studiów poznał Magdę. Wspaniałą dziewczynę z pięknym mieszkaniem w Katowicach. Trzecie piętro w dziesięciopiętrowym wieżowcu, trzy pokoje, łazienka w kafelkach, winda, centralne ogrzewanie. Luksus, o którym on mógł tylko marzyć.

Gdy w nim wreszcie zamieszkał, był szczęśliwy - to był przewrót w jego życiu, awans społeczny.

Magda tak jak i on była sierotą. Jej ojciec, inżynier budownictwa, stawiał wieżowce z wielkiej płyty. Mama pracowała w biurze rachunkowym.

Zginęli w wypadku

samochodowym, gdy Magda miała siedemnaście lat. Przez rok mieszkała z nią ciocia Julia, a po uzyskaniu pełnoletniości musiała sobie radzić sama.

Chociaż w momencie poznania ich losy wydawały się bardzo podobne, to jednak drogi, jakie przebyli, znacznie się różniły. Magda była rozpieszczaną jedynaczką, ukochaną córeczką tatusia. Jeździli na wczasy, miała swój pokój, uczęszczała na lekcje rysunku i basen w Młodzieżowym Domu Kultury. Chodziła z rodzicami do teatru i na koncerty.

Lubił słuchać jej wspomnień z czasów dzieciństwa, oglądać albumy ze zdjęciami z wycieczek, uroczystości rodzinnych, przedszkola i szkoły. Miała takie dobre życie, dostatnie, bezpieczne, była otoczona miłością. Taką rodzinę chciał kiedyś stworzyć. Czuł, że z Magdą było to możliwe.

Sama Magda była dla niego objawieniem. Tyle ciepła, czułości, podziwu znokoutowałyby każdego, a co dopiero takiego niedopieczzonego Patyczaka jak on. Od pierwszego dnia, gdy się poznali, stała się jego wymarzoną kobietą. Taka delikatna, wrażliwa, ufnie patrzyła mu w oczy i chętnie się przytulała. Sprawiała, że wszystkie inne kobiety przestały dla niego istnieć.

Lubiła gotować, prasować jego koszule, dbać o niego. Zapewniała mu ciszę, gdy się uczył. Bardzo szybko podporządkowała swoje życie jego potrzebom. Był jej pierwszym mężczyzną.

Coraz rzadziej wracał do swojego mieszkania w Bytomiu. W końcu bez żalu się z nim rozstał. Pamięta dokładnie ten dzień.

Pakował plecak na kilkudniowy wyjazd w góry. Lubił mieć wszystko przygotowane, ponieważ musiał wstać o piątej rano, by zdążyć na pierwszy tramwaj i odjeżdżający z Katowic pociąg do Zakopanego. Ustawiał narty w rogu przy drzwiach wyjściowych, gdy usłyszał cichy płacz. Jakieś dziecko szlochało, a kobiecy głos próbował je uciszyć. Zdziwił

się, ponieważ w tym domu od dawna nie było małych dzieci.

Nigdy nie zapomni tego widoku. Obok jego wycieraczki siedziała kobieta ze spuchniętą posiniaczoną twarzą. Tuliła do siebie mniej więcej półroczne niemowlę, nakrywając je rącznikiem. Obok kucąca pięcioletnia dziewczynka. To był styczeń, temperatura poniżej zera. Nie potrafił zrozumieć facetów, którzy maltretowali własne żony i dzieci.

Przygarnął ich, nakarmił, dał do dyspozycji mieszkanie. Spakował do plecaka wszystkie swoje dokumenty i zostawił kobiecie klucze i cały dobytek. Powiedział, że wraca za pięć dni. Liczył się z tym, że po powrocie może zastać mieszkanie całkowicie ogołocone.

Nikt wtedy nie słyszał jeszcze o Niebieskiej Linii.

Gdy wrócił z gór, zastał ich wszystkich - mieszkanie wysprzątane, w piecu napalone, gorąca zupa dymiła z talerza. Kobieta pilnowała mu domu, umyła okna, wyprała firanki, wypastowała podłogi. Wieczorem zabrała dzieci i zamieszkała u matki.

Od tego czasu wpadała raz w miesiącu i robiła generalne porządki. Wymusiła na nim zgodę, bo, jak twierdziła, to była jedyna dostępna dla niej forma okazania mu wdzięczności.

Rok później, gdy już na dobre zamieszkał u Magdy, nie zawahał się ani przez moment. Wiedział, ile to mieszkanie znaczy dla tej kobiety, kątem pomieszkującej u matki.

Zameldował ją i dzieci, zostawił klucze. Kobieta nie wróciła już do męża alkoholika.

Zamieszkała tam z dziećmi i pewno do dzisiaj tam mieszkają, tylko on z czasem stracił z nimi kontakt.

Magda wspomniała mu kiedyś, że co roku przychodzą życzenia świąteczne od Ireny i jej dzieci. Ucieszył się, że im odpisywała, on nie miał do tego głowy, tamten świat należał

do przeszłości. Podobno Irena znalazła pracę, a jej pociechy dobrze się uczyły. Sąsiedzi otoczyli ich opieką, z szacunku dla niego. Podobno do dziś interesują się jego losem i dobrze go wspominają.

Rozdział 10

Saro, jak się czujesz? Bardzo cię boli? - cicho pytał Piotruś. - Lekarz był u ciebie całą noc?

- Nie, nic mnie nie boli, nie martw się. Jestem tylko bardzo słaba, nawet mówić mi trudno. Doktor Michał był długo i trzymał mnie za rękę. Bardzo go lubię, wiesz? Szkoda, że tata nie może być z nami. Czasami chciałabym, żeby też tak posiedział przy mnie i pottrzymał za rękę.

- Myślisz, że ja bym nie chciał, żeby był z nami w domu? Ale wiesz przecież, że on ciężko pracuje, on jest ważną osobą, dyrektorem, a nawet więcej niż dyrektorem, prezesem!

On musi jeździć po całym świecie. Załatwia superinteresy.

- Ja to rozumiem. Tylko... czasami bym chciała... Ale to głupie, masz rację. Wiesz o czym teraz myślę? Jak to jest nie być?

- Nie być? - Zastanawiał się przez chwilę. - To znaczy zniknąć? Mieć czapkę niewidkę?

- Nie, nie. Zniknąć, to tak jakby przenieść się gdzieś indziej, a mnie ciekawi, jak to jest, kiedy przestaje się w ogóle istnieć.

Piotruś zmarszczył brwi, intensywnie myślał, ale prawda była taka, że nie wiedział, a nie cierpiał nie wiedzieć. Wybrał ucieczkę.

- A ten lekarz to coraz częściej tu przychodzi, już w końcu powinien cię wyleczyć, no nie? - Zrobił nadęsaną minę.

- Ja wiem, że on by bardzo chciał i mama byłaby taka szczęśliwa, ale nie każdą chorobę można wyleczyć. Mojej się chyba nie da.

- Od tego są lekarze, żeby leczyli! - upierał się. - Nie może być tak, żeby ktoś był chory przez wszystkie dni i noce. To niesprawiedliwe! Dzieci w przedszkolu też chorują, ale potem wracają zdrowe.

- Czasami naprawdę nic się nie da zrobić.

- Ale ty jesteś ciągle chora, nie chcę tak. Niech teraz ktoś inny trochę pochoruje.

- Ach, przestań, Piotrusiu, już o tym rozmawialiśmy. Ale wiesz, w nocy doktor Michał opowiadał mi, że jest taka piękna kraina, na dużej wyspie, i tam mieszkają elfy, które pomagają dobrym ludziom, potrafią sprawić, by byli szczęśliwi i żyli w dostatku. Myślałam, że w Polsce też są elfy, ale doktor powiedział, że o tym nie słyszał. W Polsce są podobno krasnoludki, tylko że nikt ich nie widział. Natomiast są ludzie, którzy widzieli elfy.

- Ja w to nie wierzę! - Piotruś wyduł wargi. - Od leczenia są lekarze, a nie krasnoludki.

- Tak. Ale on tak pięknie opowiadał - westchnęła. - Te małe ludziki są takie fajne, robią tamtym ludziom dużo niespodzianek. Czasami różne śmieszne psikusy. Chciałabym, żebyśmy popłynęli na tę wyspę, wszyscy, cała nasza rodzina.

- No, ja też bym chciał i żeby te elfy istniały naprawdę.

- Piotrusiu, jestem bardzo zmęczona, będę teraz spała. Obudź mamę, bo spóźnisz się do przedszkola. Ona też siedziała przy mnie całą noc.

- Dobrze, Saro, śpij, a ja zrobię dla ciebie dużo zdjęć i wszystko ci opowiem, jak wrócę. I... - zatrzymał się w drzwiach - dowiem się, jak to jest przestać być.

Sara uśmiechnęła się i zamknęła oczy.

Magda cichutko przeszła do kuchni, nie chciała, by dzieci zorientowały się, że niechcący słyszała ich rozmowę. Z trudem hamowała napływające łzy. Minęła ciężka noc, lekarz jakoś ustabilizował stan Sary. Siedzieli przy jej łóżku prawie do rana. Była mu wdzięczna, że nie zostawił jej samej, czuła się bezradna i bardzo samotna.

Michał odebrał od pielęgniarki wyniki badań. Westchnął ciężko. Sprawdziły się jego podejrzenia, i to w tej najgorszej wersji. Tak, to koniec, mała Sara nieodwołalnie odchodzi, to kwestia dni, może nawet godzin.

Od trzech lat czuwał nad jej zdrowiem, wiedział, że zrobili wszystko, co było możliwe. Sprowadzali eksperymentalne lekarstwa z całego świata, bo dziewczynka miała ojca, którego było na to stać i miał duże możliwości. Konsultował się z lekarzami wielu klinik. Ostatnio od jednego z nich usłyszał:

- Czego się pan jeszcze spodziewa? I tak można panu pogratulować, dokonał pan cudu, przedłużając jej tak długo życie.

Wiedział, że doktor Davidson ma rację. Zgodnie z aktualną wiedzą medyczną to dziecko powinno już nie żyć od wielu miesięcy. A żyło i to było tajemnicą, której nauka nie potrafiła wyjaśnić.

Czekało go teraz trudne zadanie. Musiał przekazać matce taką wiadomość... Bywał u nich coraz częściej, ostatnio co drugi dzień. Wbrew temu, czego można by się było spodziewać, ten dom był pogodny, dominowała w nim atmosfera miłości, zrozumienia, swobody. Nieraz się nad tym zastanawiał. Odwiedzał przecież wiele domów, dyżurował w pogotowiu ratunkowym. Ciężka choroba zawsze sprawiała, że panował w nich smutek, przerażenie, często towarzyszyły jego wizycie łzy i rozpacz.

Z mieszkania Kostrzewskich nie chciało się uciekać, człowiek czuł się w nim dobrze, witany jak oczekiwany gość, dobry znajomy. Tam można się było odprężyć, nikt się nie śpieszył, nikt nie podnosił

głosu. Nie pamięta, by widział gdzieś włączony telewizor, za to zawsze był czas na herbatę, ciasteczka i rozmowę. Pani Magda wyznała mu kiedyś, że świat zewnętrzny zupełnie przestał ją interesować, celowo unikała programów informacyjnych, ponieważ atakowały złymi wiadomościami, obrazami samych nieszczęść, wojen, katastrof.

To, co się działo na zewnątrz, przerażało ją. Bezpieczna i szczęśliwa czuła się tylko z dziećmi, w domu. Nietypowy dom. Sara zawsze witała go uśmiechem, pomimo cierpienia była pogodnym dzieckiem. Czuł, że jego wizyty ją cieszą, nie bała się go.

Lubił też spokój i tę łagodność w oczach pani Magdy. Jej delikatne, nieśpieszne ręce, które z taką czułością dotykały ciała dziecka. Ta symbioza matki i córki była wzruszająca.

Bardzo się obawiał o nią. Jak sobie poradzi, gdy nieuniknione w końcu nadejdzie?

Cieszył się, że w jej życiu był jeszcze energiczny, pełen niesamowitych pomysłów chłopczyk. Dla syna będzie musiała wrócić do normalnego życia.

Delikatnie uniosła główkę córeczki i przechyliła na bok, a ta opadła na poduszkę, jakby cienka szyjka nie miała siły na ten ciężar. Przecierała mięciutką myjką delikatną skórę.

Mogłaby to robić godzinami, a fale ciepła i tklivości przelewałyby się przez jej duszę.

Cieszyła się, że skóra dziecka po tym masażu przybierała różowy, zdrowy odcień, smarowała ją oliwką, masowała drobne stopy.

Sara miała prawie jedenaście lat, ale nikt nie dałby jej nawet sześciu. Była taka szczuplutka, krucha. Śliczna buzia z oczami coraz większymi w drobniejącej twarzy.

Uwielbiała ją dotykać, całować, patrzeć na nią. Co rano cesała jej włosy, zaplatała w dwa cienkie warkoczki. Do niedawna wiązała jej kolorowe kokardki. Od jakiegoś czasu zaniechała tego, bo jakoś przestały pasować. Coś się niedostrzegalnie zmieniało.

Jej mała Sara patrzyła na nią zaskakująco poważnie, dorośle. Magda czuła się coraz bardziej zagubiona. Przeczynała, że córka już coś wie, jakby przerosła ją w rozumieniu świata.

Jakaś siła większa niż możliwości pojmowania człowieka zdecydowała, wyznaczyła jej to, co będzie musiała przeżyć. Ten czas nadchodził, osaczał ją, a ona nie godziła się z tym i błagała o kolejny dzień, kolejną godzinę.

To małe mieszkanie stało się całym jej światem. Niczego od życia nie chciała, nic nie było ważne. Nic, tylko ta bliskość.

Gasło tak młode życie, tyle niewykorzystanych możliwości. Dlaczego?

Takich pytań już sobie nie zadawała, nie były istotne. Przestała też uzalać się nad sobą. Teraz błagała o to, by los nie skracał jej tych przeżyć, by pozwolił jej tak trwać w nieskończoność. Chciała zajmować się swoją córeczką i niczym więcej. Chciała żyć w tym zamkniętym świecie.

Wszyscy jej współczuli, zupełnie niepotrzebnie. Nie przypominała sobie życia przedtem, nie miała żadnych planów na przyszłość, najważniejsze były chwile dzielone z dziećmi.

Dawniej próbowała godzić wiele funkcji naraz. Chciała być na bieżąco w tematach interesujących wszystkich młodych ludzi: nowe filmy, literatura, muzyka, moda. Chciała orientować się w sytuacji politycznej i ekonomicznej kraju. Być na poziomie... choć trochę dorównać Konradowi.

Dawniej często się modliła, błagała o cud, który uratowałby jej córkę. Teraz już nie musiała, już wiedziała, że każdy dzień z Sarą był cudem... Z tego słabiutkiego, schorowanego ciała spływała na nią cudowna energia przynosząca spokój i siłę przetrwania.

Co wieczór siadała na łóżku i brała córeczkę w ramiona. Tuliła, nuciła piosenki, opowiadała różne historie. Miała poczucie, że przebywając z nią, sama była bliżej tej tajemniczej siły, która rządziła światem. Nie dziwiło ją to, że od dłuższego czasu stan córki nie pogarszał się, że nie sprawdzały się prognozy lekarzy. Dopóki spływała na nie ta cudowna energia, były bezpieczne. Wszyscy wkoło martwili się o nią. Jakże się mylili... Przeczynała, że została wyróżniona przez los, przeżywała takie zespolenie z

drugim człowiekiem, o jakim inni mogli tylko marzyć. Nie pozwalała sobie pomóc. Nikt poza nią nie mógł dotykać Sary, dopuszczała tylko lekarzy. Hania kiedyś powiedziała jej, że wzbudza swoją postawą wielki szacunek i współczucie. Jest dla nich zagadką, zastanawiają się, skąd czerpie tyle siły i jak długo to wytrzyma? Przyjaciółka zauważyła również, że ludzie w jej obecności cichną, łagodnieją, jakby pokornieli. Widać, że Magda wyzwala w nich samo dobro.

Dziwne to wszystko. Ostatnio dużo o tym myślała. Sama zauważyła, że łatwiej znajduje zrozumienie dla postępowania Konrada. Poczła nawet wdzięczność, bo dzięki niemu mogła zajmować się tym, co kochała najbardziej. Sama była przecież nieużyteczna dla społeczeństwa, nie pracowała, niczego nie tworzyła. Nie walczyła, nie zdobywała... trwała.

Uświadomiła sobie również, że o sens życia pytali głównie ci, którzy odczuwali potrzebę zmiany. Jej to nie dotyczyło, została zwolniona z wyborów. Ktoś znacznie wcześniej, niż mogła to sobie uzmysłwić, ustalił dla niej priorytety. Czuła się wyjątkowa, bo dopuszczona do misterium życia, pozwolono jej dać życie, kształtować je, rozwijać i... będzie obecna przy jego zakończeniu. Chciała być jak najbliżej przekraczania tej granicy, do samego końca towarzyszyć, niemal uczestniczyć w spotkaniu córki z Aniołem Śmierci. Dalej jej pragnienia nie sięgały.

Rozdział 11

Deszcz wzmagął się. Uderzał z dużą siłą w liście drzew, drewniany taras, blaszany dach. Cała orkiestra chlupania, mlaskania, pluskania. Rynna bulgotała, krztusiła się, nie radząc sobie z nadmiarem wody. Po liniach wysokiego napięcia pędziły ładunki wodne. Duże bańki jak bomby niespodziewanie odrywały się i spadały prostopadle w dół. W równych odstępach niczym wagoniki kolejki liniowej, ciągle tworzyły się nowe i spadały. Konrad przyglądał im się przez dłuższą chwilę. Jakie to wszystko idealnie zsynchronizowane. Natura jest perfekcyjna.

Jadł swoje ulubione śniadanie. Jajka na miękko, grzanki, cieniutkie plasterki dojrzewającej polędwiczki. I mocna kawa, do śniadania ze śmietanką. Ostatnio lubił się dopieszczać.

Specjalnie wyjeżdżał z domu wcześniej, by zjeść śniadanie w swojej ulubionej gospodzie. Okazało się to lepszym pomysłem niż męczenie się we własnej kuchni. Starał się jeść dużo i często, a i tak tracił kilogramy.

Od chwili ustalenia, że zaraził się chorobą, minęło ponad sześć lat. To nie były lata darowane - przeciwnie, lata ostrej, desperackiej walki. Jeździł do Stanów i Szwajcarii, śledził

wszelkie nowinki z laboratoriów. Poddawał się różnym zabiegom, odwiedzał gabinety najlepszych specjalistów i szamanów w zapadłych wioskach. Był gotów uwierzyć we wszystko, co pozwoliłoby mu odwrócić los. Gdzieś usłyszał zdanie, które stało się mottem przewodnim w jego życiu: „Polegniesz, dopiero gdy przestanieś próbować”, więc nie przestawał.

Jakiś rok temu spotkał na lotnisku w Barcelonie Edwarda. To był szok, nie widzieli się ze trzy lata, a do Konrada dotarła wiadomość, że on nie żyje, że wykończył go rak płuc.

Tymczasem ścisnął go z całych sił, mocno poklepując, uśmiechnięty, ze sporą nadwagą, szczerze uradowany spotkaniem. Zaciągnął go na piwo i gdy tylko stuknęli się kuflami za spotkanie, popatrzył mu w oczy i zapytał:

- Stary, co jest grane? Jeszcze chwila i znikniesz.

- Nie ma o czym mówić - powiedział i w tej samej chwili poczuł, że musi. Właśnie jemu i właśnie teraz.

Przegadali dwie godziny do odlotu samolotu. Dowiedział się, że Edward rzeczywiście miał raka płuc i jego dni były policzone, a medycyna bezsilna, że dawali mu trzy miesiące życia. Namiary na uzdrowiciela w Kambodży dostał od kumpla, który zdaniem specjalistów powinien siedzieć bez nóg przed telewizorem, a biegał w maratonie. Edward mu uwierzył, poleciał do tej dżungli i teraz też biega. Razem biegają, dwa razy w tygodniu po ścieżce zdrowia w parku przy szpitalu, lekarzom na przekór.

Za radą szamana Edward wycofał się jednak z firmy. Uwierzył, że życie może być piękne bez tej chorej szarpaniny. Może stąd te plotki, bo zniknął z sal konferencyjnych. Ma syna i żonę, która jest w ciąży, mają nadzieję, że to córeczka. Jest szczęśliwy. Bardzo ceni sobie to drugie życie.

- Słuchaj, Konrad, powiedz mi jeszcze, skoro tak szczerze rozmawiamy, czy ty masz rodzinę? No wiesz, żonę, dzieci?

- Mam. I żonę, i dzieci. Córkę i syna.

- A jednak! - Ucieszył się Edward. - Bo wiesz, różnie się o tym mówiło. Ty sam nigdy o tym nie wspominałeś. Obrączki nie nosisz, ale jak wiesz, to o niczym nie świadczy.

- Właściwie nie wiem dlaczego - zastanawiał się Konrad. Jakoś się nie zgadało.

- Czy oni wiedzą, że ty?

- Nie. I nie mogę żonie nic powiedzieć... Moja córka... ona umiera.

- Tak mi przykro. Jak ty sobie z tym radzisz?

- Sam nie wiem. Walczę.

- Powiem ci szczerze, gdy mnie to dopadło, nie byłem twardzielem i gdyby nie moja Maryla, już by mnie nie było. Kobiety mają w sobie... nie wiem, jak to nazwać, ale jak one się zavezują, to żadna cholera ich nie pokona. Niemożliwe staje się możliwe. Przemyśl to, pogadaj z żoną. One są silne, silniejsze niż my, mężczyźni.

- Nie mogę, uwierz mi.

- Ty wiesz lepiej. Ale szkoda. Takie kobiece wsparcie jest bezcenne. Konrad, rodzina to podstawa. Wszystko inne można sobie odpuścić. - Machnął lekceważąco ręką. - Wiem, co mówię. Leć tam, chłopie, ratuj się, masz dla kogo żyć.

- Dzięki. Każdą szansę wykorzystam.

Konrad nie zastanawiał się długo, chociaż zdawał sobie sprawę, co go czeka o tej porze roku w Kambodży: deszcze monsunowe, wysokie temperatury, silne wiatry, olbrzymia wilgotność. Przyjaciela przyjaciela wszystko już wcześniej przygotował.

W tamten poranek wiedział tylko, że jest w okolicach Gór Słoniowych. Rozpoznawał drzewa sandałowe, kamforowe, tekowe. Jechali jeepem, dróg jako takich nie było. Na koniec szli pieszo. Prowadzono go jak skazańca. Na oczach opaska z czerwonej szmaty. Prawą dłońią trzymał się kurczowo skórzanego paska swojego przewodnika. Lewą ochraniał twarz, bo przedzierali się przez gęste zarośla. Jakieś gałęzie od czasu do czasu uderzały w niego boleśnie. Było duszno, wilgotno, cały ociekał potem.

Miał kłopoty z oddychaniem. Wiedział, że strach potęgował to uczucie. Byłby głupi, gdyby się nie bał w tych okolicznościach. Mogli z nim zrobić właściwie wszystko, nikt by go tutaj nie odnalazł. Nie znał ich, nic o nich nie wiedział, a oni o nim.

Nagle echo ich kroków uświadomiło mu, że są w jakimś tunelu. Skręcili jeszcze w prawo i po chwili zatrzymali się. Rozwiązano mu opaskę. Znajdowali się w jakiejś jaskini, ale szczelinami dochodziło światło. Przewodnik wskazał mu ciemny otwór w skale i gestem nakazał iść.

Musiał się mocno pochylić i przecisnąć przez wąskie wejście, tunel na szczęście nie był długi. Dotarł do kolejnej groty. W pierwszej chwili jego wzrok przyciągnęło niewielkie ognisko, ale tam nie było nikogo. Rozejrzył się i napotkał wpatrzony w siebie oczy.

Niesamowicie błyszczące w grubych, na czarno pomalowanych obwódkach. Usta, podkreślone na krwistoczerwono, poprzecinane pionowymi kreskami, przypominały świeżo zszytą ranę.

Dłuższy czas wpatrywali się w siebie intensywnie. Konrad bardzo chciał uwierzyć, że ten dziwnie ubrany człowiek ma w sobie tajemną moc, która go uleczy, odwróci jego zły los.

Pragnął, żeby tak się stało.

Tymczasem szaman nie poświęcił mu zbyt wiele czasu. Usiedli naprzeciw siebie, w kucki przy niewielkim ognisku. Tamten rozrzucił po trzykroć jakieś patyki, pomrukiwał

niezadowolony, prychnął, na koniec zaczął zawodzić jakąś smętną pieśń. Sypnął czymś w ogień, buchnął jasny płomień, który natychmiast zgasł, zostawiając po sobie szybko rozprzestrzeniający się gęsty, szary dym. Konrad zakrztusił się, źrenice go zapiekły. Gdy przetarł wilgotne oczy, stwierdził, że szaman zniknął gdzieś bezszelestnie.

To wyrok. Wiedział o tym. Był głęboko rozczarowany, narastała w nim złość. Ciało mu wiotczało, nie miał siły zerwać się, by szukać tego oszusta. Wbrew temu, co czuł, musiał przyznać, że szaman postąpił uczciwie. Nie obiecywał, nie dawał nadziei, uznał wyższość śmierci nad życiem. Tylko że to było jego życie!

Ocknął się na łóżku w małym hoteliku. Nie zostawiono go w jaskini, zwrócono cywilizowanemu światu. Poczł się jak gnijący śmieć.

Co się, kurwa, dzieje! Gdy tylko ma wolną chwilę, odpręży się trochę, to natychmiast dopadają go wspomnienia. Jakiś pieprzony czas analiz nastął, coraz częściej myślał o tym, co było, a nie o tym, co będzie. Jak stary emeryt... Zadzwoił telefon. Nie lubił porannych telefonów. Od dłuższego czasu nie miał prywatnych rozmów, a służbowe załatwiał

w godzinach pracy. Wyświetlił się Darek Cnota. Zdecydował się odebrać. Musiał mieć coś pilnego, skoro nie mógł poczekać jeszcze godziny.

- Konrad? Nareszcie! Ciebie złapać to jak w lotka wygrać. - Głos Darka był bardzo podekscytowany.

Konrad od razu stał się czujny. Darek należał do ścisłej czołówki „młodych”, którzy ostatnio osaczali go coraz ciaśniejszym pierścieniem. Czy to będzie frontalny atak, czy kolejna podjazdówka? W ostatnich miesiącach zdarzyły się już takie próby sił, jak dotąd ciągle był silniejszy, sprytniejszy.

- Streszczaj się, kolego, bo za wcześnie na pogaduszki - starał się brzmieć lekceważąco.

- Ja właśnie w tej sprawie. Nie musisz się śpieszyć. Stary odwołał naradę, polecił do Madrytu.

- Czyżbym zmienił sekretarkę? Nie przypominam sobie.

- Szef przed odlotem podpisał NASZ projekt. To ostatni news. To my lecimy do Brazylii i dlatego zapraszamy was na ekstra śniadanko do Myśliwskiej.

- A co tam dziś serwują? Piranie w sosie własnym?

- Dobry jesteś! - Darek roześmiał się z satysfakcją. - Raczej coś polskiego, egzotyki będziemy mieć niedługo pod dostatkiem.

- Spóźniłeś się. Jestem już po śniadaniu, a twój news nie taki świeżutki, zajężdza padliną.

- Żartujesz?

- Nie, mam supersekretarkę, to cały sekret. Życzę smacznego.

- Okej, ale zaproszenie do Myśliwskiej jest aktualne.

Konrad wyłączył telefon. Nie sądził, by Darek aż tak sobie pogrywał. W jego głosie satysfakcja z wyeliminowania jego projektu wprost kipiała.

To pierwsza tak poważna porażka. Był przekonany, że szef się pośpieszył z decyzją.

On sugerował drogę pośrednią - najpierw Meksyk, później Brazylia. W Meksyku mieli dobre układy, ryzyko znacznie mniejsze. To byłby dobry poligon przed atakiem na firmy brazylijskie.

Rosła w nim wściekłość - tyle niepotrzebnej pracy i dlaczego szef go o tym nie powiadomił osobiście? Człł, że traci grunt pod nogami. Z drugiej strony, on sam od jakiegoś czasu przekonywał wszystkich, że warto iść na skróty, bo liczą się tylko efekty końcowe. Jak tym młodym się uda, to firma skoczy w notowaniach o kilka punktów, ale jego spadną.

Trudno to zaakceptować.

- A więc zaczęło się. Kurwa! Niech to szlag trafi! - Oczywiście prawem serii stało się to właśnie teraz, gdy jego zżerała choroba, córka mu umierała i jeszcze ci cholerni smarkacze dobrali mu się do dupy. To nieuczciwe tyle zwalić na jednego człowieka. Natura straciła umiar, przestała być perfekcyjna. Wiedział, że to początek końca, tych młodych już nic nie powstrzyma. Jego by nie zatrzymało. A miał to być dobry dzień!

Rozdział 12

Lekarz popatrzył Magdzie w oczy, westchnął ciężko i cicho powiedział: - Przykro mi...

Wierzyła, że było mu przykro. Nie musiała o nic pytać. Sama widziała, że jest źle, bardzo źle. Popatrzyła na stos kartek leżących na łóżku, to wyniki ostatnich badań, materialne dowody gasnącego życia. Wyrok skazujący.

- Proszę dzwonić o każdej porze. - Ucisnął mocno jej dłoń, jakby tym gestem chciał dodać jej odwagi, przekazać, że tak naprawdę jej nie opuszcza, ale dotarł do granicy, poza którą nie sięga jego władza.

Wiedziała, że może zadzwonić o każdej porze. Korzystała już z tego przywileju, ten lekarz był z nią w najtrudniejszych momentach choroby. Nie tylko Sarze doraźnie pomagał, ale swoją obecnością podnosił ją na duchu, dodawał sił. Szczególnie ważne było to w pierwszym etapie gwałtownego pogorszenia się, gdy wszystko wywoływało w niej panikę, gdy musiała się nauczyć być czujną, przewidywać i szybko reagować.

Na początku, w chwilach niepewności dzwoniła najpierw do Konrada, ale on prawie zawsze był nieosiągalny. Miała dużo częstszy kontakt z wszelkiego rodzaju żywymi lub automatycznymi sekretarkami niż z mężem. Zniechęcona przestała liczyć na jego wsparcie.

W momentach, gdy sobie naprawdę nie radziła, coraz rzadszych, korzystała z pomocy tego sympatycznego lekarza. Jego darzyła największym zaufaniem i tylko z jego ust mogła spokojnie przyjąć taką wiadomość.

Michał nie śpieszył się z wyjściem. Obserwował kobietę, spodziewając się jakiejś niecodziennej reakcji. Matki w takiej sytuacji mdleją, płaczą, dostają ataku hysterii. Ta kobieta do końca zachowała spokój, z czułością patrzyła na córeczkę i gładziła jej stopę wystającą spod kołderki. Miał nieodpartą chęć, by przytulić ją mocno i zabrać z tego mieszkania. Nie rozumiał własnych pragnień. Ociągał się z wyjściem, czekał na coś, sam nie wiedział na co.

Nieśpiesznie spakował stetoskop i powoli ruszył do wyjścia. Jak zwykle odprowadziła go do przedpokoju i zamknęła drzwi na zamek.

Wsiadł do samochodu i bezmyślnie patrzył na wieżowiec. Był bardzo przygnębiony.

Co ona tam teraz sama robi? Nie powinna być sama. Sięgnął po telefon i połączył się z ojcem dziewczynki.

- Dzień dobry. Michał Tarnowski, lekarz - przedstawił się.

- Witam. Co się dzieje, doktorze?

- Myślę, że to kwestia godzin, pana córeczka odchodzi, a pańska żona...

- Rozumiem. Jestem w tej chwili w Warszawie, będę najwcześniej wieczorem. Czy wszystko jest tak, jak się umawialiśmy? Będzie pan obecny?

- Tak. - Westchnął ciężko.

- Zadzwoń, gdy będę dojeżdżał. Dziękuję, doktorze.

- Proszę - odpowiedział i wyłączył się. Jakie to życie jest dziwne, facet mu dziękował za wiadomość, że jego córka umiera. Rozmawiał z nim tak spokojnie, jakby dobijali interesu.

Fakt, dobrze płacił za każdą wizytę, ale... Ludzie wielkiego biznesu są tacy konkretni, a panowanie nad emocjami mają opracowane do perfekcji. Takie to... nieludzkie. Nawet nie zapytał o żonę...

Magda wiedziała, chociaż nikt jej tego nie mówił, że to wydarzy się dziś w nocy.

Poprosiła Adę, by odebrała Piotrusia z przedszkola i zajęła się nim. Nie zamierzała dzwonić do nikogo. Do Konrada również nie. Chciała być sama z córeczką.

Przez chwilę próbowała sobie uświadomić, co czuje. Zdecydowanie nie był to spokój, ale nie zawładnęła nią też rozpacz ani panika, był to raczej jakiś umysłowy letarg.

Przygotowała wszystko do mycia Sary. Wyjęła jej ulubioną pościel w pastelowe motylki i kolorową piżamkę. Z czułością i kojącym spokojem wypełniała swoje codzienne obowiązki. Na koniec usiadła na łóżku i wzięła córkę w ramiona. Była taka leciutka, szczuplutka, pachniała oliwką. Długie rzęsy pogłębiały cienie pod oczami, podkreślając bladość twarzyczki. Z małego noska wychodziły rurki dostarczające tlen.

Magda kołysała się w przód i tył. Nie potrafiła się modlić. Nie pamiętała żadnej modlitwy ani słów piosenek. Wydobywała z siebie jednostajny pomruk, który koił jej duszę.

Nie wie, ile godzin tak spędziła. Poczula, że nie ma już w niej tej energii, która napływała do niej poprzez Sarę. Ktoś usunął łączącą je nić. Przytulała mocno bezwładne ciało. Zawładnęło nią wielkie zmęczenie, które tak stępiło zmysły, że nic do niej nie docierało.

Ktoś kluczem otworzył drzwi do mieszkania. Zapaliło się światło w przedpokoju. Słyszała męskie głosy. W progu pokoju stanął Konrad w towarzystwie znajomego doktora. Podeszedł do niej, usiadł na łóżku, czule głaskał ją po włosach, a później objął ramionami ją i Sarę. Oparła głowę na jego piersi. Dotarł do niej znajomy zapach wody kolońskiej. Odetchnęła z ulgą.

W chwilę później nieprzyjemne ukłucie igły uświadomiło jej, że lekarz zrobił jej zastrzyk.

Magda uczestniczyła we wszystkich przygotowaniach do pogrzebu. To ona decydowała o kwiatach, sukience i białej trumnie. Ale po raz pierwszy czuła, że nie jest sama, jak cień towarzyszył jej we wszystkim Konrad. Nie odstępował jej nawet na moment.

Patrzyła na jego poszarzałą twarz, podkrążone oczy i nie mogła zaprzeczyć, że na równi z nią przeżywał dramat chwili. Potrzebowała jego obecności. Sama czuła tak ogromną słabość - widać Sara, odchodząc, zabrała ze sobą cały ładunek jej życiowej energii.

Dzień pogrzebu był bardzo słonecznym, ale trochę wietrznym dniem. Początek kwietnia, wszystko rozkwitało. Najpiękniejszy czas, pełen nadziei, miłości, a nie rozstań ostatecznych. Magda ledwo to wszystko zauważała. Uśmiechała się do ludzi, ale jej oczy były martwe. Nie płakała, choć dla wszystkich widoczne było, że jej rozpacz jest przerażająco głęboka. Szczupła, w czerni, była obecna ciałem, tylko ciałem. Trzymała kurczowo za rączkę małego Piotrusia, a on posłusznie wszędzie jej towarzyszył. Przez te dni, od śmierci Sary do pogrzebu, nie podeszedł do komputera, nie oglądał telewizji, nie zrobił ani jednego zdjęcia, a nikt mu tego nie zabraniał. Był wszędzie tam, gdzie jego mama, blisko, najczęściej wtulony w nią.

Konrad próbował zorganizować mu jakieś zajęcia, ale syn zdecydowanie odmawiał.

Wyglądało to tak, jakby świat przestał być dla niego ciekawy, tak głęboko współuczestniczył w dramacie rodzinnym. Konrada oczarowała ta siła więzi łącząca tych troje. On nigdy z nikim nie był tak zespolony. Czuł się wyrzucony poza nawias, pozbawiony czegoś istotnego, chyba najważniejszego w życiu człowieka. Poczul się oszukany przez los.

Konrad starał się być blisko Magdy. Była taka blada, często chwiała się na nogach, obawiał się, że zemdleje. Za jej plecami stały Hania i Ada, również czujne. W rezultacie nie bardzo wiedział, co się wokół niego działo. Brał udział w przedstawieniu, był nawet aktorem i miał nadzieję, że wszystko będzie dobrze, bo każdy znał swoją rolę.

I tak było. Nie spodziewał się obecności tylu osób, niewiele twarzy potrafił rozpoznać.

Na koniec podeszła do niego grupka ludzi trzymająca się dotąd trochę z boku. Czy to możliwe? Poczul, że łzy wypełniają mu oczy, po raz pierwszy w tym dniu. Nie miał

wątpliwości, chociaż z niektórymi czas nie obszedł się delikatnie. To ludzie z Bobrka, świadkowie jego narodzin i dorostania. Sąsiedzi, koledzy szkolni... Skąd oni tutaj?

- Oj, Patyczaku! - przerwał milczenie Jerzy. - Nic się nie zmieniłeś, dalej jesteś Patyczakiem. - I objął

go po męsku, mocno poklepując po plecach.

To rozładowało napięcie. Witali go jak bliskiego, który wrócił z dalekiej podróży.

Zaprosił ich wszystkich na stypę. Wspominali stare czasy. „A pamientosz?...” padło chyba ze sto razy.

Patrzył z przyjemnością na ładną dwudziestolatkę, która okazała się tą zasmarkaną pięciolatką płaczącą na progu jego mieszkania w pewną mroźną styczniową noc. Obok niej siedział szczupły gimnazjalista, jej brat - to ten osesek otulany przez mamę rącznikiem. I była Irena, zadbana kobieta, ich matka. A Jerzyk, kumpel z ławy szkolnej? Teraz łysiejący facet z niezłym brzuszkiem wylewającym się przez pasek od spodni, ojciec trzech synów. I stary Bieroński z żoną, jego sąsiedzi z pierwszego piętra. Były górnik, teraz pulchny staruszek podpierający się laseczką.

Spędzili razem całe popołudnie. Dowiedział się tak wiele o ich życiu, kto, gdzie, z kim... Jemu nie zadawali za dużo pytań, ale sporo wiedzieli. Okazało się, że nigdy o nim nie zapomnieli. Byli z niego bardzo dumni, dawali go za przykład swoim dzieciom.

Rozpamiętując wieczorem to spotkanie, poczuł, że jego życie zatoczyło koło, przypomniało mu o korzeniach

Rozdział 13

Chodziła w nocy po mieszkaniu. Krążyła między kuchnią, łazienką a pokojem Sary.

To był już zupełnie inny pokój. Konrad kupił piękny ratanowy komplet mebli, kazał odświeżyć ściany, położyć wykładzinę dywanową. W rogu przy oknie stał duży kroton z kolorowymi liśćmi, na ścianie soczysta paprotka. Na regale książki i fotografie dzieci, uśmiechnięte buzie Sary i Piotrusia. Lampa z witrażowym abażurem obok fotelika łagodnie rozpraszała mrok. Z pewnością miło się tu siedziało i odpoczywało. Ona nie potrafiła, coś zatrzymywało ją w progu.

Konrad zlikwidował też większość zegarów, bo zerkała na nie nieustannie, gotowa podnieść się i działać. W sekundę później uświadamiała sobie, że nie ma już takiej potrzeby i opadała zdziwiona, zwieszając bezwładnie ręce. Zapadała w krótkie nerwowe drzemki, głównie w ciągu dnia.

Sprzątając pokój syna, zauważyła, że na ścianie pojawił się kolejny obrazek.

Przedstawiał raketę, która wystartowała i leciała w stronę błękitnego nieba. Promienie słońca odbijały się od stalowego kadłuba, tworząc złocistą poświatę. W okrągłym okienku uśmiechała się dziewczynka z warkoczykami. U dołu kartki narysował duży dół w ostrych czarnoczerwonych kolorach. Rakietą spełniła swoje zadanie, wyrwała siostrę z miejsca, w którym tak cierpiała. Nie powtórzył się już koszmarny sen, który tak długo dręczył

Piotrusia. Jakie to dziwne wszystko, irracjonalne, a jednak układało się w jakąś logiczną całość.

Konrad nie wyjeżdżał z domu. Tak zorganizował swoje obowiązki, że wystarczył mu kontakt telefoniczny i stale podłączony komputer. To była duża zmiana, niemal rewolucja w życiu Magdy. Obserwowała tego obcego mężczyznę i tak do końca nie rozumiała, dlaczego ktoś bez przerwy odgaduje wszystkie jej potrzeby, dba o jej wygodę, martwi się drobiazgami zupełnie bez znaczenia. Nie protestowała tylko dlatego, że nie miała na to siły. Mówiła prawie szeptem, poruszała się powoli, ciężko wstawała z fotela.

- Kochanie, spróbuj chociaż odrobinę. Musisz zacząć jeść, lekarz podłączy ci kroplówkę, jeśli nie dasz się przekonać.

„Kochanie?” - patrzyła, nic nie rozumiejąc. Konrad nigdy się tak do niej nie zwracał.

Wyśmiewał te oklepane zwroty: misiaczki, perełki, żabcie.

- Uwierz mi, że nie potrafię, na samą myśl, że mam to włożyć do ust... - wzdrygnęła się.

- Wiem, co czujesz. Przeżywam to samo, ale trzeba się zmusić. Ja to robię -

uśmiechnął się - zmuszam się. - „Gdyby znała prawdę”, pomyślał. Była tak pogrążona w swoim przeżywaniu, że niczego nie zauważała.

Sięgnęła po kubek z jogurtem, może to przełknie, był truskawkowy, kiedyś jej ulubiony.

Pokochała Konrada swoją pierwszą, od razu dojrzałą miłością. Do chłopców miała generalnie pozytywny stosunek, lubiła ich, bo byli zabawni, inni, pomysłowi. Świetnie pływali, jeździli na rowerze czy nartach. Lubili się bawić, trzymać sztamę, odkrywać, reperować, grać i wygrywać. Nie bali się, chętnie podejmowali ryzyko, na które rzadko która dziewczyna by się odważyła. Było kilku, z którymi częściej się spotykała, wyczuwała jakieś pokrewieństwo dusz. Ale jej serce drgnęło stosunkowo późno, dopiero na studiach, i wcale nie dla Konrada. Uśmiechnęła się do wspomnień.

Konrad tyle razy opowiadał o tym, jak to połączyła ich miłość od pierwszego wejrzenia. Przekonywał wszystkich, że są dowodem na istnienie takowej i wyznawał jej wyższość nad pozostałymi rodzajami miłości.

Ich oczy spotkały się w uczelnianej wypożyczalni. Stał w wąskim przejściu, przeglądając książkę. Opierał się plecami o regał i tarasował przejście.

Powiedziała „przepraszam”, spojrzała mu w twarz i rzeczywiście nie potrafiła oderwać od niego oczu. Patrzyli na siebie długo, w końcu roześmieli się, bo każde nagle uświadomiło sobie, że przekroczyło zwyczajową normę. Od razu poczuła się przy nim swobodnie, jakby znali się od dawna. Wspólna kawa i spacer były naturalną konsekwencją tego postępowania.

Nigdy nie wyjaśniła Konradowi, dlaczego zaufała mu od razu i zaakceptowała jego obecność przy swoim boku, bo tak się chełpił tym przeznaczeniem, odnalezioną połówką jabłka...

A prawda była taka, że pół roku wcześniej, przeglądając „National Geographic”, natknęła się na wywiad z Wade’em Davisem. Jego fotografia dosłownie ją zahipnotyzowała.

Błyszczące, śmiejące się oczy patrzyły na nią tak sugestywnie, że uśmiechnęła się zażenowana. Nakryła dłońmi stronę i poczuła... że się rumieni. Później delikatnie uchylała palce i napotykając jego wzrok, musiała się uśmiechać. To było silniejsze od niej. Nosiła ten numer czasopisma stale przy sobie. To oddziaływanie fotografii trwało, wbrew jakiegokolwiek logice. Zaglądała na tę jedną stronę, by poczuć to uderzenie gorąca i uśmiechnąć się, szczególnie wtedy, gdy było jej smutno i źle. Nigdy nie słyszała, by komuś coś takiego się przytrafiło.

Konrad miał te same oczy. Był znacznie młodszy, nie miał nawet podobnych rysów twarzy, ale jego szaroniebieskie oczy patrzyły równie sugestywnie. Dziś nie pamięta, co się stało z tamtym czasopismem.

Spotykali się niemal codziennie. Studiowali na różnych wydziałach tej samej uczelni.

Stołówka, biblioteka, a wieczorem klub studencki lub jedna z okupowanych przez studentów knajpek.

Konrad był wszystkim znany, aktywista uczelniany, student czwartego roku.

Pożądany w każdym towarzystwie. Ona nieśmiała, kończyła drugi rok pedagogiki. Przy jego boku nagle została dostrzeżona, rozbłysła jak mała gwiazda, zasilana jego blaskiem. To on wprowadził ją w życie studenckie - koncerty jazzowe, kabarety, kino awangardowe. Otworzył

przed nią świat zupełnie jej nieznaną. Fascynował ją.

Widziała, że Konrad to nie tylko rozrywkowy gość, ale również pracowity i ambitny student, wrażliwy, pełen uczuć, i to tych wyższych, tylko zbyt głęboko ukrytych. Cieszyła się, bo wydawało jej się, że właśnie ona znalazła klucz do jego duszy.

Poddała się temu wszystkiemu oczarowana i nawet nie spostrzegła, jak bardzo zmienił

jej się rozkład dnia, towarzystwo, nawyki. Teraz późno kładła się spać, rano półprzytomna biegała na wykłady. Po kilku tygodniach poczuła się zupełnie zagubiona. Uświadomiła sobie, że musi zwolnić tempo, przemyśleć pewne sprawy, uporządkować swoje otoczenie i swoje wnętrze, bo w tym chaosie zatraciła poczucie własnej tożsamości. Konrad miał tyle pomysłów oraz niespożytej energii, no i wystarczyło, że spojrzał na nią tymi swoimi oczami, by wszystko inne traciło rację bytu. Przy nim stawała się niewolniczo uległa. Nie wie, jak by to się skończyło, gdyby nie Boże Narodzenie.

Zbliżały się święta. Od czasu tego dramatycznego wypadku, w którym zginęli rodzice, spędzała je z jedyną naprawdę bliską jej osobą, ciocią Julią. To starsza pani, więc do obowiązków Magdy należały

zakupy. Wszystko zgodnie z tradycją: żywa choinka, karpie, pieczona kaczką na Boże Narodzenie. Zawsze bardzo lubiła te wspólne godziny w kuchni, zapach pieczonego ciasta. A potem długie rozmowy i wspomnienia przy suto zastawionym stole.

Ciocia Julia była jedyną osobą, która dobrze znała jej rodziców, a szczególnie ojca.

Pamiętała czasy, gdy był małym rozrabiaką. To dzięki niej Magda miała zachowaną „ciągłość dziejową”, jak to żartobliwie nazywały. Ciocia znała wiele rodzinnych anegdot, sekretów, a Magdę nigdy nie nudziły powtarzane co roku historie.

Tymczasem Konrad od kilku dni robił tajemnicze miny i nieustannie opowiadał jej, jak pięknie jest zimą w górach. Kuligi, jazda na nartach i prawdziwa Wigilia w góralskiej chacie. Pochodnie, kolędy, pasterka w drewnianym kościółku.

Wreszcie któregoś wieczoru położył na stole jakieś papiery. Z wielką dumą oświadczył, że to prezent świąteczny dla niej. Opłacił dwa miejsca w jakimś przytulnym domku wczasowym w Zakopanem.

Nie chciał przyjąć do wiadomości, że ona z nim nie pojedzie. Twierdził, że poświęciła już ciotce wiele świąt.

- Nie można żyć ciągle przeszłością, trzeba iść z duchem czasu, być otwartym na to, co los nam niesie - przekonywał. On sam żył w zgodzie z tą zasadą. Nie lubił wspomnień.

To były ciężkie dni. Magda z całego serca chciała być z Konradem, niekoniecznie w górach, ale nie wyobrażała sobie, by ciocia musiała samotnie siedzieć przy wigilijnym stole. Próbowała pogodzić jedno z drugim, zaprosiła Konrada na Wigilię u cioci, ale zdecydowanie odmówił.

- Nie wierzę, że zostawisz mnie samego w takim momencie. Już nie czujesz, że tworzymy całość? Coś się zmieniło, już mnie nie kochasz?

- Oczywiście, że kocham. Ale ciotka jest stara, schorowana i samotna. To może jej ostatnie święta, tak nie można.

- Ja też jestem samotny! I najbliższą ci osobą. Tak mówiłaś, całkiem niedawno.

- Jeśli mnie kochasz, to postarasz się zrozumieć. - Tyle mogła mu powiedzieć.

Wiedziała, że to nie był argument, tylko szantaż.

Na uczelni wszyscy im zazdrościli tego wyjazdu. To było takie modne: wyjechać na święta i nie bawić się w wielkie sprzątanie, zakupy, gotowanie i siedzenie przy zastawionym stole. Koleżanki pukały się w czoło. Uznały, że byłaby głupia, gdyby przepuściła taką okazję.

Czuła się z tym wszystkim bardzo źle, jakiś wewnętrzny głos podpowiadał jej, że nie może jechać i że Konrad powinien ją zrozumieć. Skoro się jednak tak upierał, to niech jedzie, trudno, jakoś to przeżyje. W końcu wymarzył to sobie i wydał tyle pieniędzy.

Zajęła się tradycyjnie porządkami i zakupami, tyle że bez tego corocznego spokoju, radości ze świąt, ale uznała, że to będzie dobry czas na przemyślenie wszystkiego, uporządkowanie wewnętrznego chaosu. Wyraźnie pogubiła się w tych nowych układach.

W odpowiedzi Konrad bardzo ograniczył spotkania z nią, rzadko dzwonił. Zajęć na uczelni już nie mieli. Towarzystwo się rozjechało. Bardzo ją to bolało, czuła, że może go stracić. Zrobiłaby dla niego wszystko, ale były w niej granice, których nie chciała przekraczać, nawet dla niego.

W końcu zadzwonił, by się pożegnać. Życzył jej udanych świąt. Podkreślił, że on dobrą zabawę ma zagwarantowaną.

Robiła wszystko, by się nie rozpłakać. Jak dobrze wychowana dziewczynka przypomniawszy mu, że miejsce przy stole będzie czekało na niego, gdyby przypadkiem zmienił zdanie. Usłyszała szybkie „dziękuję”. I „muszę kończyć, śpieszę się”.

Pląkała bardzo rozżalona i rozczarowana. Nie mogła mu nawet wręczyć prezentu, który dla niego przygotowała, i najważniejsze - nie zapytała, z kim pojechał? Kto ją zastąpił?

Bała się odpowiedzi. Pustka, jaką po sobie zostawił, przerażała ją. Przecież do momentu jego poznania była również sama, ale jednocześnie szczęśliwa, ciesząca się życiem, pełna planów na

przyszłość. Teraz poczuła się bezradna, przyszłość bez Konrada straciła sens. Snuła się po mieszkaniu, rozkojarzona, wszystko leciało jej z rąk. Wspomnienia wspólnych chwil podążały za nią jak cień. Wstawała rano z łóżka, ale robiła to tylko dla cioci Julii.

A jednak była to najpiękniejsza Wigilia w jej życiu. Nie zaczęły jeszcze nakrywać do stołu, gdy usłyszały dzwonek u drzwi. Otworzyła w fartuszku, z łyżką w dłoni i za chwilę utonęła w jego ramionach.

- Ty mała czarownico! Zauroczyłaś mnie. Święta bez ciebie to nie święta.

- Konrad. - Tylko tyle mogła wykszusić, a łzy szczęścia wypełniły jej oczy.

- Maleńka, jesteś dla mnie najważniejsza, pamiętaj o tym i nigdy nie wolno ci w to wątpić.

Chwilę później całował z szacunkiem dłonie cioci Julii. W ciemnym garniturze, pachnący, z bukietem kwiatów i prezentami zrobił bardzo dobre wrażenie.

Przy stole chwalił szczerze każdą z tradycyjnych potraw, zaśmiewał się z anegdot cioci, sam tryskał humorem i wszyscy byli bardzo szczęśliwi jak w najlepszej bajce. Przesyłał

jej ponad stołem wiele spojrzeń, które tylko miłość zna. Łamiąc się z nią opłatkiem, powiedział:

- To jest chwila, która przetrwa w każdym z nas.

W drugi

dzień świąt z plecakami wypchanymi smakołykami cioci i jej błogosławieństwem pojechali na narty.

Magda westchnęła, tamta chwila przetrwała w jej pamięci, ale czy u Konrada też?

W jego życiu nie było czasu na wspomnienia. Konrad żył za szybko i w innym świecie.

Spróbowała jogurtu. Często się teraz zamyślała, podpływały do niej wspomnienia, przeżywała sceny sprzed lat. Jakby musiała sobie przypominać swoje dotychczasowe życie. Ciocia Julia robiła to nieustannie, twierdziła, że starzy ludzie tak mają, muszą jeszcze raz przeżywać swoje życie w zwolnionym tempie, by wiele zrozumieć, rozliczyć się z tamtych lat przed samymi sobą, bo za chwilę staną przed Bogiem, najwyższym sędzią.

Magda czuła się stara, zmęczona życiem, a skończyła dopiero trzydzieści cztery lata.

Dziwne to wszystko. Jej droga życiowa urwała się - to, czym żyła przez ostatnie lata, znikło.

Stała we mgle, bała się ruszyć, nie wiedziała, w którą stronę iść.

Ostatnio lubiła się wpatrywać. W przedmioty, kwiaty, a przede wszystkim w ludzi.

Przekonała się, że szczegóły zmieniają obraz całości, że jest cała gama cieni, odcieni, które pogłębiają emocjonalny odbiór. Na co dzień człowiek nie miał na to czasu, żył zbyt szybko, a przez to powierzchownie. Świat wokół niej kręcił się w przeraźliwym tempie. Nie rozumiała tego, bała się i nie widziała w tym sensu.

Zauważyła, że ludzie, którym się przyglądała, bardzo szybko czuli się skrępowani.

Badała ich oczy, twarze, ręce. Dziwiła się, że zużywają niepotrzebnie tyle energii.

Gestykulują, przestawiają przedmioty, poprawiają włosy, strzepują jakieś pyłki. Kręcą się, wiercą, jakby fotele były niewygodne. Uciekają ze wzrokiem - można by pomyśleć, że wszyscy mają coś do ukrycia.

Zauważała tyle detali, które do tej pory umykały jej uwadze. Sąsiadka Ada i jej córeczka Monika uśmiechały się w identyczny sposób - co znaczy siła genów. A przyjaciółka Hania miała piękne rzęsy i ładnie zarysowane brwi, czego wcześniej nie dostrzegła. Była stale zmęczona i śpieszyła się nieustannie. Wyraźnie dźwigała za duży ciężar obowiązków, problemów. Przygasła, traciła radość życia. Trzeba by z nią szczerze porozmawiać... potem.

Bardzo zaskoczył ją Konrad. Jego zwyczaj pocierania palcem wskazującym czubka nosa w momentach, gdy był głęboko nad czymś zamyślony, przywoływał Sarę. Odziedziczyła ten gest po ojcu? Czy gesty się dziedziczy, czy są wyuczone? Nie była pewna. Piotruś tego nie robił. On z kolei odziedziczył po niej miłość do malowania. Tak twierdził Konrad.

W takim razie po kim ona przejęła ten dar? Ojciec wręcz nie lubił tej jej pasji, mama nie wykazywała talentu w tej dziedzinie. To przez to malowanie na plaży zginęły jej rodzice.

Kiedyś ciocia Julia próbowała z nią porozmawiać o tym. Bardzo chciała, by wróciła do sztuki i rozwijała swój talent. Nie dała się przekonać. Taką podjęła decyzję... chociaż miała wiele momentów, gdy bardzo jej tego brakowało... To chyba w czasie tej rozmowy z ciocią usłyszała, że nikt wcześniej w ich rodzinie nie malował... Dziwne.

Najczęściej jednak myślała o Sarze. O tym, jak bardzo bolała jej nieobecność. Gdy zamykała oczy i układała odpowiednio ramiona, miała przez chwilę wrażenie, że czuje to delikatne ciało. Nie płakała, nie potrafiła. Raczej błądził na jej ustach delikatny uśmiech.

Wiedziała, że dobrze wykorzystwała każdą sekundę pobytu córki z nimi.

Po co Sara urodziła się, skoro tak krótko żyła? Jaki był sens takiego cierpienia i śmierci? Na te pytania nie znalazła odpowiedzi, ale wiedziała, że córka dawała miłość w najczystszej, nieskażonej postaci. Niosła radość smakowania każdej godziny, każdego wspólnie przeżytego dnia. Sara była boską energią w jej życiu, gwarantującą jego sens. Z nią czuła się spełniona, wszystko było takie naturalne, proste, wyznaczone. Za to teraz była podwójnie zagubiona i niezdolna do wysiłku. Powinna poszukać nowej drogi. Co jednak miałyby robić? Chyba już za późno na rozpoczynanie wszystkiego od nowa. Nie

potrafiła.

Naprawdę nie potrafiła, czuła się bezradna.

Na razie nikt niczego od niej nie wymagał. Ada nadal robiła im zakupy, Hania wpadała i gotowała jakieś rosoły, obiadki, które zalegały w lodówce, bo nikt w tym domu nie miał apetytu.

Najważniejsze, że Piotruś wrócił do przedszkola i obudziła się w nim dawna ciekawość świata, a Konrad dawał się poznać jako wzór cierpliwości. Powiedziała mu to wczoraj.

- Jesteś bardzo dobry dla Piotrusia. Masz tak dużo pracy, a znajdujesz czas, by tyle rzeczy mu wytłumaczyć. Dobrze, że ma w tobie takie wsparcie.

- Magda, to nie jest tak, że ja się poświęcam. To nie jest stracony czas, wręcz przeciwnie. Nie wyobrażasz sobie, jakie to ważne dla mężczyzny, by miał komu przekazać to, co dla niego ważne. Ucząc kogoś, samemu dużo się uczysz. On ma tak świeże, niestandardowe spojrzenie, że często to on mnie zaskakuje i daje mi do myślenia.

- Wiem, ja sama musiałabym się wiele nauczyć od Piotrusia. On orientuje się lepiej niż ja w tych wszystkich nowinkach technicznych.

- Nic nie stoi na przeszkodzie, jeśli tylko masz ochotę, to i Piotruś, i ja chętnie cię wtajemniczymy.

- Może później, pomyślę o tym. Jeszcze nie mam siły.

Przymknęła oczy. Już się wycofała, jak zółw do swojej skorupy. Jeszcze nie umiała się otrząsnąć, poddawała się i... było jej z tym dobrze.

Rozdział 14

Konrad usłyszał odgłos spuszczonej wody. Magda była w łazience. Nie spała całą noc, kolejną noc. Obserwował ją, współczuł i bardzo się o nią martwił. Oboje byli tacy nieszczęśliwi, najgorzej, że odeszli od siebie tak daleko, że już nie mogli sobie wzajemnie pomóc, bo przestali się rozumieć.

Byli kiedyś tacy zakochani, tacy szczęśliwi. Dlaczego właśnie tak się to musiało zakończyć? No, miał w tym swój udział, widział to coraz wyraźniej, ale wiele zawinił los. Za bardzo ingerował w ich życie, a on nie potrafił mu się z pokorą poddać, to było wbrew jego naturze. Dawał z siebie tyle, ile mógł. Tak to oceniał.

Magda cichutko jak zjawa przeszła obok, nie dostrzegając go. Patrzył na jej bledziutką twarz, podkrążone oczy, wątlność. Od kilku lat nigdzie nie bywała, zamknięta w tych betonowych ścianach, zmarnowała swoją młodość, nie zrealizowała marzeń, niczego nie osiągnęła, bo poddała się losowi. Czy prowadziła bezsensowne życie? Do niedawna tak myślał...

Teraz wszystko się zmieni. Musi zostawić jej wszystko, co ma. Pieniądze, które zgromadził, ułatwią jej rozpoczęcie nowego życia. Tylko że ona tak naprawdę nic nie wie o prawdziwym życiu. Przez te dziesięć lat jej zamknięcia świat dosłownie stanął na głowie, zrobił się przebiegły, okrutny, fałszywy. A on nawet nie zdążył jej przekazać całego swojego doświadczenia, całej zdobytej wiedzy. Nie osłonił ani jej, ani syna, a mógłby tak wiele...

Stale przeżywał napady buntu, złości. Chciałby wykrzyczeć całemu światu: - To moje pieniądze, moja kariera, stanowisko, doświadczenie! Nikt mi niczego nie dał za darmo, ciężko na to wszystko pracowałem!

Lecz los był podły, miał gdzieś jego prawa.

Tak, lubił zarabiać pieniądze i gromadzić je na czarną godzinę. To mu dawało poczucie bezpieczeństwa. Jeśli ktoś, tak jak on, startował znikąd, doskonale znał wartość każdej złotówki. Nie mógł liczyć na wsparcie zamożnego tatusia. Nie brał kredytów, bał się zadłużenia i wszelkiej formy zależności. Napatrzył się na losy swoich rówieśników, był

świadkiem niejednej tragedii. Zapętleni w zależności kredytowej tracili wszystko w jednej chwili: pracę, pieniądze, kobiety, rodzinę, a przede wszystkim siebie. Zamieniali się w marionetki, widząc przed sobą tylko ścianę, tańczyli, jak im zagrano.

W ostatnich latach do perfekcji rozwinęła się polityka uzależniania ludzi, a jej techniki stale są doskonalone. Sam je stosował ze świetnymi efektami. Wyłapywał najzdolniejszych i w nich inwestował, dawał, dawał, zachęcał do korzystania bez ograniczeń z wszelkich przywilejów... do czasu. Później wystarczyło powoli zamykać dostęp do źródła, czasami tylko postraszyć taką ewentualnością i miało się niewolnika, wiernego i oddanego firmie.

Taki to już zrobiłby wszystko, by nie wypaść z obiegu.

Za to we własnym domu jakby zupełnie się nie liczył, na niewiele spraw miał wpływ, nie sprawdził się jako ojciec i mąż. Trafiła mu się Penelopa, która wiernie na niego czekała i dbała o ognisko domowe. Poświęciła siebie samą. Teraz zostanie nagrodzona - nie ma pojęcia, ile dostanie pieniędzy po jego śmierci. Czy będzie to umiała wykorzystać, czy nie zmarnuje wszystkiego?

Prawie natychmiast dopadła go refleksja: dobrze, że ona jest, a dzięki niej Piotruś.

Tak, szczerze dziękował opatrności, że ma komu przekazać dorobek swojego życia. Nie pracował na darmo, dzięki nim jego życie miało sens. Więc w ostatecznym rozrachunku to rodzina okazała się najważniejsza. Co by z tym zrobił? Tam, dokąd los go popycha, nie zabierze niczego ze sobą. „Całun nie ma kieszeni” - wpajał im ksiądz na lekcjach religii.

On maksymalnie wykorzystał swoją młodość, ona zaczyna życie, jakby od zera, późno, skończyła już trzydzieści cztery lata. Może to i jest sprawiedliwe?

Zrozumiał, że nie ma recepty na szczęście, ponieważ nie jesteśmy panami życia. Jakaś siła pozwala nam zaistnieć i równie łatwo nas unicestwia.

Zupełnie bez związku przypomniała mu się scena z kanionu rzeki Saba i ta prosta, naiwna piosenka. Dwaj przewodnicy śpiewali ją, a ich głosy odbijały się echem od granitowych ścian: „Dziewczyna, którą kocham, to nie ta wysoka ani ta niska. Dziewczyna, którą kocham, jest idealnego wzrostu: średniego”.

Magda była wzrostu idealnego, teraz to już wiedział. Zawsze kochał tylko ją, ale nie zawsze o tym pamiętał.

Przypomniał sobie, jak bardzo się w tamtym momencie wzruszył, zatęsknił za rodziną, za Polską. Jechali na wielbłądach przez wiele dni, w temperaturze przekraczającej pięćdziesiąt stopni Celsjusza, nękanymi przez wiatry niosące tumany dławiącego pyłu. Byli tam po to, by poznać siebie w obliczu niebezpieczeństwa i zaskakujących trudności.

Wyjechał do Etiopii ze szkołą przetrwania. Przemierzali pustynię Danakil z Afarami, członkami pasterskiego ludu koczującego w tej niegościnniej krainie. Od nich mieli się nauczyć, jak być niezależnymi i samowystarczalnymi, oszczędnymi w potrzebach. Trudna to była nauka dla nich, przybyszów z innego świata. Dzieliła ich odległość... kilku wieków cywilizacji.

Tak, pustynia wymuszała pokorę, najsilniejszych rzucała na kolana. Ze stoickim spokojem uczono ich akceptowania każdego wydarzenia, godzenia się ze stratą i życia bez materialnych pragnień. Wielkie wyzwanie. W tych ekstremalnych warunkach dotarło do niego, że rodzina jest najważniejsza. Chyba za późno to zrozumiał.

Wstał i skierował się w stronę kuchni - czas na poranną kawę. Zatrzymał go dźwięk telefonu. Nie wyłączył komórki, ponieważ do późna ustalał szczegóły nowego kontraktu.

- Kto mógł dzwonić tak wcześnie? - zastanawiał się. - Wyświetliła się Patrycja, jego sekretarka. Wiedział, że jeżeli dzwoni o tej porze, to musi się palić.

- Co się dzieje?

- Konrad, musisz jak najszybciej tu przyjechać. Od wczoraj rewolucja w firmie, lecą głowy.

- Spokojnie, nie może być aż tak źle - uspokajał ją.

- Jest źle! - prawie krzyczała. - My oczywiście wiemy najmniej, musisz tu być, trzymać rękę na pulsie. Rozumiem, że teraz to nieodpowiedni moment, ale błagam cię... Może złapiesz samolot do Warszawy? A może ekspres. Postaraj się. Tutaj wszyscy oszaleli.

- Już się zbieram, będę najszybciej, jak się da.

- Konrad, uważaj na siebie. Nie jedź samochodem, masz ciężkie chwile za sobą.

- Tak, mam. Ale jak nie będzie czym, to przyjadę autem. Poradzę sobie.

- Jasne. No to na razie!

Konrad osunął się na krzesło, czuł, że siły go opuściły. Czy to możliwe?! Miał

przecieki, że szykują się zmiany, ale on sam nie czuł się zagrożony. A może jednak coś przeoczył?

Ostatnie wydarzenia stępiły jego czujność i... Nagle dotarło do niego, że tak naprawdę niewiele go to wszystko obchodziło. Nawet się nie zdenerwował. Raczej solidaryzował się ze swoimi pracownikami, obawiał się o ich przyszłość w firmie.

Kolejny telefon przywrócił go do rzeczywistości. To znowu Patrycja.

- Konrad, był tu szef, chce cię zobaczyć. Za godzinę masz ekspres do Warszawy, zamówiłam ci bilet...

Konrad wrócił z Warszawy po dwóch tygodniach. Tyle spraw spadło na niego, trzeba było zreorganizować dział. Wielogodzinne narady, dziesiątki telefonów. Te silnie wyczerpujące przeżycia nie pozostawały bez wpływu na jego stan zdrowia. Teraz już bez pomocy tabletek nie mógł zasnąć. Miał kłopoty z łaknieniem, zjechał z wagi kolejne kilogramy.

W firmie nie był już numerem jeden. Młodzi przebojowo wtargnęli na brazylijski rynek. Akcje firmy gwałtownie wzrosły, rozszerzyły się możliwości, i to tak bardzo, że trzeba było przetrzucić część ludzi na drugą półkulę. Nie każdemu to odpowiadało, woleli znaleźć coś innego w Warszawie lub chociażby w Europie. Pomagał, komu się dało, miał trochę możliwości. On sam nie mógł się zdecydować. Czuł wyraźnie, że nie ma już w sobie tyle entuzjazmu do pracy. Przestało mu zależeć, i to było zaskakujące spostrzeżenie, musiały się w nim dokonać głębsze zmiany, niż to sobie dotąd uświadamiał. Ostatnio coraz częściej spoglądał wstecz. Patrzył na siebie jak na obcego człowieka i... podziwiał. Uniwersytet Śląski w Katowicach, prestiżowa francuska ESCP Europe. Praktyki w Madrycie, Londynie, we Frankfurcie. I wreszcie przeprowadzka do City. Dwanaście godzin *front office*, czyli praca bezpośrednio z klientami, doradztwo przy fuzjach, przejęciach.

Przez pierwsze lata miał ciągłe uczucie, że jego wiedza i studia są nieadekwatne, w City liczyły się przede wszystkim: kompetencja, konsekwencja i chęć do pracy. Należało się cały czas rozwijać, kreatywność nie znała granic. Standardem była praca co najmniej dwanaście godzin dziennie, a w czasie ważnych transakcji nawet przez całą noc i w weekendy. W City więcej czasu spędzało się z ludźmi z pracy niż z rodziną. Magda nie potrafiła tego zrozumieć i docenić jego wysiłku. Za to on się tym pasjonował, szczególnie polubił inwestycje. Interesowała go złożoność gospodarki. To takie puzzle - przesunie się jeden element i całość się zmienia.

Dzisiaj zaskoczył prezesa, odmówił wyjazdu do Brazylii. Wyjaśnił, że musi pobyć z żoną i synem, że potrzebuje trochę czasu dla siebie. Wyznaczył swojego zastępcę. Miał

pełną świadomość, że po tej rozmowie jego notowania spadły na łeb na szyję. Czuł się z tym fatalnie, wszystko się w nim buntowało, ale wiedział, że to jedyna rozsądna droga. Okresy remisji miał coraz krótsze i już nic nie mógł zrobić.

Porządkował swoje sprawy, zabezpieczał rodzinę. Pochował córkę i musi otoczyć opieką Magdę i synka. A czuł się już taki zmęczony, sam wymagał opieki i wsparcia.

Wycofywał się z życia towarzyskiego, co ułatwiała mu żałoba. Nie miał siły na spotkania, premiery, wyjazdy weekendowe na dache. Zaproszenia różnych współpracujących firm piętrzyły się na jego biurku.

Widział zrozumienie, współczucie i podziw w oczach współpracowników. Tak, taką postawą zyskał uznanie. Wspaniały mąż i ojciec. Pozory! Tak naprawdę daleki był od ideału, gdyby nie choroba, czym byłaby dla niego rodzina? Świadomość, że ją ma, bardzo mu pomagała, uzupełniała obraz stuprocentowego mężczyzny, ale w jego życiu zawsze była gdzieś w głębokim tle.

Teraz przepisał na żonę mieszkanie w Warszawie, akcje i konta w bankach. Został mu tylko jeden problem do rozwiązania - musi sprawić, by ona chciała żyć. Próbował z nią rozmawiać, ale patrzyła na

niego tym nieobecny wzrokiem i uśmiechała się. Rozmawiał

również z psychiatrą. Usłyszał, że to kwestia czasu, trzeba cierpliwie czekać.

- Może i ma pan rację, ale z mojego doświadczenia wynika, że tylko działanie ma siłę sprawczą, bezczynność niczego nie zmienia - próbował go przekonać.

- Proszę mi zaufać, czas naprawdę leczy. Żona dostaje leki, wszystko się ułoży... z czasem.

Tylko że on właśnie tego czasu nie miał.

To, co zastał po powrocie z Warszawy, podłamało go. Piotruś zaraz po przyjściu z przedszkola biegł do sąsiadki Ady i z jej córką spędzał czas do kolacji. Magda siedziała w dużym fotelu z podkurczonymi nogami, obejmując kolana ramionami, wpatrywała się w przeciwległą ścianę.

- Magdo, co zjemy na kolację? - Nie był głodny. Niepokoiła go bezczynność żony.

- A na co masz ochotę? - odpowiedziała pytaniem, nie patrząc w jego stronę.

- A co mi przygotujesz? - odbił piłeczkę.

- W lodówce jest wszystko, co lubisz. Może odgrzejesz sobie ogórkową z obiadu? Ja nie będę jadła.

- Uśmiechnęła się samymi kącikami ust. - A Piotruś z pewnością zjadł u Ady.

- Magda, ogórkowa była w poniedziałek, dzisiaj jest czwartek. - Ledwo panował nad ogarniającym go zniecierpliwieniem.

Westchnęła ciężko i skuliła się jeszcze bardziej.

Czuł się zupełnie bezradny, nie tolerował tego uczucia w swoim życiu. Nie wiedział, jak ją obudzić z tego pół snu, pół życia, w którym tkwiła od śmierci Sary.

On w tej chwili chciałby przeżywać swoje życie jak na przyspieszonym filmie, żeby ze wszystkim zdążyć. Było tyle spraw, które trzeba dokończyć, przewidzieć, zabezpieczyć.

A ona tkwiła w letargu, który zdaniem psychiatry był jej niezbędny, by mogła przeżyć żałobę i wrócić do równowagi.

Nie wiedział również, co zrobić, by uczestniczyć w dorastaniu syna. Nie mógł przecież wysłać sześciolatka na uniwersytet albo wtajemniczać go w politykę i gospodarkę kraju. Dlaczego musi odejść właśnie teraz, kiedy był najbardziej potrzebny? Wściekał się na własną bezradność wobec złośliwości losu.

Rozdział 15

Michał oparł się o framugę drzwi i podziwiał efekt. Pokój sprawiał sympatyczne, przytulne wrażenie. Poświęcił całe popołudnie, by zlikwidować kilkutygodniowy bałagan.

Umył okna i podłogi, wykapał kwiaty, zlikwidował warstwę kurzu na meblach. Z kanapy zniknęły stosy ubrań, i tych brudnych, i tych zdjętych z suszarki. Z łazienki dochodził szum pralki - ostatnia partia wirowała w bębnie. Za pół godziny będą Adam i Maciek, przywiezie ich Sonia, by mogli obejrzeć mecz i wypić kilka piw. Mecz nie był istotny, rozgrywki ligowe, zwykły pretekst, by się wreszcie spotkać, dawno tego nie robili. Zapiekankę już włożył do piekarnika.

Potrzebował tego spotkania, rozmowy o czymś innym niż choroby, leczenie, rokowania. Ostatnie tygodnie żył według schematu: praca, telewizja, sen. Był już bardzo zmęczony, myślał o urlopie. Może uda się wyciągnąć kumpli na jakąś wyprawę, choćby kilkudniową? W górach musi być teraz pięknie, wiosna przysłała wcześniej w tym roku.

Marzył o jakiejś odskoczni.

Zapiekanka była trochę przesuszona, bo Sonia za późno podjechała po Maćka. Nic nie było tak, jak sobie planowali. Koledzy nie byli w nastroju do zabawy. Na ekranie telewizora piłkarze biegali też jakby bez sensu, wynik zero do zera, niewiele ciekawych akcji. Za to wysypał się worek z problemami.

- Ty to masz dobrze - westchnął Adam. - Cisza, czyściutko, spokój.

- Kawalerem trzeba było być, a nie rodzinę zakładać - burknął Maciek.

- Przyganiał kociół... - odgryzł się Adam.

- Co jest? - wtrącił się Michał.

- A nic, stary, samo życie, bajka się skończyła. U mnie od trzech dni cicha wojna.

Westerplatte. Dosłownie. Ja sam jeden okopałem się, a w natarciu Sonia i teściowie.

Wyciągnęli ciężkie działa i walą we mnie od rana do wieczora. Od dwóch lat zgłaszam, że trzeba kupić nowy samochód. Stary się sypie, za dużo w niego wkładam. Uparłem się i tyle.

- No, ale w czym problem? - nie rozumiał Michał.

- Jak nie wiadomo, o co chodzi... - wtrącił się Maciek.

- No tak. Forsa - potwierdził Adam. - Odłożyłem na nowe autko, nawet wybrałem, żadna nówka, ale trzylatek w świetnym stanie. Słuchajcie. - Poprawił się w fotelu. - Toyota Rav4, pięciodrzwiowa terenówka, diesel, pali pięć, sześć litrów na sto kilometrów, ABS, alufelgi, autoalarm, klimatyzacja, elektryczne lusterka i szyby, wspomaganie kierownicy, centralny zamek...

- Okej, stary. Nieźle to wygląda, ale jakie masz szanse, że go kupisz? - Maciek przerwał mu tę wyliczankę.

- Szczerze? Żadne. - Adam wcisnął się z powrotem w fotel. - Teść ma też swoją rację.

Trzeba wymienić piec centralnego ogrzewania, a najlepiej jeszcze wszystkie kaloryfery.

Trochę marzliśmy tej zimy. Rozumiecie, małe dziecko, chore stawy teściowej i te sprawy. -

Machnął zniechęcony ręką. - Jeszcze ich potrzynam w niepewności ze dwa dni.

- Normalka. - Maciek klepnął go w udo. - Ale jak ci się za parę miesięcy samochód rozkraczy na środku drogi z dzieckiem i teściową w środku, to i tak ty będziesz winny. Masz to jak w banku. Znam to, już to przerabiałem. - Maciek machnął lekceważąco ręką. - Ja to mam cholerny problem. Kompletnie się pogubiłem i nie wiem, co robić.

- No, to jeszcze po piwku i jedziemy dalej. - Michał wyszedł do kuchni i przyniósł kolejne butelki.

Maciek nalał sobie piwa do kufła, Adam wolał pić z butelki. Na moment skupili uwagę na telewizorze - cała drużyna była pod bramką przeciwnika, ale w chwilę później piłka poleciała wysokim łukiem na aut.

- Patałachy - skwitował Michał. - No to wał, stary, co się u ciebie dzieje?

Maciek łyknął piwa, odstawił kufel i rozłożył ręce.

- Jak to powiedzieć. Mój ojciec ma kochankę.

- O kurwa! - skomentował Adam.

- Kręci już jakieś pół roku. On ma sześćdziesiąt dwa lata, a ona szesnaście lat mniej.

- Typowe, podobno wielu facetów sprawdza się z młodszymi, to mija jak choroba - wtrącił się Michał.

- Ale to jest mój ojciec, rozumiesz? - Maciek był naprawdę wytrącony z równowagi.

- A skąd to wiesz? - zapytał Adam.

- Przez przypadek. Wracałem od teściów i Kaśka zadzwoniła, żebym podjechał po coś do Rossmanna. Dosłownie wpadłem na ojca. Szli zagadani, trzymając się za ręce. Wracali z kina.

- No i co on na to? - nie wytrzymał Adam.

- Nawet się specjalnie nie zmieszał, nie zatrzymał, tylko powiedział „Dobry wieczór”

i odpłynął z tą... no, muszę przyznać niezłą laską. - Maciek sapał, widać było, że samo mówienie kosztowało go sporo wysiłku.

- Rozmawiałeś z nim? - spytał Michał.

- Tak, zadzwonił wieczorem i umówił się ze mną na rozmowę, zaraz na drugi dzień, oczywiście nie w domu, bo mama o niczym nie wie. Do dzisiaj o niczym nie ma pojęcia i nadal mu gotuje obiady i prasuje jego koszule. Wkurza mnie to, ale nie wiem, co z tym zrobić.

- No ale co ci powiedział, jak się tłumaczył? - niecierpliwiał się Adam.

- Że to jest silniejsze od niego, że się po prostu zakochał, że nie chce krzywdzić matki, ale odkąd ja i siostra opuściliśmy dom, to jest w nim pusto i nudno, wciąż to samo. Mama żyje wnukami, stale gotuje, kupuje, pomaga i jeździ raz do Aśki, raz do mnie. On poszedł już zupełnie w odstawkę. Nawet telewizji już razem nie oglądają, bo ona te swoje seriale ogląda w pokoju, który był kiedyś mój i Aśki, i tam często zasypia. A ta Lidka jest wspaniała, nie chce rozbijać rodziny, chce się z nim tylko spotykać i mile spędzać czas.

- To znaczy, że co? Oni ze sobą nie tego? Tak po przyjacielsku, kawa, kino, rozmowa?

- dopytywał się Adam.

- Daj spokój - wtrącił się Michał - gdyby to było takie niewinne, to spotykałaby się i z nim, i z mamą, odwiedzałyby ich w domu jak znajoma.

- No właśnie - westchnął Maciek. - Ona jest rozwódką, ma mieszkanie, jest niezależna. Dużo młodsza i ładniejsza od mamy. Wygląda na to, że potrzebuje go tylko na godziny. Nie musi mu pracować, prasować, gotować, wybrała sobie tylko te miłe momenty w związku. Nie chodzą do kina w Katowicach, jeżdżą do innych miast, nie afiszują się.

„Jesteśmy bardzo dyskretni”. I co ja mam z ty zrobić? Ojciec dał mi wolną rękę. Mogę udawać, że o niczym nie wiem i wszyscy będą szczęśliwi, albo powiedzieć mamie i wtedy nikt nie będzie szczęśliwy.

Siedzieli w ciszy, trudno było coś radzić. Mecz skończył się bezbramkowo.

- Współczuję ci, chłopie. Nie chciałbym być na twoim miejscu - przyznał Adam. -

Moi jak na razie trzymają się razem, no i Sławek jeszcze z nimi mieszka.

- Rychu, a ty co powiesz? - spytał Maciek.

- No wiecie, że ja nie mam rodziców ani teściów. Ale myślę, że to nie jest twój problem, tylko twoich rodziców i tej laski. Są dorośli, niech sami rozwiązują swoje problemy.

Potem, jak się to wyda, staniesz po stronie matki i będziesz ją wspierał.

- Ale jak sprawa się rypnie i jego matka się dowie, że od początku o wszystkim wiedział, to myślisz, że mu za to podziękuje? Nie będzie miała żalu, że przez niego żyła w nieświadomości? - zaatakował go Adam.

- Tu nie ma dobrego i złego wyjścia, obydwaj są niedobre. Ojciec cię zaszantażował, przerzucił na ciebie odpowiedzialność, a to przecież jego problem i tylko on powinien go rozwiązać.

- No właśnie - zgodził się Adam. - To on nawarzył piwa, niech go sobie wypije.

- On sam nic z tym nie robi. Powiedział mi to. On też chce jedynie mile spędzać czas.

Teraz jest tylko jedno pytanie, czy ja mam powiedzieć o tym mamie? Bo nie wiem, co jest dla niej lepsze.

- Może Aśka będzie wiedziała, matka z córką lepiej się dogadują - zaproponował

Adam. - Porozmawiaj z siostrą - dodał z przekonaniem.

- Myślałem o tym. Ale to będzie spychanie odpowiedzialności na kolejną osobę. Na razie wiem tylko ja, nawet Kasi nie powiedziałem. I niech tak zostanie.

- To znaczy, że... - Adam pokręcił głową.

- Nie. To znaczy, że nie będę nikogo wtajemniczał, tylko porozmawiam z mamą w cztery oczy. Nie chcę, żeby się o wszystkim dowiedziała ostatnia.

- To będzie trudna rozmowa, ale decyzja jest słuszna - podsumował Michał.

- Ale ci współczuję, chłopie, szczerze.

- Dzięki, dobrze że was mam, bardzo potrzebowałem tej rozmowy.

Michał, leżąc w łóżku, wrócił myślami do problemu Maćka. Znał jego rodziców, a szczególnie matkę. Typowa śląska gospodyni. W domu czyściutko, dwudaniowe obiady, wszystko wyprane i wyprasowane. Tyle razy zazdrościł Maćkowi. On musiał o wszystko zadbać sam. Gdy wyjeżdżali w góry, to Maciek miał zawsze w plecaku tyle jedzenia, że nie był w stanie sam tego zjeść. Miał też zapasowe skarpety, przybory do szycia i apteczkę. Jego ojciec też był fajny, pomagali mu kopać w ogródku, kilka razy byli na

rybach, miał mały warsztat, reperował ich rowery i narty. Wydawałoby się, że takie małżeństwa przetrwają wszystko. Ciekawe, jak wyglądałoby dzisiaj jego rodzice? Byli tacy młodzi, czterdziestoletni, gdy zginęli. Pamięta ich uśmiechy, przytulenia, z pewnością się kochali. Czy mając sześćdziesiąt lat, byłiby razem? Bardzo by tego chciał. Maciek pewnie też.

No i nic nie wyszło z wyjazdu w góry, nawet o tym nie wspomniał - jego przyjaciele mieli co innego na głowie.

Rozdział 16

Jakie nieskończenie długie są bezsenne noce - zastanawiała się Magda. Gdy żyła Sara, ledwo nadążała ze wszystkim, każda godzina, niemal minuta były ściśle przypisane do konkretnych czynności. To Sara narzucała jej ten rytm. Teraz, gdy odeszła, jak to zaakceptować? Skąd brać energię do działania? Jakiego działania? Już nikt jej nie potrzebuje, wszyscy lepiej od niej radzą sobie z rzeczywistością.

- Sara, maleńka, tobie zawsze byłam potrzebna, gdzie jesteś? Daj mi znać, że jest ci tam dobrze - błagała.

Nie doczekała się żadnego znaku. Próbowwała się modlić, ale nic się nie działo, nie docierał do niej nawet sens tych modłów. W końcu przestała.

Snuła się jak cień, coraz słabsza i mniej świadoma toczącego się wokół niej życia.

Leki nasenne nie przynosiły ulgi. Zapadała w jakiś niebyt i wracała stamtąd zmęczona i rozkojarzona.

Którejś nocy Konrad, nie mogąc znieść tego umęczenia, przyniósł jej śpiącego Piotrusia. Przytuliła to miękkie, pachnące ciało dziecka i wreszcie zasnęła. Spała bardzo długo, czternaście godzin. Konrad czuwał, by żaden zbędny hałas nie przerwał jej odpoczynku.

Przed obudzeniem miała sen. Najpierw pojawiło się silne uczucie, że przeżywa *déjà vu*. Rozpoznawała mijane domy, wiedziała, że za zakrętem musi skręcić w lewo i iść po skosie w górę. Była też świadoma tego, że jest tym faktem zdumiona, bo z pewnością nigdy tu nie była. „Skąd się to bierze w moim mózgu?” - myślała. Szła wąską uliczką lekko pod górę. Było szaro i bardzo zimno.

Gdy wyszła zza zakrętu, podmuch lodowatego wiatru zmusił ją do cofnięcia.

Wzdrygnęła się, ale wiedziała, że nie może zrezygnować. Nasunęła szalik na twarz po same oczy i spróbowała jeszcze raz. Przesuwała się powoli, z trudem pokonując napór wiatru.

Teraz już żadna siła nie zawróciłaby jej z drogi, ujrzała bowiem cel swojej wędrówki. Na niewielkim wzniesieniu stała rakieta, olbrzymia. Jej stożkowate zakończenie sięgało stalowych chmur.

Nagle uświadomiła sobie, że nie jest sama, że ma przewodnika. Kilka metrów przed nią szedł mnich w białym habicie. Jego jasne włosy tańczyły szarpane wiatrem. Widziała, jak dotarł do ciężkich drzwi i z trudem je otworzył.

Próbowała przyspieszyć, ale wiatr kpił sobie z jej wysiłków, napierał ze zdwojoną siłą.

Miała uczucie, że pomimo stawiania kroków do przodu, nie przesuwa się. Jakby jakaś złośliwa moc drażniła się z nią. Nie znosiła tego. Zacisnęła mocno zęby, zmrużyła oczy i ruszyła jak taran, wkładając w to cały zapas sił, jaki jej pozostał. Musiała jeszcze pokonać pusty, niczym nieosłonięty plac. Wiatr jeszcze raz zaatakował, tym razem bardziej z prawej strony. Zachwiała się, zamachała rękami jak skrzydłami wiatraka, ale utrzymała się na szeroko rozstawionych nogach. Gdy podniosła głowę, zobaczyła światło w szeroko otwartych drzwiach i mnicha, który wyraźnie czekał na nią. Poczowała świeży napływ sił.

W końcu osiągnęła cel, złapała dłońmi dużą, mosiężną klamkę i z całych sił pociągnęła za sobą. Rozległ się zwielokrotniony echem, potężny huk zatraskiwanych drzwi, a zaraz potem nastąpiła cisza. Całkowita, bezwzględna cisza. Odetchnęła z ulgą, odgrodziła się od wiatru, który nie miał już do niej dostępu.

Odwróciła się zadowolona i dumna z siebie i zamarła ze zdumienia. Zobaczyła dwa rzędy drewnianych, pomalowanych na brązowo ławek, a między nimi kamienną, mozaikową posadzkę. Powoli

uświadamiała sobie, że jest w kościele, a nie we wnętrzu rakiety. Stała oszołomiona tym odkryciem. Jak mogła się wcześniej nie domyślić? Nie musi lecieć do Boga rakieta, Bóg jest tu, czekał na nią. Podniosła wzrok tam, gdzie powinien być ołtarz...

Obudziła się nagle i przez krótki czas nie wiedziała, gdzie jest.

- Ach nie, więc to był tylko sen?! - Bardzo się zdenerwowała. Nie chciała tego. Nie wyrażała zgody.

- To niesprawiedliwe! Tego się nie robi! - protestowała. Z takim trudem dotarła do celu, tyle wysiłku poszło na marne, chce tam natychmiast wrócić! Musi!

Zamknęła szybko oczy, zwinęła się w kłębek, naciągnęła kołdrę, by światło dnia nie docierało do niej. Niestety, sen się ulotnił.

Po południu opowiedziała o tym, co się jej śniło, Konradowi i Piotrusiowi. Chłopczyk wzruszył ramionami. Sprawa widocznie zupełnie przestała go interesować, dla niego już nie miało znaczenia, czy rakieta jest kościołem.

Natomiast Konrad wyjątkowo się przejął. Po raz pierwszy od bardzo dawna widział

u niej zainteresowanie, jakiś protest, żywe uczucia. Spadła z jej twarzy ta maska wyłączenia, oddalenia. Wypytywał o szczegóły, kolory, architekturę ulicy, domków.

Musiał z tej iskierki rozniecić ogień, nie mógł pozwolić na to, by znowu się zamknęła.

Na koniec poprosił ją, by spróbowała narysować sylwetkę tej świątyni. Podał jej blok rysunkowy i pastele.

- Narysuj to dokładnie. Ten sen to jakiś drogowskaz - tłumaczył jej i sobie jednocześnie. - Sugeruje jakieś wyjście ku nowemu, jakąś wspólną drogę. Tak to odczuwam.

A ty jak sądzisz? - zapytał, patrząc jej głęboko w oczy.

- Tak, to jest bardzo tajemnicze i takie trochę... niesamowite - przyznała.

Magda cały wieczór rysowała. Sprawiało jej to prawdziwą przyjemność, od wielu lat nie miała kredki w ręce, a kiedyś tak bardzo to lubiła. Była nastolatką... to wieki temu, w innym życiu, wtedy żyli jej rodzice... Nie chciała wracać do tych wspomnień.

Gdy Piotruś, który przyszedł dać jej buzi na dobranoc, zajrzał jej przez ramię, aż zapiszczał z radości.

- Taka sama, taka sama! - Podskakiwał podniecony. - Mnie śniła się taka sama rakieta!

Bałaś się mamusiu? I było ci bardzo zimno? - dopytywał się.

- Bardzo zimno, syneczku, wiał straszny wiatr.

- To byłaś w moim śnie. - Ucieszył się.

- Tak, Piotrusiu, myślę, że byłam. Ale powiedz mi, czy ty wchodziłeś do środka? Czy ktoś ci pomagał?

- Nie. Zawsze budziłem się, gdy robiło mi się bardzo zimno i strasznie się bałem, bo te domy były puste i nie było żadnych ludzi - opowiadał przejęty.

- Ja dotarłam do tej rakiety, bo jestem większa i silniejsza od ciebie. I był tam przewodnik, który mi pomagał. Ale teraz już wiemy, że to był tylko taki dziwny kościół.

- Czy ktoś naprawdę wybudował taki kościół, żeby wyglądał jak rakieta? - zdziwił się.

- Nie sądzę, syneczku. To był tylko sen, dziwny sen - odpowiedziała Magda.

- Tego nie wiemy - wtrącił się Konrad. - Może gdzieś na świecie jest taki kościół.

Spróbujemy to ustalić. Może znajdziemy odpowiedź w internecie? Pokażemy na forach wasze obrazki i poprosimy o pomoc.

- Zróbmy tak, tato, zróbmy - gorączkował się Piotruś.

- To nie ma sensu - zaprotestowała słabo.

- Musimy spróbować! - stwierdził. - Obiecuję ci, synu, że jeszcze dziś wieczorem popracuję nad tym, ale teraz czas do łóżka, jutro też jest dzień i nie zapominaj, że musisz wstać rano do przedszkola.

Konrad przeniósł na ekran laptopa rysunki Magdy i Piotrusia. Opisał je dokładnie w języku polskim, hiszpańskim i angielskim. Poprosił internautów o pomoc. Rozesłał

wiadomość do wszystkich możliwych portali oraz na fora dyskusyjne podróżników.

Czuł przy tym jakieś podniecenie, jeszcze nie wiedział dokładnie, po co to robił, ale wyczuwał, że było to z jakichś powodów bardzo ważne. Tak jakby uruchamiał pewien proces, którego istoty do końca nie rozszyfrował. Chyba nie każdemu przytrafia się taka historia, by w snach jego najbliższych pojawił się ten sam obiekt. Piotruś tylko szukał rakiety, którą chciał polecieć do Boga, a we śnie żony rakietą zamienia się w kościół. Za to w szczegółach pokrywało się całe otoczenie, wiatr, zimno, opuszczone miasteczko, niska zabudowa. Czy te sny odkrywają przed nimi jakąś tajemnicę? Średnio w to wierzył, natomiast istotne było zainteresowanie Magdy. Musi zrobić wszystko, by je w niej podsycać.

Konrad uczył się tego, że Magda wyraźnie się ożywiła, jej twarz przestała być maską. Pomysł z komputerem sprawił, że obudziła się z letargu. Pytała, pytała bez końca, zafascynował ją świat internetowych możliwości. Z dnia na dzień coraz dłużej siedziała przed ekranem.

- Zobacz, dobrze się zalogowałam, otworzyła się moja poczta. Mam tu jakieś wiadomości.

Cieszyła się jak dziecko.

- To reklama i spam. Przysyłają tego dużo, wrzucają każdemu do poczty - tłumaczył.

- Jak znaleźć tę stronę z malarstwem, którą wczoraj mi pokazałeś?

- Najpierw otwierasz przeglądarkę, wpisujesz, jakich informacji potrzebujesz i...

o masz. Możesz też zajrzeć do największych muzeów, przejrzeć ich zbiory, poczytać o malarzach, technikach, stylach, prądach w sztuce. To kopalnia wiadomości, która stale się powiększa - wtajemniczał ją cierpliwie.

Nie mógł się nadziwić, że jego żona tak niewiele wiedziała o urządzeniach używanych, jak mu się wydawało, przez każdego. Całkiem małe dzieci świetnie sobie radziły z obsługą smartfonu, tabletu czy komputera. Dla niej skaner i drukarka były zagadką, nie miała prawa jazdy, nigdy nie była poza granicami kraju. Czuł się za to odpowiedzialny. Teraz docierało do niego, jak bardzo egoistycznie traktował ich związek. Magda ślepo mu zaufała, podporządkowała swoje życie jego potrzebom, wzięła na siebie tę część ich życia, której on nie chciał. Dzięki jej poświęceniu mógł się rozwijać, odnosić sukcesy, podróżować...

- Tato, tato! - wołał Piotruś ze swojego pokoju. - Ten jest trochę podobny, chodź

szybko, zobacz! - Piotruś siedział przy swoim laptopie. Gdy tylko wracał z przedszkola, przeglądał wszystkie kościoły na świecie.

- Nie, kochanie, porównaj. To jest katedra w Paryżu. Tam zawsze są tłumy ludzi, tysiące turystów z całego świata.

- Byłeś tam, tato?

- Byłem, to olbrzymia i bardzo piękna świątynia, cała jest dziełem sztuki, cała w rzeźbach na zewnątrz i wewnątrz, są też obrazy i przepiękne witraże.

- Ja też tam będę?

- Będziesz, na pewno będziesz - zapewniał. Serce mu pękało na myśl o tym, że może nigdy nie pokaże synowi tych cudów architektury, a byłby świetnym przewodnikiem.

Konrad teraz dużo czasu poświęcał najbliższemu, chętnie wprowadzał Magdę w świat internetu. Tak się cieszył z tej przemiany, na wszelkie sposoby starał się podtrzymać w niej to zainteresowanie. Był wyjątkowo opanowany i wyrozumiały. Bardzo się starał, by nie okazać zniecierpliwienia. Uwielbiał patrzeć, jak jej oczy rozszerzały się w zachwycie, gdy podziwiała dzieła sztuki. Cała twarz jaśniała. Pokazał jej, jak może obejrzeć rzeźbę ze wszystkich stron, powiększyć obraz i studiować detale, maleńkie fragmenty. A ona z wdzięcznością dziękowała mu, spontanicznie chwytając za rękę, przytulała się, a nawet rzuciła mu się na szyję. Znowu była młodą dziewczyną, chłonną i ciekawą świata. Jak się sama wyraziła, czuła się niczym Alicja w Krainie Czarów.

Przez kilka dni nikt nie zareagował w sposób poważny na ich ogłoszenie. Głównie kpiono z niego,

faceta, który chce rakieta do Boga. Niektórzy zastanawiali się, czy jest przy zdrowych zmysłach, a może kolejnym nawiedzonym sekciarzem?

Pod koniec tygodnia dostał jednak maila z załącznikiem. Jakiś mężczyzna o nicku WIKING poinformował go, że był na Islandii i zrobił w Reykiawiku zdjęcie ulicy, u wylotu której stał kościół. Z tej perspektywy budynek rzeczywiście przypominał rakieta. Na potwierdzenie swych słów przesłał w załączniku zdjęcie.

Konrad oniemiał z wrażenia, gdy stopniowo zaczął mu się wyłaniać przesłany obraz.

To zdjęcie było tak podobne do rysunku Magdy, że nikt nie mógł mieć żadnych wątpliwości.

To był dokładnie ten obiekt. Gdzieś na końcu świata istniał kościół, którego sylwetka przypominała rakieta!

Więc jednak zdarzają się takie rzeczy?! I Magda, i Piotruś widzieli w swoich snach budowlę, którą ktoś kiedyś postawił. Jak to możliwe?!

Zafascynowany, wyszukał więcej informacji o tym budynku, zawołał Magdę i Piotrusia i pokazał im największy kościół Islandii - Hallgrímskirkja.

- Architekt Guðjón Samúelsson wcale nie myślał o rakiecie, projektując taką sylwetkę kościoła, tylko o specyficznych krajobrazach Islandii, głównie bazaltowych wybrzeżach -

tłumaczył im. - Jednak widok z perspektywy tej jednej ulicy jest naprawdę bardzo charakterystyczny i od razu narzuca porównanie z rakieta. Zobaczcie, jak wygląda z innych stron, te ujęcia już w niczym nie przypominają waszych obrazków.

- Chcę zobaczyć jego wnętrze, czy to możliwe? - dopytywała się Magda. -

Szczególnie jak wygląda ołtarz.

- Poszukamy. - Konrad klikał myszką i ich oczom ukazywały się kolejne szczegóły.

Udało mu się odnaleźć zdjęcia witraży i organów składających się z pięciu tysięcy piszczałek, a także dzwony różnej wielkości oraz widok ogólny wnętrza z dwoma rzędami drewnianych ławek. Brakowało tylko ołtarza.

- Jak mogli pominąć to, co najważniejsze?! - prychnęła Magda.

Konrad uśmiechał się oczarowany tym, że jego żona reaguje tak spontanicznie, okazuje niezadowolenie, przeżywa to tak silnie. Jej twarz nabrała rumieńców, a oczy blasku.

Magda rzeczywiście była bardzo podekscytowana, badała każdy szczegół

i porównywała. Ławki nie były ciemnobrązowe jak w jej śnie, tylko wykonane z jasnego drewna i obite szarozielonkawym sukniem. Ten kościół był ogromny, dużo wyższy i jaśniejszy.

Obiekt ze snu przypominał stylem polskie drewniane kościołki. Może dlatego, że trafiła tam nocą? Wtedy wszystko jest w ciemnych tonacjach, nie widać witraży, a organy pewnie były nad drzwiami, czyli nad jej głową, nie zdążyła tam popatrzeć.

Prawdziwa świątynia była monumentalna - zrobiła na niej naprawdę wielkie wrażenie.

Uważnie przeglądała poszczególne zdjęcia. Znów naszło ją to niewytłumaczalne uczucie, że ten kościół ją wzywa, a ona musi go zobaczyć. Jakby właśnie w jego wnętrzu kryła się odpowiedź. Jaka odpowiedź? Nie znała nawet pytania, na które szukała odpowiedzi. Czuła tylko, że z jakichś powodów było to bardzo ważne, ale jednocześnie takie pogmatwane i tajemnicze. Bezwiednie pochyliła głowę i zamyśliła się. Z wolna spłynął na nią kojący spokój. Zupełnie jakby ktoś położył na jej głowie dużą, ciepłą dłoń.

- Chcę tam pojechać - oświadczyła nagle, podnosząc głowę. - Chcę to wszystko zobaczyć, dotknąć. Nie pytaj dlaczego. Sama tego nie rozumiem - tłumaczyła głosem mocnym, stanowczym, patrząc mu prosto w oczy. Dawno tak nie przemawiała, oj bardzo dawno. To było wspaniałe zobaczyć ten błysk w oczach, tę chęć działania.

- Oczywiście, żaden problem. Polecimy samolotem, stać nas na to. Ale najpierw musisz zacząć jeść, wzmocnić organizm. Jak doktor wyrazi zgodę, to polecimy.

- Hura, hura, polecimy samolotem! - wykrzykiwał Piotruś. - A gdzie jest ta Islandia?

Czy tam naprawdę jest tak bardzo zimno?

- Bardzo zimno, syneczku. To blisko koła biegunowego. Przynieś atlas, pokażę ci.

Wszystko się zgadza, i zimno, i wiatry, i niska zabudowa. Te wasze sny były bardzo realistyczne - stwierdził. Sam był tym faktem mocno zaskoczony.

Piotruś wrócił, niosąc atlas pod pachą i talerzyk z kanapkami w rączkach.

- Musisz od razu jeść, mamusiu, żebyś szybko była silna, wtedy pan doktor się zgodzi i polecimy samolotem. Teraz twoja kolacja nie może leżeć w kuchni na stole.

Ucałowała go serdecznie. „Kochany synuś” - pomyślała.

Posypały się pytania. Przeglądali atlas, encyklopedię i strony w internecie. Spędzili cudowny wspólny wieczór, odkrywali razem nowy ląd.

Rozdział 17

Magda czuła w sobie jakąś gorączkę, często obejmowała dłońmi głowę, kłębowisko myśli rozsadało jej czaszkę. Nie mogła zrozumieć tej zachłanności i niecierpliwości, która nią zawładnęła. Takich uczuć nie doznawała od bardzo dawna. Chciała wiedzieć wszystko o tym miejscu. Islandia - co to za kraj? Niewiele pamiętała z lekcji geografii. Wiadomości w języku polskim nie znalazła zbyt dużo, a naukę angielskiego zakończyła na studiach.

Minęło tyle lat. Niektóre teksty tłumaczył jej Konrad, ale nie mogła go bez przerwy wykorzystywać, bo on miał mnóstwo własnych zajęć.

Postanowiła, że odwiedzi miejską bibliotekę. Od kilku lat tam nie była. Zajrzy też do księgarni i Empiku. Chciała nie tylko jak najwięcej wiedzieć o tym kraju, ale czuła potrzebę czytania, studiowania. Miała wrażenie, że otwarła się dla niej nowa droga. Nie wierzyła w przypadki - ten sam powtarzający się sen u syna i u niej. Dla niej było jasne, że śniła za sprawą Sary. To był znak. I musiała poznać jego tajemnicę.

W praktyce nie było to takie proste. Chociaż zależało jej na wszelkiej informacji, odkładała moment opuszczenia mieszkania z dnia na dzień. Miała silne opory w podejmowaniu jakiegokolwiek działania. Czuła się jak człowiek, który przeleżał

zahibernowany przez wiele lat, obudził się i nie poznawał rzeczywistości. W końcu nakazała sobie, że jutro po śniadaniu sama zrobi zakupy i odwiedzi bibliotekę. Po prostu wyjdzie z domu. To nie może być trudne.

- Dzień dobry, pani Kostrzewska. - Sąsiadka z pierwszego piętra wchodziła na klatkę schodową.

- Dzień dobry - powiedziała, zmuszając się do uśmiechu.

- Piękna pogoda dzisiaj na spacer, słoneczko, prawdziwy maj - zagadywała.

Magda pokiwała głową i przyśpieszyła kroku. Nie miała ochoty na plotki z panią Kwaśniakową. Nie miała ochoty na rozmowę z nikim. Wiedziała, że sąsiedzi to życzliwi ludzie, większość znała ją od dziecka. Otoczyli ją opieką po tragicznej śmierci rodziców. Nikt nie odmówiłby jej pomocy, gdyby o nią poprosiła, ale ona nie była gotowa na rozmowy z nimi. Przyśpieszyła jeszcze trochę i zdążyła wsiąść do tramwaju, który właśnie podjechał.

Wysiadła w centrum miasta, które sprawiało wrażenie wielkiego placu budowy - wszędzie jakieś barierki, rusztowania, huk młota pneumatycznego. Wreszcie dotarła na rynek i przystanęła.

- Jak ładnie - westchnęła zachwycona.

Ślicznie odnowione kamienice mieniły się kolorami, błyskały w słońcu nowymi oknami i dachówkami. Kawiarnie z ogródkami pełne były młodzieży i kobiet z małymi dziećmi. Słyszała od Hani, że pieniądze unijne pozwalały na remonty zaniedbanego miasta, ale nie była świadoma aż takich zmian.

Przez ostatnie dwa lata omijała centrum, jej trasa była z góry wyznaczona: dom, szpital, zakupy w supermarkecie na obrzeżach miasta. Tak sobie żyła, w zamkniętym kręgu spraw, na własne życzenie.

Wokół niej tłumy ludzi, muzyka w mijanych kawiarniach i piwiarniach. Zaczęło ją to drażnić, poczuła się osaczona, zagubiona i już zmęczona. Skręciła w pierwszą boczną uliczkę, chciała ciszy. Szła wzdłuż kamiennego muru. Zorientowała się, że dotarła na cmentarz miejski, ale nie od strony wejścia głównego, lecz jakiejś bocznej furtki. Była otwarta, między grobami kręcili się jacyś ludzie, przede wszystkim starsi. Serce mocno jej zabiło, tu gdzieś powinien być grób Sary. Od dnia pogrzebu nie opuszczała domu. Uświadomiła sobie, że nie odwiedzała córeczki, a ona leżała tutaj sama. Jak mogła o tym nie pomyśleć?!

Z przerażeniem odkryła, że nie ma pojęcia, w którym miejscu Sara została pochowana. Stała bezradna, we wszystkie strony ciągnęły się długie szeregi nagrobków.

W końcu zapytała jakiegoś starszego mężczyznę, gdzie są pochowane dzieci. Popatrzył na nią ze współczuciem i wskazał ręką kierunek.

Szła wolno, czytając napisy na nagrobkach. Ile dzieci, i te najmłodsze, które gościły na ziemi tylko jeden dzień, i trochę starsze. Nie miała pojęcia, że tyle dzieci umierało.

Mogiłki nie były sprzed dziesiątków lat, ale sporo z datami po roku dwutysięcznym.

Szukała coraz bardziej nerwowo, była bliska hysterii. Pamiętała z pogrzebu, że rosło tam jakieś drzewo, tylko że na tym starym cmentarzu drzew było bardzo dużo. Miotła się między tymi maleńkim grobami i czuła, że opada z sił, że za chwilę zemdleje. Serce biło jej jak szalone.

Nagle stanęła, jej uwagę przykuł biały napis „Sara” na czarnym krzyżu. Ktoś dbał o ten grób. Uformowany w drewnianej obudowie, mienił się kolorowymi bratkami. Opadła na kolana zupełnie wyczerpana.

- Córeczko, ukochana, jesteś? - szepnęła. - Tak bardzo cię potrzebuję. Tęsknię za tobą.

- W odpowiedzi usłyszała szelest liści na drzewach, brzęczenie owadów i śpiew ptaków.

Gdzieś w oddali szumiało miasto.

Nie zdawała sobie sprawy, jak długo tak klęczy. Nagle poczuła czyjaś dłoń na ramieniu. Wzdrygnęła się, zerwała na nogi i nagle wszystko zawirowało, czarne plamy zasłoniły świat. Starsza kobieta przytrzymała ją mocno, ratując przed upadkiem.

- Tak to już jest urządzone - rzekła. - Ci, którzy pozostają, muszą cierpieć i żyć dalej.

Człowiek nigdy nie pogodzi się ze stratą dziecka.

- Dziękuję pani - powiedziała cicho.

- Jesteś jeszcze taka młoda. - Kobieta podała jej chusteczkę. - Z czasem się przekonasz, że jak człowiek musi, to poradzi sobie ze wszystkim - dodała i wolno odeszła.

Magda zorientowała się, że całą twarz ma mokrą od łez. Westchnęła ciężko. Poczuła jednak, że w tym miejscu spłynął na nią spokój, że w pewnym sensie jest bliżej Sary. Tu odczuwała jej obecność intensywniej niż w domu.

Wróciła taksówką, nie miała siły przechodzić jeszcze raz przez miasto. Nie załatwiła żadnej z zaplanowanych spraw. Jednak wizyta na cmentarzu okazała się dla niej prawdziwym błogosławieństwem. Zrozumiała, że córeczki nie ma i już nie wróci. Czas Sary w jej życiu bezpowrotnie minął. Chciała wierzyć, że maleńka przebywa w jakimś miejscu, gdzie jest jej dobrze, nie cierpi i jest tam szczęśliwa. Gdyby wszystko się kończyło wraz ze śmiercią człowieka, nie miałoby to sensu. Musiało być inaczej.

Konrad nie mógł się nadziwić zmianom, jakie zaszły w życiu Magdy. To było zdumiewające, jak szybko regenerowała siły. Ten ludzki wrak, skarłały do minimum egzystencji, odradzał się z siłą obudzonego wulkanu.

Codziennie odwiedzała grób Sary. Już niedługo robotnicy zainstalują piękny różowy marmur włoski. Osobiście go wybierał. Nad płytą będzie czuwał anioł z szeroko rozpostartymi skrzydłami, długimi włosami i piękną buzią, z rękami w takim geście opiekuńczym. Pamiętał, że nad jego łóżeczkiem wisiał

obrazek Anioła Stróża, który pilnował

małego chłopczyka przechodzącego przez kładkę. I pierwszą modlitwę, której nauczyła go Rita: „Aniele Boży, stróżu mój...”.

Magda z dnia na dzień robiła się aktywniejsza. Sama chodziła na zakupy i gotowała obiady. Wrócił jej apetyt, skończyły się problemy z bezsennością. Spotykała się z Hanią i Adą w domu i w mieście, odwiedzała biblioteki, księgarnie i galerie.

Zauważył, że telefon komórkowy stał się jej niezbędny. Odbierała i wysyłała coraz więcej SMSów. Wieczorami namiętnie czytała. Z tego, co się zorientował, były to wielotomowe sagi skandynawskie. Interesowało ją wszystko, co dotyczyło Islandii i Norwegii. Niestety, wiadomości o kulturze islandzkiej, a zwłaszcza malarstwie, były bardzo skąpe. Biblioteka publiczna i nawet Biblioteka Śląska nie miały praktycznie nic. Zamierzał

przy najbliższej okazji sprawdzić biblioteki warszawskie.

Z wielką przyjemnością i nadzieją obserwował, jak jego żona coraz bardziej przypominała dziewczynę, studentkę, z którą uwielbiał spędzać każdą wolną chwilę.

Zaaferowana, stale czymś zajęta, chętna do rozmowy, z każdym dniem coraz silniejsza.

- Konradzie, czy ty wiesz, co to jest mobbing? - zapytała któregoś dnia.

- Wiem, niestety, ale mogę ci przysiąc, że ja go nie stosuję. - Uśmiechnął się.

- No wiesz, nawet nie pomyślałam, że ty mógłbyś...

- A gdzie się z tym pojęciem spotkałaś?

- Nie uwierzysz, byłam dzisiaj z Adą na zakupach, wstąpiłyśmy na kawę do tej nowej kawiarni na Sokołowskiego. To Ada od dłuższego czasu jest nękana i zastraszana przez swojego kierownika. Jest coraz gorzej. Gdy próbowała protestować, to zaczął ją poniżać i upokarzać przy innych pracownikach. Jest u kresu sił. Boję się o nią. Chodzenie do pracy stało się dla niej koszmarem. Musi się zwolnić. A wiesz, że mamy duże bezrobocie w Polsce?

- Oczywiście, że wiem.

- No tak, wszyscy o tym wiedzą oprócz mnie. Żyłam w takiej nieświadomości, wstyd mi po prostu. Dziękuję, że wzięłaś na siebie sprawy finansowe naszej rodziny. Bez ciebie bym sobie nie poradziła. Wiem, że powinnam szukać jakiejś pracy, nie ma już powodu, bym siedziała w domu, ale chyba jeszcze potrzebuję trochę czasu. Nie bardzo wiem, co z sobą zrobić.

- Spokojnie - przerwał jej szybko. - Powoli. Daj sobie czas, wszystko się ułoży, zobaczysz. Mamy spore oszczędności, pieniądze nie są najważniejsze. A wracając do Ady, może mógłbym jej jakoś pomóc? Jak myślisz, tyle jej zawdzięczamy?

- Mógłbyś? Naprawdę? - Bardzo się ucieszyła. - Ona biedna tak cierpi, tak się boi.

Z jedną pensją sobie nie poradzą. Bartek niedawno zmienił samochód, bo stary im się sypał.

Wzięli na to kredyt.

- Mam trochę możliwości. Umów nas na jutro, porozmawiam z nią i zobaczę, co da się zrobić. Niech przygotuje swoje CV.

Dostał za to buziaka. Już nie tylko przytulała i całowała Piotrusia, ale także coraz chętniej wtulała się w niego. Ostatnio lubili siedzieć na kanapie wsparci o siebie, podczas gdy każde było zajęte swoją lekturą. Potrzebowali wzajemnie swojej bliskości.

Konrad nie kochał się z Magdą od urodzenia Piotrusia, a ściślej od momentu, gdy dowiedział się, że został zarazony. Widywali się tak rzadko, tak bardzo się oddalili od siebie, że do tej pory nie stanowiło to problemu. Za to teraz mógłoby stać się poważnym zagrożeniem ich odradzającego się związku. On opadał z sił, jego potrzeby zminimalizowała choroba, ale Magda wyraźnie budziła się do aktywnego życia. Chwilowo było im dobrze, oboje potrzebowali głównie ciepła i wzajemnego wsparcia, natomiast przyszłość zaczęła go gnębić. Co z niego będzie za partner? Był zbyt słaby i miał za dużo problemów na głowie.

Starał się nie myśleć o tym. Chyba po raz pierwszy odpychał problem, zamiast go rozwiązać.

Zawsze był aktywny seksualnie. Uważał, że seks jest niezbędny, bo rozładowuje napięcie i przywraca równowagę organizmu. Lubił kobiety młode, jędrne, giętkie. Takie, które wiedziały, co robić, żeby mu było dobrze. Nigdy nie skupiał się na potrzebach partnerki, to ona musiała wykazać się aktywnością. Rzadko zadowolalał się jednym razem, dopiero dwa, trzy zaspokajały go dostatecznie, a bywało, że trwało to całą noc. Nigdy nie był brutalny, ale czasami potrzebował ostrego wejścia. Lubił też cięty język i bystre riposty, nie znosił głupich kobiet.

Wcale nietrudno o takie kobiety. Nie brakuje ich tam, gdzie odbywają się zjazdy, konferencje biznesmenów. Takie współczesne „gejsze”. To drogie zabawki, ale z górnej półki. Żaden mężczyzna nie pożałuje na to pieniędzy.

Gdyby musiał powiedzieć, z iloma kobietami się przespał - miałby problem. Zaczął w połowie liceum, później studia do momentu poznania Magdy, a przez te dziesięć lat pracy...

No, w końcu jest mężczyzną.

Magda to zupełnie inny rozdział w jego życiu intymnym. Był jej pierwszym i jedynym mężczyzną, to zobowiązywało. W tym układzie to on był tym doświadczonym, który otwierał

przed nią świat doznań. Kiedy był z nią, zawsze myślał przede wszystkim o tym, by zrobić jej przyjemność, był delikatny, czuły, pełen oddania. Najczulsze słowa, pocałunki zachował

tylko dla niej. To dawało mu poczucie, że nigdy jej nie zdradził, że był w jakimś sensie wiernym mężem.

Dzisiaj przede wszystkim lubił jej obecność, bliskość, przytulenie, które dawało nie tylko zewnętrzne, ale przede wszystkim wewnętrzne ciepło. Widział w niej opiekunkę domowego ogniska. Taki lek na zło. Tego jej spokoju, wyciszenia bardzo teraz potrzebował, ale równocześnie wiedział, że musi stale podsycać w niej chęć działania.

Zarezerwował trzy bilety do Keflavíku z międzylądowaniem w Kopenhadze. Stamtąd taksówką do Rejkiawíku.

Piotruś był niesamowicie podekscytowany i samą podróżą - pierwszy wyjazd za granicę, pierwszy lot samolotem - i cudownym przeobrażeniem mamy. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki stała się osobą uśmiechniętą i chętną do działania. Wiele czasu spędzali teraz razem, uczyli się obsługi komputera i języka angielskiego. Odwiedzali różne sklepy, zaopatrzyli się w nowe turystyczne obuwie, kurtki, spodnie i plecaki.

Konrad mógł teraz spokojnie wyjeżdżać do Warszawy, wiedział, że doskonale poradzą sobie bez niego. Ale jednocześnie coraz częściej tęsknił za nimi. Wysyłał wiele maili i SMSów w ciągu dnia, a wieczorami długo rozmawiali przez telefon. Ich życie zaczynało się wspaniale układać. Czuł, że kocha ich coraz mocniej.

Niestety, jego ciało odmawiało posłuszeństwa. Z każdym dniem tracił siły, często się pocił, czuł zawroty głowy, nie miał apetytu i chudł. Na szczęście dla niego maj, po ciepłym kwietniu, był tego roku deszczowy i chłodny. Mógł się ubierać ciepłej. Chodził w golfach, marynarkach, jego waga nie rzucała się tak w oczy.

Często budził się w środku nocy i nie mógł zasnąć. Nie potrafił się pogodzić z sytuacją. Miewał napady silnego lęku. Zaczynał rozumieć ludzi przerażonych samotnością, zbliżającą się śmiercią. Świadomość nicości, która pochłania wszystko, co żywe, przed którą nie ma ucieczki, atakowała go coraz częściej. Rozumiał, że cokolwiek by ze swoim życiem zrobił lub nie zrobił, to i tak musi umrzeć, bo był tylko człowiekiem. Ale czy nie było ważne to, co po sobie zostawiał, jak ciężko pracował, jak bardzo cierpiał... Czy to miało jakieś znaczenie? I dla kogo konkretnie?

Czuł, że teraz, gdy Sara odeszła, jego rodzina mogłaby być szczęśliwa. Pokazałby im cały świat, spędzał w ich towarzystwie każdą wolną chwilę. Tyle mógłby im dać. Praca w jego życiu przestała być najważniejsza, sam był tym zdumiony. Nie czuł już potrzeby przebywania w firmie po dwanaście godzin

na dobę. Pokornie prosił los o jeszcze jedną jedyną szansę, czuł się potrzebny rodzinie, to dla nich chciał żyć, a nie dla pracy.

I dostał ją! Wieczorem miał telefon ze Stanów - wiadomość z kliniki, w której się leczył. Pojawił się nowy preparat. Dla niego iskierka nadziei, a wraz z nią napływ energii.

Kilka lat temu zgłosił się jako ochotnik do testowania nowych leków. Wiedział, że to ryzyko najwyższej próby, ale też szansa, może ostatnia. Zawsze wierzył, że jest dzieckiem szczęścia.

Do tej pory instynkt go nie zawodził. Poczł się taki szczęśliwy, mógł znowu zacząć działać.

Uwierzył, że może jednak jest jakaś Wyższa Sprawiedliwość, która go uratuje, bo on na pewno nie zasłużył sobie na taki wyrok losu.

Był tylko jeden problem: pokryły się terminy przygotowanej wyprawy do Islandii i wylotu do Ameryki. Musiałby wtajemniczyć Magdę. Powiedzieć jej o swojej chorobie, o tym, jak zachorował. A bardzo tego nie chciał. Myślał intensywnie nad strategią działania.

Wyjeżdżając z Warszawy, zarezerwował jednak bilet do Stanów. Wykorzysta najmniejszą szansę, cień szansy, by przedłużyć życie o kilka lat. W klinice nie dało się przełożyć terminu. Startuje w grupie ochotników i albo do nich dołączy, albo z niego zrezygnują. Chętnych na jego miejsce było wielu, bardzo wielu.

Całą drogę do Katowic zastanawiał się, jak ma powiedzieć Piotrusiowi, że WIELKĄ WYPRAWĘ trzeba odłożyć w czasie. Wiedział, jak bardzo go zawiedzie, tego się nie robi dziecku. Ojciec powinien być kimś, kto zawsze dotrzymuje słowa - tak się buduje autorytet.

Przed wyjazdem z Warszawy kupił mu kompas. To dobry prezent dla syna wyruszającego w swoją pierwszą wielką podróż. Liczył na to, że upominek choć w części złagodzi rozczarowanie.

Rozdział 18

Tata, tata przyjechał! - krzyczał z radości Piotruś.

- Cześć, syneczku, tak się stęskniłeś za mną?

- Tak, tak, stęskniłem się, ale ty jeszcze nie wiesz, co się stało. - Malec podskakiwał podniecony. - Chodź szybko, pokażę ci. Nie uwierzysz. Mamusia też była zaskoczona.

- Piotrusiu, spokojnie, pozwól tacie odpocząć - interweniowała Magda. - Napijesz się kawy czy herbaty? Jesteś głodny?

- Herbatę poproszę. Nie jestem głodny, zjadłem po drodze - skłamał.

- Co to za sensacja? - zainteresował się.

- Odezwał się ten WIKING, który przysłał nam zdjęcie kościołarakiety z Islandii.

Odpisał na mojego maila. - Piotruś był bardzo dumny z siebie i wymachiwał z przejęcia rękami. - I nie uwierzysz, kto to jest?

- No powiedz mi wreszcie, bo umieram z ciekawości. - Roześmiał się.

- To pan doktor! Nasz pan doktor, który przychodził do Sary, gdy była chora. - Piotruś zamilkł i wpatrywał się w ojca, czekając na jego reakcję.

- Niemożliwe. - Konrad nie musiał udawać zaskoczonego, rzeczywiście był. Tysiące ludzi w różnych częściach świata zasiadało przed komputerem, a na ich apel zareagował ktoś mieszkający w tym samym mieście! Dobrze im znany lekarz, który wielokrotnie bywał w ich domu.

- Niesamowite, prawda? - powiedziała Magda, wnosząc tacę z herbatą i ciasteczkami.

- Taki zbieg okoliczności. Rozmawiałam z nim dziś po południu, wyobraź sobie, że jego ojciec był Islandczykiem, a matka Polką. On często jeździ w odwiedziny do swojego dziadka.

Dobrze zna Rejkiawik i ten kościół. Był taki uprzejmy, że dał się zaprosić jutro na kolację.

Przyniesie ze sobą kilka zdjęć i opowie nam trochę o tym kraju.

- Dobry pomysł. Najcenniejsze są informacje z pierwszej ręki. O której ta kolacja?

- O szóstej. Chciałam, żeby Piotruś też mógł z nim porozmawiać. Jak się domyślasz ma mnóstwo

pytań. - Uśmiechnęła się.

- Świetnie, rano mam jeszcze parę spraw do załatwienia, ale wieczorem będę wolny.

- Piotruś koniecznie chciał wiedzieć, kto rozwiązał naszą zagadkę - opowiadała Magda. - Pozwoliłam mu napisać do tego WIKINGA i poprosić, by się przedstawił.

A później, gdy mu odpisał, bardzo niezręcznie się poczułam. No wiesz, znamy się od jakichś trzech lat, a tak niewiele o sobie wiemy. Tyle godzin spędziliśmy przy Sarze, ale nigdy nie rozmawialiśmy na tematy osobiste. Czy to nie dziwne?

- Nie, dlaczego? Przychodził tu przecież służbowo, w okolicznościach bardzo trudnych. Myślę, że to nie był czas na prywatne pogaduszki. A poza tym jemu nie wolno się angażować uczuciowo w każdego pacjenta, bo nie mógłby wykonywać swojej pracy. Dla niego to rutyna.

- Tak myślisz? - Nie była przekonana. Ona widziała to inaczej. Jego wizyty uspokajały ją, dzielił z nią cały dramatyzm sytuacji, był więcej niż tylko lekarzem. Nigdy się nie śpieszył, nie zbywał, poważnie traktował jej lęki. Wystarczyła sama jego obecność, by mogła powstrzymać dopadającą ją panikę. Potrafili rozmawiać o życiu, przeznaczeniu, dzieciach, czasem o muzyce, filmie... o wszystkim, tylko o sobie.

- Tak. Uwierz mi, wiem, co mówię. Ale jednak to naprawdę niesamowite, że właśnie on jest tym WIKINGIEM.

- No właśnie. Czy to na pewno przypadek? To się robi tajemnicze. Najpierw sny Piotrusia, potem mój, wreszcie twój pomysł z internetem, a teraz... Nie masz poczucia, że to do czegoś zmierza? Czemuś ma służyć?

- Oj, Magdo, zastanów się. To nie może być nic innego jak czysty zbieg okoliczności.

Nie dorabiaj sobie ideologii. - Roześmiał się.

- Kpij sobie, kpij, a ja i tak czuję, że to są jakieś znaki.

Konrad musiał poczekać. Pielęgniarka nie wydała mu wyników badań, ponieważ lekarz chciał to zrobić osobiście. Usiadł więc w poczekalni między innymi oczekującymi.

Domyślał się, że jest źle i lekarz zechce mu to uświadomić. Nie miał na to ochoty - jeszcze jedna osoba, której będzie musiał się tłumaczyć, ale nie zdążyłby zrobić badań w Warszawie.

Nakazał sobie cierpliwość, w końcu to tylko pięć minut, tak go zapewniała pielęgniarka.

Rozglądał się wokoło i sam był obiektem obserwacji. Na krzesłach wzdłuż ścian siedzieli pacjenci, przeważali ludzie starsi, emeryci. Docierały do niego strzępy rozmów w dawno niesłyszanej gwarze śląskiej. Tak daleko od niej odszedł, a to przecież całe jego dzieciństwo.

- A łona mu pedziała, że jest gupi i nie do sie tej nogi łopciąc - tłumaczyła kobieta siedząca z lewej strony.

Konrad uśmiechnął się - jakby słyszał Ritę. Kochana kobieta, zastępowała mu matkę.

Była wielka, miękka, ciepła, a najczulsze miała serce.

Nagle przy okienku rejestracji zrobiło się jakieś zamieszanie. Starszy mężczyzna machał rękami zupełnie wytrącony z równowagi.

- Co to za porządki! Jo, chory chop, mom tak lotać od jednego dochtora do drugiego?

A co jo jest? Jakiś ptok?

Konrad ledwo się powstrzymał, by nie parsknąć śmiechem. Dziadek wyglądał

rzeczywiście groźnie: czerwony na twarzy, z wystającym brzuchem piwnym i w spodniach na gumowych szelkach.

- Panie Gomolka, niech się pan uspokoi, bo ciśnienie panu skoczy i sam pan sobie zaszkodzi - interweniowała pielęgniarka. Podprowadziła dziadka do krzesła, kazała mu usiąść i czekać. Nagle spojrzała na Konrada i uśmiechnęła się. Teraz i on ją rozpoznał, to córka Ireny. Nie wiedział, że jest pielęgniarką i pracuje w tej przychodni.

- Dzień dobry panu - podeszła do niego. - Czy mogę w czymś pomóc?
- Dzień dobry - wstał. - Miło panią widzieć. Czekam na lekarza. Chciałem odebrać wyniki badań.
- Bardzo się pan śpieszy? Zobaczę, co da się zrobić - ściszyła głos.
- No jasne, taki młody karlus to zorośli bydzie załatwiony, a jo stary chop mom siedzieć cicho i czekać - zaatakował dziadek, widać słuch miał bardzo dobry.

- Pan Kostrzewski! - Głos lekarza wezwał go do gabinetu. Konrad uśmiechnął się zadowolony, że mógł się ewakuować.

- Do widzenia, proszę pozdrowić mamę - zwrócił się do znajomej.
- Dziękuję, pozdrowię.

Lekarz wskazał mu krzesło obok biurka. Przez dłuższą chwilę patrzył na rozłożone karteczki papieru, a później skupił się na twarzy Konrada.

- Pan jest świadomy swego stanu zdrowia? Nie będę ukrywał, że jest źle. - Zawiesił głos.

- Tak, doktorze, wiem. Właśnie lecę do Stanów, czekają tam na mnie, wezmę udział w testowaniu nowego eksperymentalnego leku. Dlatego muszę co kilka dni sprawdzać swój stan zdrowia, stąd te badania.

- Czy ma pan rodzinę?

- Tak, żonę i syna.

- Polecą z panem?

- Nie. Nie chcę ich na to narażać. Żona nie jest świadoma mojego stanu. Przeżyliśmy niedawno śmierć córki, myślę, że nie udźwignęłaby tego.

- Bardzo panu współczuję. To trudne, ale radziłbym panu przemyśleć sprawę i porozmawiać jednak z żoną. To wydaje się pilne.

- Podjąłem już decyzję - przerwał dyskusję.

- Rozumiem. No cóż... - Lekarz złożył w stosik wyniki badań i wręczył je Konradowi.

- Życzę panu szczęścia.

- Dziękuję, doktorze. Jestem szczęściarzem. Mam jednak prośbę. Chciałbym, żeby stan mojego zdrowia pozostał tajemnicą. W tej poradni pracuje moja znajoma, jest pielęgniarką, rozumie pan?

- Rozumiem. Pan wie, że obowiązuje nas tajemnica lekarska, proszę się nie martwić.

- W takim razie dziękuję. Do widzenia.

Konrad nie był przekonany, czy wiadomość o jego chorobie nie wyjdzie poza gabinet lekarza. Pocieszał się, że kontakty Ireny i Magdy były sporadyczne. A jednak to pech, że trafił akurat do tej przychodni.

Rozdział 19

Michał zawahał się na moment. Stał przed drzwiami mieszkania, w którym wielokrotnie bywał, ale po raz pierwszy przyszedł tak prywatnie, z kwiatami w dłoni. Nie wiedział, jak będzie wyglądało to spotkanie.

Od śmierci dziewczynki minęły dwa miesiące. Zapamiętał zrozpaczone, umęczone twarze rodziców. Wtedy, późnym wieczorem, weszli do pokoju razem, on i ojciec dziecka.

Zastali Magdę Kostrzewską siedzącą na łóżku i tulącą ciało córeczki. Zawodziła cichutko, wzrok miała mało przytomny. Tak jak się wcześniej umówili, mąż przytulił ją, a on zrobił

zastrzyk. Stwierdził śmierć dziecka, odłączył aparaturę, wystawił akt zgonu. Od tego czasu starał się zapomnieć. Taka obowiązywała zasada działania w tym zawodzie, kolejne dzieci czekały na pomoc. Michał westchnął i nacisnął dzwonek.

Drzwi otworzyły się natychmiast, jakby ktoś tylko czekał na sygnał dzwonka.

Przywitał go Piotruś.

- Dzień dobry, panie doktorze! - Jego twarz jaśniała. - Mamusia mówiła, że na pewno przyjdzie pan punktualnie.

- Cześć, Piotrusiu. Twoja mama ma zawsze rację. - Uścisnął rączkę małego, jednocześnie puszcżając do niego oko.

- Witamy, doktorze. Tak się cieszymy, że zgodził się pan przyjść. Piotruś nie mógł się doczekać - przywitała go Magda.

- To dla mnie przyjemność. - Patrzył na jej pogodną twarz. Obawiał się, że trafi do domu żałoby, a tymczasem od razu zrobiła się sympatyczna atmosfera. Wręczył jej bukiet herbacianych róż.

- Jakie piękne - szepnęła i wtuliła w nie twarz. Popatrzyła w jego niebieskie oczy i zarumieniła się. Nagle uświadomiła sobie, że po raz pierwszy nie odwiedził ich jako lekarz.

Zobaczyła przystojnego mężczyznę i poczuła się skrępowana.

- Co tak trzymacie gościa w przedpokoju? Proszę dalej - włączył się Konrad, zapraszając gestem do pokoju. - Witam pana. To niesamowite, że właśnie pan okazał się naszym WIKINGIEM .

- No właśnie, co to za tajemnicza sprawa? - zapytał Michał.

- A to cały ciąg niesamowitych zbiegów okoliczności, wymaga dłuższych wyjaśnień. -

Uśmiechnął się Konrad.

W pokoju stół był ładnie nakryty. Porcelanowa zastawa, świece, serwetki zapowiadały prawdziwą ucztę. Konrad stanął przy komodzie i przygotowywał napoje.

Michał usiadł w wygodnym fotelu i uważnie mu się przyglądał. Popijał

z przyjemnością podany aperitif, aromatyczne canaletto. Uprzedzono go zawczasu, żeby nie przyjeżdżał samochodem z wiadomych względów.

Gospodarz nie wyglądał najlepiej. Od ostatniego spotkania bardzo zeszczupłał i te sińce pod oczami. „Chyba nie jest z nim dobrze - pomyślał. - Śmierć dziecka to traumatyczne przeżycie, ale czy to tylko to? Oj, nie jestem tu jako lekarz” - skarcił sam siebie. Zresztą nie mógł się zastanawiać zbyt długo, ponieważ dostał się w krzyżowy ogień pytań. Mały Piotruś całkowicie zawładnął gościem.

- Panie doktorze, czy widział pan na własne oczy taki wybuchający gejzer z gorącą wodą? Oglądałem zdjęcia w internecie. Czy on rzeczywiście może być wyższy niż nasz wieżowiec?

I tak już było do momentu, gdy po kolacji położono chłopca do łóżka. Michał chętnie odpowiadał na jego dociekliwe pytania w stylu: czy lodowiec może mieć taki zielony kolor, jak widać na zdjęciach, czy to fałszuje aparat fotograficzny? Czy zorza polarna jest podobna do tęczy? Czy też jest kolorowa? Czy to prawda, że na Islandii zupełnie nie ma drzew? Czy chłopcy też tam grają w piłkę?

Spotkanie było bardzo sympatyczne, przerywane wybuchami śmiechu, ponieważ Piotruś potrafił zaskakiwać. Jego entuzjazm, ciekawość i dociekliwość wszystkim się udzielały. Kolacja też była pyszna, szynka na gorąco z sałatką, a na deser lody z malinami.

Na koniec zostali sami, siedzieli w wygodnych fotelach, popijając drinki. Konrad zaproponował, by mówili sobie po imieniu, w końcu byli prawie rówieśnikami. Znowu wrócili do niesamowitych zbiegów okoliczności, jakie zdarzały się w życiu.

- Może wam się to wydawać śmieszne, ale ja po prostu muszę polecieć na Islandię, i to jak najszybciej - powiedziała Magda. - Prześladuje mnie przeczucie, że czeka tam na mnie rozwiązanie jakiejś tajemnicy. Czuję, tam głęboko - dotknęła swojej piersi - że coś się zasadniczo zmieni w moim życiu, że dotrę wreszcie do jakiejś, nie wiem... prawdy? -

zastanawiała się. - Coś mi mówi, że ta wyprawa przywróci sens mojemu życiu, który utraciłam po śmierci Sary. Wiem, że nie jest to w żaden sposób racjonalne, ale... - rozłożyła ramiona. - Wszystko dzieje się po coś. Tak myślę.

Konrad zeszywniał, słysząc te słowa. Obserwując jej przejętą twarz, uświadomił

sobie, że poinformowanie o przesunięciu terminu będzie o wiele trudniejsze, niż przypuszczał. Mocno rozczaruje nie tylko syna, ale przede wszystkim żonę.

- W każdym razie na pewno nie będziecie żałowali. - Michał mówił to z przekonaniem. - Islandia to rzeczywiście niesamowity kraj. W niczym nie przypomina Polski. To dzika, nieujarzmiona natura. Tradycja i rodzina tworzą tam wyjątkowo silne więzy, bo tylko tak można przetrwać. Islandczycy to wspaniali ludzie, dumni i twardzi. Ale równocześnie pogodni, uwielbiają się bawić, śmiać, żartować.

- Jak to się stało, że jesteś w połowie Islandczykiem? Jeżeli to oczywiście nie jest tajemnicą - spytała. - Nigdy bym się nie domyśliła, nosisz bardzo polskie nazwisko.

- Wszystkiemu winna wojna, namieszała okrutnie. Moja babcia ze strony ojca uciekła z pociągu. Niemcy wywozili młode silne dziewczyny na roboty do Rzeszy. Przedostała się do Francji, a stamtąd do Londynu. To cała historia. Pracowała w szpitalu, gdzie trafił ranny Einar Olafsson, mój dziadek. To też osobna historia. Islandia nigdy nie miała i nie ma armii. Była krajem neutralnym. Ale gdy Niemcy zajęli Danię, a Anglicy założyli swoje bazy na Islandii, wielu rybaków pomagało w konwojach. No i tych dwoje przez tę niesamowitą wojenną zawieruchę spotkało się i wiadomo, miłość od pierwszego wejrzenia. Po wojnie zamiast do Polski babcia poleciała z Einarem, już wtedy mężem, na Islandię. Tam urodził się mój ojciec, Hermann, ich jedyne dziecko. Gdy skończył szkołę średnią, przyleciał na wakacje do Polski na zaproszenie wuja. Spotkał na plaży moją mamę i...

- Miłość od pierwszego wejrzenia - dopowiedział Konrad.

- No właśnie! - Roześmiali się. - Ojciec został już w Polsce, był ślub i urodziłem się ja. Taki przekładaniec pokoleniowy. Z tym nazwiskiem to była przemyślana decyzja rodziców. Uznali, że łatwiej będzie mi się żyło w szkole. Jako Michał Olafsson zawsze byłbym obcokrajowcem. Nasze nazwisko mamy, która po ślubie używała dwóch nazwisk: TarnowskaOlafsson. Gdy miałem dziewiętnaście lat, rodzice zginęli w wypadku samochodowym.

- To tak jak moi - stwierdziła cicho Magda. - Ja miałam siedemnaście lat i też jestem jedynaczką.

- Został mi tylko dziadek, babcia zmarła trzy lata temu. Wpadam do niego raz, dwa razy w roku - dokończył Michał.

- Prawem tego „rodzinnego przekładańca” powinienesz zakochać się i osiedlić w Islandii - stwierdził Konrad.

- Mój dziadek swata mnie już od kilku lat. To jego największe marzenie. Chciałby przekazać mi dom Na Skale, wszystkie pamiątki, tradycje rodzinne. Ale ja nie potrafię się zdecydować, właściwie czuję się Polakiem, chociaż kocham też Islandię, a na wyspie czuję się jak w domu - rozłożył bezradnie ręce.

- To pewno nie było jeszcze tej miłości od pierwszego wejrzenia, która o wszystkim zdecyduje. - Mrugnął do niego Konrad. - Nas połączyła taka miłość, prawda, kochanie? -

zwrócił się do Magdy.

- Tak - potwierdziła, ale jednocześnie poczuła rozdrażnienie, ponieważ tak niewiele z niej pozostało.

Żegnając się, Michał sam przypominał, że zdobędzie dla Magdy reprodukcje malarzy islandzkich. Do tej pory nie bardzo się tym interesował, chciał jej jednak pomóc, coraz bardziej ją podziwiał. Była szczerą w swoich wypowiedziach, otwarcie mówiła o swoim zagubieniu po odejściu Sary. O tym, że nie lubi dzisiejszego tempa życia, tego wiecznego pośpiechu, a świat ją jednocześnie fascynuje i przeraża.

Wracając taksówką, stwierdził, że spędził wyjątkowo miły wieczór. Wspaniała rodzina, o takiej chyba zawsze marzył. Może dziadek Einar miał jednak rację, że czas się ustatkować?

Konrad długo nie mógł zasnąć. Leżał rozluźniony alkoholem. Nie pił zbyt dużo ze względu na lekarstwa, które zażywał. Bez przerwy myślał o tym, co powiedziała Magda.

Taka była ładna w tej skromnej, ciemnobrązowej sukience, zgrabna, dziewczęca i z takim żarem w oczach twierdziła, że musi koniecznie polecieć i poznać Islandię. Chłonęła każde słowo Michała, a on potrafił ciekawie opowiadać. To był bardzo udany wieczór.

Pamiętał swoje pierwsze wyprawy, a szczególnie związane z nimi wielkie oczekiwania i tę niecierpliwość. Też chciał poznać prawdę, posmakować wszystkiego osobiście. Rzadko się

rozzarowywał, a z każdej dalekiej wyprawy wracał w jakimś sensie odmieniony. Domyślał się więc, co przeżywała Magda. W przypadku tej wyprawy mieli jeszcze do wyjaśnienia tajemnicę snów. Nie przywiązywał do nich takiej wagi jak żona, ale jego również to nurtowało. Rakietakościół, śmierć Sary, WIKING zdawały się ściśle ze sobą związane. Dlaczego właśnie ten kraj? Tak bardzo chciałby im towarzyszyć, miał duże doświadczenie, przy nim byłiby bezpieczni.

Musiał być jednak rozsądny. Los dał mu szansę, ostatnią, i byłby głupcem, gdyby nie skorzystał. Najgorsze było to, że w tej chwili nie potrafił nawet w przybliżeniu określić, na jak długo trzeba będzie przełożyć tę wyprawę. Takie programy badawcze trwają od kilku do kilkunastu tygodni. Procedura ich przeprowadzania jest bardzo rygorystyczna. Za najmniejsze uchybienie odpada się z eksperymentu.

Cały czas zastanawiał się, jak przeprowadzić rozmowę z żoną. Ona już przy słowie „AIDS” wpadnie w panikę. Nieraz się przekonał, jak wypaczona jest wiedza ludzi na temat tej choroby i możliwości zarażenia się nią. To dlatego tyle wysiłku wkładał, by zachować ją w tajemnicy. Z pewnością będzie się panicznie bała o Piotrusia, może nawet utrudniać mu kontakty z synem. Słyszał o takich przypadkach. No i sama zdrada. Czy wybaczyłaby mu?

Ona była mu wierna. Z drugiej strony byłaby bardzo naiwna, gdyby wierzyła, że przez te wszystkie lata mógł się obyć bez kobiet. Był młodym, zdrowym mężczyzną i miał potrzeby.

Jej było dużo łatwiej dochować wierności, nie miała na to czasu ani możliwości.

Zdrada. Miał do niej inne podejście, odkąd zaczął pracę w korporacji, z dala od domu.

Gdy człowiek przez wiele dni i tygodni żył na podwyższonej adrenalinie, w permanentnym stresie, musiał mieć możliwość odreagowania. Ludzie różnie sobie z tym radzili: alkohol, narkotyki i seks. Jeszcze wspomagali się sportem: biegi, pływanie, tenis. Każdy sobie radził, jak mógł. Seks był naturalną potrzebą i zaspokajanie jej nie miało nic wspólnego z uczuciami.

To nie była zdrada. Nie miała też wpływu na jego uczucia do Magdy. W doborze partnerek był bardzo wybredny i starał się utrzymywać wszystko w tajemnicy, dbał o reputację własną i firmy. Bardzo chronił swoją prywatność. Nie nosił obrączki, niewielu wiedziało, że ma rodzinę. Tak było prościej.

Wyszedł do kuchni napić się wody. Powinien zażyć coś na sen, jutro będzie w kiepskiej formie. Wracając do pokoju, zauważył na podłodze obok fotela zdjęcie.

Widocznie spadło niezauważone. Przedstawiało morze, skalisty brzeg i chatę przytuloną do skały. To dom rodzinny Michała - Na Skale. Piękny, prosty, surowy, kamienny. Nic dziwnego, że zrobił na Magdzie takie wrażenie. Bardzo się różnił od mieszkania w betonowym wieżowcu, w którym spędziła całe swoje dotychczasowe życie. Jego żona zachwycała się także nazwą. Wydawała jej się symboliczna i musiał przyznać, że miała rację.

Dom powinien mieć solidne fundamenty. Coraz lepiej rozumiał, jak ważna jest rodzina, jakie daje wsparcie, poczucie bezpieczeństwa, sensu życia.

Michał - to jeszcze jeden element układanki. Czy to nie zaskakujące, że właśnie on?

I nagle dopadła go ta myśl. To był ten brakujący element. Znalazł rozwiązanie. Tak, nie będzie musiał wtajemniczać w swój dramat Magdy, wyjaśniać jej, dlaczego jest chory, przekonywać, że spanie z kobietami w jego przypadku to nie zdrada, lecz forma relaksu. Idąc dalej, również faktu, że jest aż tak bardzo chory, też nie będzie musiał jej uświadamiać.

Genialne! Znalazł sposób, by ją chronić. Ona dopiero zaczynała nowe życie, cudem wyrwała się z tego koszmarnego letargu, gdyby teraz znowu wycofała się do tej swojej skorupy, to nieprędko stanęłaby na nogi.

Konrad miał już gotowy plan. Taka ilość niesamowitych zbiegów okoliczności wskazywała na to, że to nie był przypadek. Oczywiście, że musi porozmawiać, ale nie z Magdą, tylko z Michałem. To jemu musi wyznaczyć prawdę.

Tak, potrzebował kogoś zaufanego, komu mógłby powierzyć opiekę nad żoną i synem. Jednocześnie musiał to być ktoś, kogo Magda знаła, by mogła go zaakceptować.

Michał Tarnowski, to strzał w dziesiątkę, wyjątkowy kandydat, spełniał wszystkie warunki. Znał Islandię, Rejkiawik, był lekarzem, człowiekiem solidnym, godnym zaufania i mimo woli wplecionym w losy jego rodziny. No i Magda z Piotrusiem znali go i lubili. A po dzisiejszym wieczorze był przekonany, że było to realne.

Zostało mu tak niewiele czasu. Musi jak najszybciej porozmawiać z Michałem i uzyskać jego zgodę. Całe swoje zawodowe życie uczył się, jak wpływać na decyzje innych.

Był w tym mistrzem. Musi mu się udać!

Później czeka go jeszcze rozmowa z Magdą, ale już inna. Postawi ją po prostu przed wyborem: albo zgodzi się na towarzystwo Michała, albo zrezygnuje z wyjazdu. Ale to będzie już jej decyzja i to na nią spadnie obowiązek poinformowania o tym Piotrusia.

Odetchnął głęboko. Całe napięcie odpłynęło. Ogarnęło go wielkie uczucie samozadowolenia. Uwielbiał ten moment, gdy droga do zwycięstwa była już prosta, a cel widoczny. Wiele razy tego doświadczał.

On sam musiał jeszcze wrócić do Warszawy, by przekazać niektóre pełnomocnictwa, pozamykać kilka spraw. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z jego błyskawicznym planem, to spotkają się na lotnisku w Warszawie, ale polecą innymi samolotami w zupełnie inne strony.

Genialne rozwiązanie!

Konrad połknął tabletkę nasenną, rano musiał być w jak najlepszej formie. Zасыpiając, uśmiechał się. Wróciła do niego nadzieja, bo czyż nie był dzieckiem szczęścia?

Rozdział 20

Magda wyłączyła palnik gazowy pod garnkiem z zupą. Miała godzinę dla siebie, zanim Piotruś wróci z przedszkola. Z przyjemnością wymościła się w fotelu i otworzyła książkę. To kolejny tom sagi *Grzech pierworodny* AnneLise Boge. Czytała ją zachłannie. Nie była to ambitna literatura, wręcz przeciwnie, ale najważniejsze, że autorka opanowała do perfekcji granie na emocjach czytelnika. Magdzie bardzo odpowiadała atmosfera tych opowiadań. Stary dwór, tradycje rodzinne, ciężka praca i cała gama namiętności ludzkich, z których najważniejsza była oczywiście miłość. Miłość o wielu twarzach - i ta spełniona, namiętna, i ta skrywana, zakazana, i wymuszona, i nigdy niespełniona. Rytm życia tych ludzi był ściśle uzależniony od pory roku i dnia. Chciałaby się tam przenieść, żyć wśród nich, w zgodzie z naturą. Nie do końca rozumiała, dlaczego pojawiły się u niej takie upodobania.

Przecież od urodzenia mieszkała w wielkim mieście, na zadymionym Śląsku, w blokowisku.

A teraz chciałaby się zagrzebać gdzieś na końcu świata? Dziwne tęsknoty.

To pewnie reakcja na tempo życia, natłok informacji napływających z całego świata, zmieniających jego obraz niemal z godziny na godzinę. Na prawie dziesięć lat wycofała się z wszelkiej aktywności i teraz miała z tym duży problem.

Poznawała możliwości internetu, nauczyła się obsługiwania skanera i drukarki. Jakoś radziła sobie, rozumiała jednak, jak musiało to przerażać osoby starsze. Dla nich świat stawał

się coraz mniej czytelny. Jeszcze parę lat takiego odosobnienia i sama miałyby problemy z dogadywaniem się z własnym synem!

Próbowwała interesować się sytuacją gospodarczą i polityczną w Polsce, połapać się w licznych aferach, skandalach, korupcji. Przerażała ją destabilizacja we wszystkich dziedzinach. Bezrobocie, stale rosnące rachunki. Wielka emigracja za pracą, szczególnie ludzi młodych. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy ze skali tych zjawisk. Ten świat jej się nie podobał. Miła była myśl, żeby od tego wszystkiego uciec, przenieść się gdzie indziej, w zupełnie inny świat, prosty, zrozumiały.

Ciekawa była, jak bardzo dzisiejsza Islandia różniła się od tej opisanego w sagach.

Technika techniką, ale prawa natury z pewnością nadal decydują o stylu życia ludzi mieszkających w tak ekstremalnych warunkach. Chętnie się temu przyjrzy osobiście.

Ogromnie się cieszyła na ten wyjazd. To ich pierwsza podróż. Konrad bardzo się zmienił, sprawiał wrażenie, jakby rodzina stała się dla niego najważniejsza. O wiele rzadziej wyjeżdżał, a jak już był w Warszawie, to często dzwonił, i to nie tylko do Piotrusia.

Nie rozmawiali jeszcze o przyszłości, za mało czasu upłynęło. Magda nie była jeszcze gotowa. Po takiej stracie trudno myśleć optymistycznie. Może się jednak zdecyduje i zamieszka z Piotrusiem w Warszawie? Dla syna podobno byłoby najlepiej, a przynajmniej tak twierdził Konrad. Tylko czy ona sama poradziłaby sobie w nowym środowisku? Na razie wszystko ją przerażało. Dużo będzie zależało od postawy Konrada. Za daleko od siebie odeszli. Ale jeżeli mają tworzyć rodzinę... Oj, za trudne to wszystko, dlatego najchętniej uciekała w świat fikcji, do dworu nad fiordem, do kraju bezpiecznego, spokojnego, między ludzi odpowiedzialnych, uczciwych, wrażliwych. Jak Michał. Tak, on bardzo pasował jej do tamtych klimatów, nie tylko fizycznie - blondyn o niebieskich oczach - ale głównie tym wewnętrznym spokojem, który wzbudzał zaufanie, dawał poczucie bezpieczeństwa.

Magda robiła zakupy. Dzisiaj urządzała babski wieczór. Zaprosiła Adę i Hanię.

Spotykały się teraz częściej i, jak ostatnio zgodnie stwierdziły, te nasiadówki dobrze im robiły. Na dzisiejszym spotkaniu szczególnie zależało Adzie, chciała uczcić swoje zwycięstwo nad znenawidzonym szefem. Konrad załatwił jej pracę w konkurencyjnej firmie, ciekawszą i lepiej płatną. Zamierzały to obficie oblać. Musiała przyznać, że mąż zaimponował jej swoimi możliwościami. Nie wiedziała, kiedy znalazł czas, by spotkać się z odpowiednimi ludźmi i ot tak rozwiązać największy problem Ady. Może wystarczył jeden telefon? Z drugiej strony ją to przerażało - co to za kraj, w którym jeden może wszystko, a inny bezskutecznie wali głową w mur?

Bartek, mąż Ady, zaofiarował się jako niańka. Zabierze dzieci do kina na film o wielorybach i delfinach, w wersji 3D, a wieczorem pozwoli im, by sami sobie szykowali kolację i oglądali kreskówki. Dzieciaki były zachwycone tym pomysłem.

Hania przyszła pierwsza, lubiła gotowanie, więc od razu skierowała się do kuchni.

Zaplanowały pieczonego pstrąga i dwie sałatki. Magda upiekła czekoladowe babeczki, które później wypełnią owocami i bitą śmietaną. Ada przyniesie wino.

- Wiktoria nie chciała oglądać wielorybów? - spytała Magda.

- Niestety, nie. Wiesz, wchodzi w ten trudny wiek, trzynaście lat. Izoluje się, ma swoje tajemnice. Martwię się o nią. W dodatku w domu nie ma dobrej atmosfery. Często się teraz z Bogdanem kłócimy. Tyle razy sobie obiecywałam, że nie dam mu się sprowokować. Ale sam jego widok tak mnie drażni, że niewiele trzeba - westchnęła.

- Tak, to przykre, ale z drugiej strony trudno mu się dziwić, facet jest bez pracy. Musi być przygnębiony, samą świadomością, że teraz ty, kobieta, utrzymujesz cały dom.

- Boję się, że jak to dłużej potrwa, to on w tym zasmakuje. Na początku wstawał o piątej rano. Kupował bułki na śniadanie, dla mnie i dla dziewcząt. Coś tam posprzątał, odkurzył. A teraz trzeba go o wszystko prosić. Wstaje z łóżka, gdy my już wychodzimy. To denerwujące.

- No ale jak długo to może trwać? Naprawdę nie ma żadnej pracy?

- Zgłasza się do urzędu pracy, stoi w długich kolejkach i nic, to upokarzające.

- Może jednak poproszę Konrada o pomoc? Jak wrócimy z Islandii, oczywiście. Nie mam pojęcia, jakie on ma możliwości, ale Adzie pomógł, i to szybko.

- Mówiłam mu o tym, ale uparł się, że sam sobie poradzi, potraktował to ambicjonalnie.

- Nie martw się, może zmieni zdanie albo rzeczywiście znajdzie sobie pracę. W końcu musi się coś zmienić w tym kraju.

- Nie byłabym taka pewna, przecież widzisz, co się dzieje. Ci na górze kłócą się o stołki, robią milionowe przekręty, a ludzie nie mają pracy...

- Dziewczyny, jestem. Gdzie się zakamuflowałyście? - zawołała wesoło Ada.

- W kuchni - odpowiedziały jednocześnie.

- Pomóżcie - powiedziała, wchodząc. Obiema rękami przytulała do siebie trzy butelki i dwa kartony z sokiem. - A w kieszeniach mam jeszcze wasze ulubione serki pleśniowe -
dodała.

- O, dwa winka i Johnnie Walker! Ale zaszalałaś. - Hania pomagała jej wszystko odstawić na stół.

- A co? Jest okazja! Dziewczyny, ten moment jest wart wszystkich pieniędzy!

Gdybyście widziały, jaką głupią minę miał szef, kiedy mu powiedziałam, że mam dosyć jego rządów i odchodzę. Że mam pracę u konkurentów i to za większe pieniądze!

- Trzeba to było nagrać ukrytą kamerą. To teraz takie modne, takie reality show -
zasugerowała Hania.

- Niestety, nie dysponowałam sprzętem. - Ada robiła minki. - Ale to było superprzeżycie!

Dziewczyny, jestem taka szczęśliwa! - zapiszczała.

- Może to mu da do myślenia i dla innych będzie lepszy? - zastanawiała się Magda.

- Ale z ciebie naiwniaczka! On jest niereformowalny, nie mam żadnych złudzeń -

zaprzeczyła Ada. - Szybko znajdzie sobie następną ofiarę. Co tak bosko pachnie? Umieram z głodu!

- Nie zdążysz, już nakrywam do stołu. - Magda roześmiała się.

Pstrągi ociekały masłem, piły białe wino. Wszystko było pyszne.

- O kim rozmawiałyście, gdy weszłam? - zapytała Ada.

- O moim Bogdanie - machnęła ręką Hania.

- Co, nadal bezrobotny?

- Tak, ale ostatnio wpadł na genialny pomysł, chce wyjechać do pracy za granicę.

- Tylko nie to! Nie pozwól mu na to, cała rodzina będzie cierpiała. - Ada była bardzo przejęta. -

Koleżanka z pracy została sama z dwójką dzieci. To miało być tylko pół roku, a tymczasem on siedzi w Holandii już trzeci rok i nie zamierza wrócić. Pieniądzy przysyła tyle, że można je uznać za alimenty na dzieci.

- Myślisz, że się nie boję? Ale zremy się jak pies z kotem, a on już wariuje od tego siedzenia w domu. Poważnie się zastanawiam, czy się nie zgodzić. Wszystko jest lepsze od tej beczynności - stwierdziła Hania.

- Ja bym Bartka nie wypuściła z domu. Wiesz, ile wszędzie samotnych bab?

Zatrzęsienie!

Hania z Magdą wybuchły śmiechem.

- Spokojnie, tobie to nie grozi. Twój Bartek świata poza tobą nie widzi - powiedziała Magda. - On się boi spuścić cię z oka...

- No i co z tego, że nie lubimy się rozstawać? Nie obraź się, ale wolę coś takiego niż twoje małżeństwo. Konrad był właściwie gościem w domu - nadąsała się Ada.

- Ale za to porządnie zarabiał, coś za coś - wtrąciła się Hania. - Zobacz, jak daleko zaszedł, jakie ma możliwości. A tak w ogóle to ja chcę Johnny'ego z lodem i cytryną. -

Zamachała szklanką przed nosem Ady.

- Ja też - poprosiła Magda. - Macie rację, oczywiście! Konrad był kiepskim mężem, ale teraz coś się zmienia. Bardzo liczę na tę wspólną wyprawę. Będziemy wręcz skazani na własne towarzystwo, tylko my, dzika przyroda i sami obcy wokoło.

- Madziu, dobrze mówisz, ta podróż zbliży całą waszą rodzinę. Zwiedzicie nie tylko niesamowity kraj, ale też spędzicie czas ze sobą - potwierdziła Hania.

- Moja babcia zawsze mówiła: jak chcesz dobrze poznać człowieka, wybierz się z nim w podróż - przyznała Ada.

- Tak, mam nadzieję, że coś tam odkryję, że znajdę odpowiedzi na wiele pytań... -

Magda zamyśliła się na moment.

- Pewno, że tak. Będzie wspaniale, taki nieznanym nikomu kraj, wodospady, gejzery.

Dziewczyno, wszyscy będą ci zazdrościć - westchnęła Ada.

- Niektórzy już to robią. - Hania mrugnęła do Magdy.

- Ja nie zazdroszczę, ja się cieszę, że Madzia wreszcie gdzieś wyjedzie, coś fajnego zobaczy i przeżyje. Zasłużyła sobie... - Ada zmieszała się, niechętnie wkroczyła na drażliwy temat.

- Uważam, że ludziom przytrafia się to, co przytrafia, a nie to, na co zasługują - powiedziała Hania.

- Racja. To bardzo mądre słowa. Całe moje życie jest tego przykładem - stwierdziła Magda.

- Jak tak, to daj nam jeszcze po Johnnym - poprosiła Hania, podając swoją szklanę. -

Może będę jeszcze mądrzej mówiła? A poza tym spotkałyśmy się w końcu po to, by się porządnie upić.

Rozdział 21

Konrad wybrał na rozmowę z Michałem najlepszą restaurację w mieście. Zamówił stolik w wydzielonej części lokalu, z której często korzystali biznesmeni, chciał mieć pewność, że nikt im nie będzie przeszkadzał. Przygotował się do tej rozmowy i w zasadzie nie obawiał się o jej wynik. Z doświadczenia wiedział, że każdy miał swoją cenę. Przekonanie Michała do jego projektu nie powinno być trudne.

Co innego go gnębiło - musiał wtajemniczyć tego człowieka w swoje prywatne problemy. Wpuścić na teren dotąd szczelnie dla wszystkich zamknięty. Miał za mało danych o nim, znali się zbyt krótko, ale to było jedyne sensowne rozwiązanie. Potrzebował kogoś zaufanego, komu mógłby polecić opiekę nad osobami mu najbliższymi, a w dodatku musiał to być ktoś, komu Magda skłonna będzie zaufać.

- Czy dobrze zrozumiałem, mam lecieć za ciebie na Islandię z twoją żoną? - Michał

był totalnie zaskoczony. Nie znał faceta, spotkali się raptem kilka razy i tylko raz prywatnie.

- I synem - podkreślił znacząco Konrad. - Sam widziałeś, w jakim są amoku wyjazdowym, tak się zaangażowali, tak się cieszą, że nie ma siły, żeby im teraz to wszystko odwołać. Masz zresztą w tym swój udział, i to niemały. Tak entuzjastycznie i obrazowo opowiadałeś, że sam nabrałem wielkiej ochoty na tę wyspę. Bardzo żałuję, że interesy pokrzyżowały mi plany. Oczywiście pokrywam wszelkie koszty, chciałbym, żeby to była niezapomniana wyprawa dla Piotrusia i Magdy. Pokażesz im tam wszystko, co jest warte obejrzenia.

- No nie wiem. Zaskoczyłeś mnie tą propozycją - zastanawiał się Michał. - A Magda się zgadza?

- Jeszcze o niczym nie wie. Najpierw musiałem z tobą porozmawiać. Liczę, że mi nie odmówisz. Piotruś to jeszcze dziecko, chociaż musisz przyznać, że wyjątkowe - podkreślił

z dumą. - Nie chciałbym mu odbierać tej radości. Jednak głównym moim problemem jest Magda. Martwię się o nią. Dopiero wychodzi z tego totalnego załamania po śmierci Sary.

Sam słyszałeś, że wiąże z tym wyjazdem wielkie nadzieje. Ten Rejkiawik to jakaś dziwna sprawa, ale chce to wyjaśnić. Odwołanie wyjazdu na tym etapie to wielkie ryzyko, mogłaby się wycofać z życia i już nigdy nie podnieść. Nie mogę na to pozwolić.

- Przesadzasz. Znam ją trochę, to bardzo silna kobieta, przesunięcie wyjazdu, to nic w porównaniu z tym, co do tej pory przeżyła. Tego jestem pewien.

- Nie możesz tego wiedzieć! - Konrad był coraz bardziej zdenerwowany. - Nie było cię przy niej po śmierci Sary. To było przerażające, twarz maska, martwe oczy, sflaczałe ciało. Nic ją nie interesowało, trup w żywym ciele. Dopiero ten sen, Rejkiawik, ta podróż odmieniły wszystko. Ona wierzy, że to przeznaczenie, magia, że coś tam na nią czeka...

- Dobra, ale zastanów się, co dla niej będzie większym szokiem: czy to, że będzie musiała odłożyć na jakiś czas upragniony wyjazd, czy fakt, że wysyłasz ją do obcego kraju z obcym facetem? - zapytał z naciskiem Michał. - Teraz przede wszystkim ty jesteś jej potrzebny, ta wyprawa bez ciebie nie ma sensu.

Musisz jej udowodnić, że ona jest dla ciebie ważniejsza niż interesy - tak to widzę.

„On ma mnie za totalnego idiotę” - pomyślał Konrad i sięgnął po teczkę. Wyjął kartki z laboratorium i podał mu bez słowa. Niech mówią fakty. Jest w końcu lekarzem.

Michał długo milczał. To, co trzymał w ręce, to był wyrok śmierci. Popatrzył

Konradowi w oczy i zobaczył bardzo umęczonego człowieka. Jeżeli tu nie ma jakiejś pomyłki, to ten człowiek siedzący naprzeciw niego jest gigantem.

- Przykro mi - wyksztusił.

- A co ja mam powiedzieć? - Konrad machnął ręką. - Walczę z tym szósty rok...

I nagle poczuł, że musi to z siebie wyrzucić, że nawet sekundy dłużej się nie powstrzyma, pękła jakaś tama. Dlaczego padło na tego kolesia? Nieważne, to jest ta chwila. I potoczyła się opowieść rzeźka. O tym, gdzie się urodził, jak wspinał się po szczeblach kariery, o wielkiej miłości do Magdy, o córeczce i swoim tchórzostwie. O nocy z Tajką, o wyroku losu i walce.

O wyjazdach do szamanów i renomowanych klinik. I o tym, że walczy do końca i musi lecieć do Stanów po swoją ostatnią szansę.

Michał słuchał i pił. Oboje pili czystą polską wódkę, bo tak trzeba było. Kolacji prawie nie tknęli. Patrzył na tego młodego, inteligentnego człowieka sukcesu i nie mógł go nie podziwiać, ale jednocześnie szczerze mu współczuł. Takim ludziom się nie odmawia.

Poleci do Islandii i najlepiej, jak potrafi, zaopiekuje się jego żoną i synkiem.

- Prześpij się z tym, a jutro daj mi ostateczną odpowiedź. - Konrad patrzył mu w oczy i czuł to porozumienie, które daje pewność, że on go nie zawiedzie, że może na nim polegać.

To była trudna, męska rozmowa, po której nic już nie było takie samo. Konrad był zaskoczony tym, jaką poczuł ulgę. Po raz pierwszy podzielił się z kimś tym ciężarem ponad siły, który dźwigał samotnie przez tyle lat. Zrozumiał, że zrobił coś znacznie poważniejszego - oddał los swoich najbliższych w obce ręce. Nie uszło jego uwagi, że siedzi naprzeciw bardzo przystojnego, inteligentnego i sympatycznego mężczyzny. Dobrze kalkulował, chociaż samego go to przerażało. Jego plany sięgały o wiele dalej, niż to wyraził słowami, znacznie dalej, niż sam był zdolny zaakceptować. Czuł, że znalazł opiekuna, lepszego niż był on sam, i miał nadzieję, że ten człowiek był takim, jakim go widział, bo mu zaufał. Jego spowiedź

związała ich losy na zawsze.

Obudził się o szóstej nad ranem. Suchość w ustach, obręcz na głowie. Jednym słowem - kac, jakiego już dawno nie pamiętał. „Nie wypiliśmy tak dużo, jedną butelkę wódki na dwóch? - zastanawiał się. - O nie, kelner dyskretnie przyniósł drugą. Ładnie, pół litra na głowę, a Konrad chyba dużo wolniej opróżniał swój kieliszek, bo to on głównie mówił”.

Poszedł do kuchni i na szczęście znalazł w lodówce jeszcze pół butelki cocacoli. Nie starał się przypomnieć, od jak dawna tam stała. Z tęsknotą pomyślał o Islandii, jej krystalicznie czyste powietrze sprawiało, że było to idealne miejsce do leczenia kaca, właściwie się go nie odczuwało.

Michał jak większość turystów wpadał tam latem na weekendy. Dla wielu z nich start imprezy w piątek wieczorem, a koniec w poniedziałek nad ranem był normą. Miejscowi tłumaczyli się potrzebą odreagowania długiej i mrocznej zimy, ale w barach, hotelach i na ulicach Rejkiawiku można było natknąć się na największe gwiazdy filmowe z całego świata, które wiedziały, co znaczy dobra zabawa. Po tym trzydniowym szaleństwie nikt tam nie chorował. On sam z lekką głową wracał do swoich zajęć.

Powrócił myślami do wczorajszego wieczoru. Bardzo współczuł Konradowi. Jako lekarz doskonale orientował się, jak niewielkie miał szanse. On właściwie był chodzącym trupem. To przerażało, tyle nieszczęść w jednej rodzinie. A jego żona?! Jeszcze nieświadoma kolejnego ciosu.

Czuł się coraz bardziej związany z tą rodziną. Przez ostatnie trzy lata tak często bywał

w ich domu. Mała, dzielna Sara i Magda ze swoją bezgraniczną miłością tak wiele go nauczyły.

Czuł się podle - cholera, jak pozory mylą. Było mu wstyd, że cały czas tak źle oceniał Konrada. Ta jedna rozmowa wiele wyjaśniła i zmieniła. Wszystko nabrało innego znaczenia.

Te jego ciągłe wyjazdy, egzotyczne podróże to nie chęć ucieczki od nieszczęścia w domu, nie przyjemność i zabawa, ale dramatyczna walka o życie. Z drugiej strony, nie rozumiał faceta, dlaczego wszystko ukrywał przed żoną? Magda to kobieta, która dałaby mu wsparcie, którego tak bardzo potrzebował. Zrozumiałaby, co się z nim działo, i jej też byłoby łatwiej. Michał

oczywiście zauważył, że między małżonkami nie układało się najlepiej. Magda nigdy się nie żaliła - wystarczyło, że Konrada nie było, nawet w rozmowach. Czasami rozmawiały o nim dzieci, jako o Wielkim Nieobecny.

Jechać z nimi czy nie jechać? Dzisiaj musi się zdecydować. W sumie taka podróż na Islandię bardzo by mu odpowiadała. Odwiedziłby dziadka Einara - ale staruszek by się ucieszył. Spędziłby trochę zaległego urlopu na wyspie.

Mógłby pokazać małemu Piotrusiowi tyle fascynujących rzeczy. Jego druga ojczyzna bardzo się różniła od Polski. Pokazałby mu dom Na Skale, taki prawie stuletni dwór. To wielka atrakcja, którą niewielu turystów miało okazję oglądać. No i oczywiście wodospady, lodowce, gejzery. Czasu na wszystko by nie wystarczyło. Ta wyspa to zupełnie inny świat.

A Magda zwiedziłaby Hallgrímskirkja - kościół, który pojawił się w jej snach. Może znalazłaby odpowiedzi na swoje pytania, odzyskałaby spokój?

Zagwizdał czajnik, wyłączył gaz i zalał wrzątkiem kawę w kubku. Usiadł w fotelu, podłożył sobie poduszkę pod głowę, obręcz bólu powoli ustępowała.

„Magda, Magda, Madzia - błąkało mu się po głowie. - Taka inna, taka niedzisiejsza.

Kusiła okazja poznania jej bliżej. Ten uśmiech, to uważne ciepłe spojrzenie, ta dziwna kruchość, a jednocześnie jakaś wewnętrzna siła. Ciekawe zestawienie... Co mu chodzi po głowie?! Opamiętaj się, stary! Jej mąż prosił cię o pomoc, on ci zaufał...”

I nagle pojawiła się ta myśl. A co będzie, gdy eksperymentalny lek nie zadziała i Konrad umrze w tej Ameryce? To było prawdopodobne. No i olśniło go. Czyżby tak naprawdę miała wyglądać jego misja? Konrad tak dalece wszystko zaplanował? Ci specjaliści od wielkich interesów byli mistrzami manipulacji, jak szachiści przewidywali wydarzenia na wiele ruchów do przodu. Nie wiedział, co o tym myśleć. Może się jednak zagalopował? To w końcu nie biznes, tylko życie prywatne, obowiązują inne zasady. A gdyby jednak? Wtedy jego rola nie ograniczyłaby się tylko do tej podróży...

Ciekawe, jak na to wszystko zareaguje Magda? Chyba raczej zrezygnuje z tej wyprawy.

A on sam? Nie, nie czuł niechęci, raczej... ciekawość? Może coś więcej? Odkrył ze zdumieniem, że mimo wszystko ma ochotę spróbować. Poczł nawet falę ciepła. Tak, chyba chce zaopiekować się tą kobietą i jej synem. To będzie ciekawa wyprawa, pod wieloma względami...

Wstał i odszukał telefon. Wybierając numer Konrada, uśmiechał się zadowolony.

- Przemyślałem twoją propozycję. Zgadzam się. - Usłyszał, jak tamten odetchnął głęboko, zanim odpowiedział:

- Dziękuję.

Wracając na fotel, Michał znalazł jeszcze jeden plus tej sytuacji. Poinformuje Johannę, że przyjeżdża z Magdą i Piotrusiem, by pokazać im dom Na Skale. W Islandii to wiele znaczyło. Prywatne domy to twierdze. Był prawie pewny, że jego przyrodnia siostra opacznie to sobie wytłumaczy, a on nie będzie dementował plotek. Wszystko mogło się udać.

Magda nie znała islandzkiego, a Johanna polskiego. Wtajemniczy w swój plan dziadka Einara, już on będzie wiedział, jak najlepiej to rozegrać.

Rozdział 22

Nie rozumiem! - Magda ze zdenerwowania podniosła głos. - Wysyłasz mnie z dzieckiem na koniec

świata z obcym mężczyzną?! - Zamilkła na chwilę, zaskoczona samą wiadomością, jak również tym, że potrafiła tak krzyczeć, od lat tego nie robiła.

Nie mogła zrozumieć postępowania Konrada, chyba nigdy nie pojmie tego człowieka.

Przez ostatnie trzy miesiące nie odstępował ich, przesadnie dbał o wszystkie potrzeby i teraz co? Znowu gwałtowny odwrót? I to w momencie, gdy zdążyła przywyknąć, pogodzić się z faktem, że wrócił do domu tak zwyczajnie, jakby nie było tych lat rozłąki. Tych trudnych lat. To okres jeszcze nierozliczony między nimi. I znowu zadaje taki cios?

- Słuchaj, jak się trochę uspokoisz, oswoisz z tą myślą, to zrozumiesz, że wybrałem najlepszy wariant dla nas wszystkich. - Wiedział, że ją rozczarował, mimo to starał się ją przekonać do tego pomysłu. - Przecież wiem, że marzysz tylko o tym, by tam polecieć.

Przypomnij sobie, co mówiłaś na kolacji z Michałem. Jakie to piekielnie ważne dla ciebie.

Miał rację, bardzo chciała polecieć, czuła wręcz, że musi. Od wielu lat nie decydowała o sobie, pokornie godziła się z wyrokami losu. Po śmierci Sary szukała dla siebie jakiegoś drogowskazu. Coś jej mówiło, że właśnie tam, w tym nieznanym kraju, znajdzie jakąś wskazówkę, znak, rozwiązanie. Pozna prawdę o życiu i o sobie. Nie przyznałaby się nikomu, ale uważała, że to Sara ją tam wysłała.

- Nie spodziewałam się tego po tobie, mimo wszystko - stwierdziła rozgoryczona. -

Jestem jeszcze bardzo osłabiona i jak wiesz, nie mam żadnego doświadczenia, za słabo znam język. To ty jesteś obieżyświatem! A Piotruś? Pomyślałeś o nim?

- Magda, to nie moja wina, że te wyjazdy nałożyły się w czasie, zrozum to. Pilnie wzywają mnie do Nowego Jorku. Tyle czasu pracowałem z dala od firmy, muszę się znowu zameldować, bo jednak nie wszystko można załatwić przez telefon. Po prostu muszę być teraz w Stanach, załatwić najważniejsze sprawy, tego wymaga moja praca. Z tego żyjemy! Nigdy nie wtajemniczałem cię w swoje zawodowe sprawy, nie było takiej potrzeby. Sama wiesz, że żyłaś w innym świecie. Ale takie są prawa rynku. Jak nie będę walczył, to przegram. Wszyscy przegramy - uwierz mi, proszę.

- Wiem, że się nie znam na tych sprawach... Bo dla mnie rodzina była zawsze najważniejsza. I ja też muszę walczyć, by się to wszystko nie rozleciało. Tak to czuję - rozumiesz?

Zamilkli. Oboje pewni swoich racji i świadomi, że nie przekonają strony przeciwnej.

Magda pierwsza przerwała milczenie.

- Konrad, po tym, co przeszliśmy, nie możemy pozwolić, by nasza rodzina się rozpadła, a cały wysiłek poszedł na marne. Zobacz, jak ty wyglądasz? - spojrzała na niego z troską. - Nie można żyć tylko pracą. Wiem, jest ważna, ale to tylko środek do celu, a nie cel.

Zadbaj wreszcie o swoje zdrowie, o nas, o przyszłość Piotrusia.

- Ależ ja to wszystko robię właśnie dla was. O zdrowiu też pomyślałem. Dopadło mnie jakieś paskudztwo i nie mogę się go pozbyć, tutejsi lekarze jakoś nie potrafią mi pomóc.

Już się skontaktowałem z moim lekarzem w Stanach. Czekają tam na mnie. Zrobią mi dokładne badania i będą leczyć. - Obserwował jej drżące dłonie, nie miał odwagi patrzeć w oczy. - Magda, nie mogę być w dwóch miejscach naraz, choćbym nie wiem, jak bardzo chciał. Dlatego poprosiłem Michała o pomoc. I on się zgodził. Ale decyzja oczywiście należy do ciebie. Nie rozumiesz, że nie chciałem stawiać cię pod ścianą? Zrobiłem wszystko, byś miała wybór. Byś sama zdecydowała, co jest dla ciebie ważniejsze.

- Konrad, zobacz, co ty robisz? Przeżyliśmy tragedię. Przecież widzę, że dla ciebie śmierć Sary też była ciężkim przeżyciem. Nie możemy teraz się rozdzielać, znowu żyć osobno.

- Magda, uwierz, przemyślałem wszystko dokładnie, przecież Michał wcale nie jest kimś obcym. Zna go z Piotrusiem doskonale. Przez ostatnie lata bywał częściej w tym mieszkaniu niż ja. Jest lekarzem, więc najlepszym z opiekunów, doskonale zna Islandię i sam Rejkiawik, zna język - wyliczał.

- No tak, pod tym względem masz rację. Nie mogliśmy trafić lepiej. Ten facet jest w porządku. W

przeciwieństwie do ciebie. Zrozum, ja myślałam, że ta podróż ma być nasza, wspólna, naszej rodziny. Sama tak do końca nie wiem, po co, ale chyba nieprzypadkowo to miejsce pojawiło się w naszych snach. Nie sądzisz? Ilu ludziom się to przydarza?

- Właśnie! Też o tym myślałam. Czy to nie dziwne, że to Michał odpowiedział na nasz apel? Na tyle milionów użytkowników internetu? Pamiętasz swój sen, miałaś przewodnika w białym habicie. A może to nie był habit tylko lekarski kitel? Może to z nim masz dotrzeć do celu? Oczywiście mogę się mylić. - Zamilkł. Czuł, że się zagalopował. Nie zamierzał

sugerować żonie, że Michał będzie jej opiekunem wyznaczonym przez los. Kimś, kto zajmie jego miejsce.

- Konrad, a może jednak odłożymy ten wyjazd? Polecimy za dwa tygodnie albo za miesiąc. Skrócisz pobyt w Stanach. Jakoś to Piotrusiowi wytłumaczę.

- Gdyby to było takie proste, to nie byłoby problemu. Nie myśl, że mi nie zależy, ale nie chcę cię zwodzić, nie mogę ci teraz obiecać, że tak szybko wrócę. Może będę zmuszony zostać dwa, trzy miesiące.

- Ach tak! Więc jednak my się nie liczymy, dla ciebie praca jest na pierwszym miejscu. Zawsze była! Ale jestem naiwna, sądziłam, że się zmieniłeś.

- Magda, chciałem jak najlepiej, ale jeżeli się upierasz, to możesz zrezygnować.

Polecimy w innym terminie, tylko pamiętaj, co to za kraj. Lato trwa bardzo krótko, a zimą nie ma po co lecieć, bo warunki są zbyt trudne. Szczególnie dla kogoś tak niedoświadczonego jak ty i Piotruś. Może trzeba będzie poczekać nawet rok.

Milczeli oboje przez dłuższy czas. Magda usiadła w fotelu, nagle opuściła ją energia.

Czuła bezsens tej rozmowy. On się nigdy nie zmieni. Na co ona liczyła w swej naiwności?

- Zaufaj mi - prosił. - Naprawdę przemyślałem wszystko bardzo dokładnie.

Z Michałem będziecie bezpieczni. Na tamym terenie on będzie lepszym przewodnikiem niż ja, to przecież jego druga ojczyzna. Chyba nie myślisz, że gdybym miał jakiegokolwiek wątpliwości, to powierzyłbym mu was? - Czuł, że powoli akceptowała sytuację.

- Trudno - westchnęła zrezygnowana. - Przyznaję szczerze, że nie chciałabym odkładać tego wyjazdu na rok. Skoro ty nie możesz, to poradzimy sobie bez ciebie. Właściwie powinnam już przywyknąć, że muszę sobie radzić sama. I do tego, że z twoją pracą przegramy zawsze. - Nie ukrywała rozczarowania. Patrzyła na Konrada i zrozumiała, że zupełnie go nie znała, dlatego stale ją zaskakiwał. Czy kiedyś było inaczej? Jeżeli tak, było to dawno temu. I krótko.

- Zobaczysz, że wszystko się szczęśliwie ułoży. Bardzo żałuję, że tym razem nie polecę z wami. Obiecuję, że tak poustawiam wszystkie sprawy, żeby w przyszłości już zawsze być z tobą i Piotrusiem. Tyle chcę wam dać, pokazać, uwierz mi, proszę.

- Staram się, ale to jest wszystko takie trudne. A ty mi tego bynajmniej nie ułatwiasz.

Mam nadzieję, że sam wytłumaczysz swoją decyzję Piotrusiowi.

- Jak uważasz. Zaraz do niego pójde.

- Piotrusiu, możemy dzisiaj zamiast czytać bajkę, porozmawiać? - zapytał syna, siadając na jego tapczaniku.

- Tak, tato. Bardzo lubię z tobą rozmawiać - ucieszył się.

- To będzie poważna rozmowa dwóch mężczyzn, dobrze?

- Tak, tato. - Malec zrobił poważną minę.

- Wiesz już chyba, że czasami nie zawsze jest tak, jak byśmy chcieli. Czasami czegoś bardzo chcemy, ale musimy zrezygnować, bo obowiązek nakazuje nam robić coś innego.

Widzisz, ja bardzo chciałbym polecieć z tobą i mamusią na Islandię. Zobaczyć to wszystko, co oglądaliśmy w internecie. I gejzery, i lodowce, wodospady, a najbardziej ten kościółrakietę. Ale nagle zadzwonili z mojej firmy i okazało się, że muszę w tym samym czasie być w Ameryce. Obowiązek, praca

- rozumiesz?

- O nie, tato, to znaczy, że nie polecimy na Islandię? - Bródka mu się zatrzęsała, a w oczach załśniły łzy. - Ja tak nie chcę, już wszystko jest zaplanowane i bilety kupione, i buty, i plecak.

- Spokojnie, synku. Wiem, że wszystko już jest gotowe i dlatego uważam, że trzeba tam polecieć. Szkoda, żeby przepadły bilety na samolot, prawda? Nie chcę zepsuć waszej pierwszej wyprawy w świat. Dlatego wszystko już załatwiłem. Polecisz samolotem z mamusią i panem Michałem. On zna Islandię, język, był tam już wiele razy i wszystko wam dokładnie pokaże. Będzie waszym przewodnikiem. Co ty na to?

- Hura! - Piotruś rzucił mu się na szyję. - Jesteś wspaniałym tatą, bardzo cię kocham.

- Ja ciebie też, syneczku. - Mocno go przytulił. Jakie to proste u dzieci. - Będiesz robił dużo zdjęć i mi przesyłał, tak jak z domu do Warszawy, dobrze?

- Dobrze, tato, będę ci przesyłał codziennie. Obiecuję. A pan Michał już wie, że z nami poleci? Zgodził się?

- Zgodził się i bardzo się cieszy, że będzie mógł ci wszystko osobiście pokazać. On cię bardzo lubi, powiedział mi to. Obiecał mi też, że będzie się opiekował tobą i mamusią, żeby w tym obcym kraju nic złego wam się nie przytrafiło. Więc się już o nic nie martw i śpij spokojnie.

- Dobranoc, tato, ale następnym razem polecisz z nami, obiecujesz?

- Obiecuję. - Pocałował go w policzek i otulił kołderką. - Dobranoc syneczku.

Rozdział 23

Konrad pakował walizkę. Sprawdzał szczególnie dokładnie wszystkie dokumenty.

Jeszcze dziś wieczorem czekała go podróż do Warszawy. Na jutro rano umówił się ze swoim zastępcą, Radkiem, mieli sporo spraw do omówienia. Nie mógł przewidzieć, jak długo przeciągnie się jego pobyt w Stanach. Starał się mieć wszystko pod kontrolą, w tak krótkim czasie nałożyło mu się mnóstwo spraw do załatwienia. Narzucił sobie dyscyplinę, pełną koncentrację, jak zwykł to robić przy finalizowaniu kontraktu. Zapiął walizkę, jeszcze tylko laptop, ale ten do końca musiał być włączony, mógł być potrzebny.

Zaprosił na kolację Michała, z nim też musiał uzgodnić szczegóły. Później na nic nie będzie czasu, spotkają się dopiero przed odlotem na lotnisku.

- Piotrusiu, chodź do mnie, jestem w dużym pokoju - zawołał.

- Za sekundę, tato! - odkrzyknął malec i rzeczywiście zjawił się za moment.

- Usiądź obok mnie, chcę ci coś dać.

Chłopiec usiadł z impetem na kanapie obok niego. Oczka mu błyszczały z ciekawości, wpatrywał się w pudełko, które Konrad trzymał w ręce.

- To jest najważniejszy przyrząd wszystkich podróżników. Otwórz pudełko.

Piotruś ostrożnie rozerwał papier i zdjął wieczko. Wyjął zawartość i wpatrywał się w ojca.

- Jak myślisz, co to takiego? - spytał Konrad.

- Kompas. Widziałem podobny w książce o piratach. On pomaga marynarzom na morzu, jak nie widać gwiazd, bo niebo jest zachmurzone - przypominał sobie.

- Masz rację, to jest kompas, ale służy nie tylko marynarzom, także każdemu podróżnikowi, na lądzie też. Piotrusiu, to nie jest zabawka, to bardzo dobry kompas. Takich samych używają najwięksi podróżnicy. Ty teraz lecisz w swoją pierwszą wielką podróż.

Świat jest bardzo ciekawy i warto poświęcić czas, by go zobaczyć i lepiej poznać. Chciałbym, żeby ten przyrząd zawsze przypominał ci pierwszą wyprawę i żeby prowadził cię do każdego celu, który sobie wyznaczysz.

- Ojej, taki prawdziwy, dla dorosłych podróżników? - Piotruś nie dowierzał.

- Najprawdziwszy, synku - potwierdził i mocno przytulił chłopca.

- Kocham cię, tato - szepnął malec. - Będę bardzo o niego dbał, słowo - i podniósł dwa palce do góry.

Zadzwoił dzwonek do drzwi.

- No, przyszedł nasz gość, doktor Michał - powiedział Konrad, wstając.

- Pokażę mu prezent - zawołał radośnie Piotruś i wybiegł do przedpokoju.

Jeszcze zanim Magda podała kolację, Konrad załatwił z Michałem najważniejsze sprawy. Wręczył mu bilety lotnicze i numer konta bankowego, na którym zdeponował na jego nazwisko sporą sumę pieniędzy, by - jak podkreślił - jego rodzinie niczego nie brakowało.

Magda zauważyła, że w ciągu godziny użył sformułowania „moja rodzina”

kilkakrotnie, tak jakby chciał dać Michałowi wyraźnie do zrozumienia, kto tu jest panem i władcą.

Bardzo ją to drażniło. Czowała żal do męża, chociaż starała się zrozumieć jego sytuację.

W czasie kolacji tematem rozmowy była oczywiście Islandia.

- Czy naprawdę Islandia to wyspa lodu? - dopytywał się Piotruś.

- Dosłowne tłumaczenie tego słowa to „ziemia lodu” - wyjaśniał Michał - a Reykiawik, stolica Islandii, to „dymiąca zatoka”.

- Fajnie! - zachwycał się malec. - Czy ja to wszystko zobaczę?

- Hm, w czasie jednej wyprawy na pewno nie wszystko. - Uśmiechnął się do chłopca.

- Nawet ja mam jeszcze sporo do odkrycia, chociaż byłem tam już wiele razy, ale spróbujemy zobaczyć to, co najciekawsze, obiecuję.

- Przygotowałeś już jakiś plan podróży? - zainteresował się Konrad.

-

Myślałem o tym. Oczywiście najważniejszym

punktem programu

jest

Hallgrímskirkja, to w końcu cel tej podróży. Zjemy kolację w restauracji Perlan na szczycie najwyższego budynku w stolicy, pod szklaną kopułą, która nieustannie obraca się wokół własnej osi. Fantastycznie widać stamtąd panoramę miasta. W środku znajduje się sztuczny gejzer. Warta obejrzenia jest też podgrzewana plaża zwana Hautholsvik. Atrakcji nie zabraknie - zapewnił.

- Tato, szkoda, że nie możesz lecieć z nami. - Piotruś zrobił smutną minkę. - Ale będę robił dużo zdjęć i ci wysyłał, żebyś wszystko mógł zobaczyć.

- Liczę na to, synu, a ja w zamian wyślę ci zdjęcia z Nowego Jorku. To też jest wspaniałe miasto. Pod koniec kolacji Magda zaczęła się umawiać z Michałem na jutrzejsze popołudnie.

Miał jej pomóc w pakowaniu, doradzić, co koniecznie trzeba zabrać. Musieli jeszcze kupić bilety na ekspres do Warszawy, ustalali szczegóły na najbliższe kilka dni.

Konrad z rosnącą przykrością przysłuchiwał się ich rozmowie. Wszyscy byli podekscytowani wyjazdem, pełni oczekiwań, przekomarzali się wesoło. Nagle poczuł się wykluczony, samotny i nieszczęśliwy. Co za sytuacja. Nie tylko nie mógł temu zapobiec, ale sam to wszystko zaaranżował. Wyraźnie odczuł, że jakaś siła przejęła kontrolę nad jego życiem, wymuszała decyzje, których tak naprawdę nie chciał.

Wstał od stołu i poszedł dokończyć pakowanie. Przed nim była długa droga do Warszawy.

Michał podziękował za kolację i pożegnał się z nim. Wróci tu jutro po pracy, gdy jego już nie będzie. I to stawało się dla Konrada problemem nie do przełknięcia. Po raz pierwszy w życiu musiał działać wbrew własnym interesom, samego siebie atakować. Rita powiedziała, że podcina gałąź, na której siedzi. „Skąd nagle Rita?” - pomyślał mimochodem.

Magda długo nie mogła zasnąć. Wyszła do kuchni i podgrzała sobie mleko. Piotruś spał w swoim pokoju. Konrad był w drodze do Warszawy. Życie, które w ostatnich dniach wciągnęło ją w wir wydarzeń, budziło w niej przerażenie. Wszystkiego było za dużo, wszystko działo się za szybko, pojawiło się zbyt wiele niewiadomych. Czuła narastającą w niej chęć wycofania się z wszystkiego. Tłumaczyła sama sobie, że taka właśnie jest rzeczywistość i to ona musi się do niej dostosować. Nie może dłużej chować się w czterech ścianach, jest na to zbyt młoda. No i jest Piotruś, za którym musi nadążyć.

Z niechęcią myślała o Konradzie. Po śmierci Sary był taki opiekuńczy, czuły, stale deklarował, że teraz on się wszystkim zajmie, przejmie odpowiedzialność za rodzinę. Tak dobrze było się temu poddać. Bez Sary czuła się bezradna, wszystko w niej zamarło...

„Wkradł się w łaski”- to śmieszne powiedzenie z czasów cici Julii trafnie oddawało ich sytuację. Była gotowa puścić w niepamięć wszystkie lata samotności, porzucenia. Nie dociekać, nie rozliczać... A on znowu zawiódł. Boleśnie to odczuła. Zrozumiała, że musi wreszcie wziąć swój los we własne ręce. Nikt poza nią nie powinien decydować o tym, jak ma żyć. To bardzo trudne, ale jeżeli nie chce być stale zaskakiwana i stawiana przed faktem dokonanym, to musi uciekać od złudnego uczucia, że tworzą z Konradem wspaniałą kochającą się rodzinę. Długo o tym myślała, w końcu zrozumiała jedno, że nie może się wszystkiego bać, ponieważ te lęki ją ubezwłasnowolniają. Będzie dzielna. Polecą na Islandię, chociaż nie zna języka i nigdy nie była za granicą. Skorzysta z doświadczenia Michała.

Wszystkiego się nauczy. Po prostu musi.

Po kolejnej godzinie musiała się poddać, mleko nie pomogło. Otworzyła komputer, klikała to tu, to tam i nagle jej oczom ukazał się cudowny widok. Zdjęcie za zdjęciem, kolorowe chmury na tle zimowej scenerii. Autorka fotografii - „patulkaa” - nazwała to zjawisko *glitsky*, co w języku islandzkim oznacza „migoczący”. Wspaniałe, pełne barw, tęczowe chmury, wręcz bajkowe - człowiek od razu zastanawia się, na ile są spreparowane, podretuszowane, a na ile to dzieło natury. Autorka ręczyła, że to oryginalne ujęcia.

Magda długo się wpatrywała zachwycona, w jej duszy coś drgnęło. Poczła narastające podniecenie, jakiś silny niepokój niosący radość, chęć działania. Nagle zrozumiała, wróciło do niej coś bardzo bliskiego, osobistego, ta potrzeba zepchnięta na samo dno duszy... tak, już wiedziała... musi to namalować. Szukała nerwowo pasteli i kartek, znalazła wszystko w pokoju Piotrusia.

Pochłonęło ją malowanie. Kiedy ostatni raz jej się to przytrafiło? Nie pamiętała.

Powoli kartka zapełniała się: w centralnym miejscu twarz Sary, jej włosy we wszystkich kolorach tęczy, splecione w warkocze, zamiast kokardek dwa motyle, a nad głową niesamowite w kształcie i kolorze chmury, które oglądała na zdjęciach. Oczy córeczki patrzące w górę podziwiała je, a buzię rozjaśniał łagodny uśmiech. Poczła wielką ulgę.

Zadowolona wsunęła się pod kołdrę.

Na granicy jawy i snu zobaczyła tę siedemnastoletnią dziewczynę. Drobna, szczupłą, mocno opaloną. Stała na wydmie, wiatr falował jej krótką spódnicą w żółte słoneczniki.

Włosy miała spięte w koński ogon, ale niektóre kosmyki wyrwały się na wolność i pchane przez wiatr zasłaniały jej twarz. Odgarniała je niecierpliwie ręką z pędzlem, w drugiej trzymała paletę. Śpieszyła się, pogoda zmieniała się szybko, światło było już zupełnie inne niż dwie godziny temu. Chciała skończyć ten obraz, by dać go w prezencie Rafałowi, chłopakowi pachnącemu morzem i smażonymi rybami.

Wysoki, szczupły, pięknie opalony. Spędzali razem wczesne godziny dnia. Zachwycał się jej obrazami. Biegali po pustawej o tej porze plaży, wypływali daleko w morze.

O dziesiątej musiał zniknąć, pracował do wieczora w smażalni ryb. Pokazał jej ciekawe zakątki, które jego zdaniem powinna namalować. Zrobiła wiele szkiców i zdjęć, by później w domu odtworzyć to na płótnie.

Magda wstała z łóżka i podeszła do okna. Dlaczego odezwały się w niej wspomnienia tamtego lata? Pogrzebała je, zepchnęła w głąb siebie z bezwzględnością zrodzoną ze strachu.

Gdyby pozwoliła im ożyć, wróciłby ból, którego nie chciała.

Przechadzała się po pokoju, czuła, że jest coraz bardziej zdenerwowana, wiedziała, że tym razem przed tym nie ucieknie. W końcu usiadła w fotelu, poddała się. Drżała.

W którąkolwiek stronę zwracała myśli, wszędzie napotykała wir emocji. Znowu usłyszała te głosy:

- *Nie będziesz spotykała się z tym chłopcem, bo nic dobrego z tego nie wyniknie. Jesteś za młoda! Pakuj się, jeszcze dzisiaj wyjeżdżamy.*

- *Proszę, uspokój się. Nic złego się nie dzieje - mama próbowała wpłynąć na ojca.*

- *Nie wtrącaj się! Właśnie ty nie masz na ten temat nic do powiedzenia. Dlaczego ja zawsze dowiaduję się o wszystkim ostatni? Jak długo to trwa?* - zwrócił się w jej stronę.

- *Spotykaliśmy się prawie codziennie na plaży.*

- *Słyszałaś? Codziennie!* - Odwrócił się na sekundę do żony. - *Mówiłaś, że chodzisz tam malować. Oszukiwałaś nas!* - oskarżał.

- *Nieprawda! Malowałam, ale też pływałam, biegałam, opalałam się* - broniła się, nie rozumiejąc tego ataku.

- *I wszystko z tym Rafałem, oczywiście. Co jeszcze razem robiliście?*

- *Dosyć!* - Głos mamy był bardzo stanowczy, gdy zwróciła się do męża. - *Ponosi cię wyobraźnia. Dobrze wiesz, że gdy jesteś wytrącony z równowagi, nie myślisz logicznie.*

Madziu, idź do swojego pokoju i spakuj się - poprosiła mama. - *To dobry pomysł wyjechać dwa dni wcześniej. Zwiedzimy po drodze Malbork i Toruń.*

- *Ale ja nie chcę wyjeżdżać* - zaprotestowała.

- *Nie teraz, proszę. Później porozmawiamy. Idź do swojego pokoju.*

W głosie mamy było coś nieznośnego sprzeciwu. Ociągając się, wstała z krzesła i wyszła na korytarz. Czuła, że narastał w niej bunt. Nie zrobiła nic złego. Dlaczego ojciec był

taki zdenerwowany? Rzeczywiście nie opowiadała rodzicom o Rafale, ale była prawie dorosła i chyba mogła spotykać się z rówieśnikiem na plaży. W Katowicach umawiała się z wieloma kolegami na wspólne wypadki do kina, koncerty czy basen. Ojcu nigdy to nie przeszkadzało.

Zawsze podkreślał, że ma do niej zaufanie. Dlaczego tym razem było inaczej?

Były wakacje, rodzice lubili pospać dłużej, zjeść nieśpiesznie śniadanie, przychodzili na plażę około jedenastej. Ona wstawała wcześniej, bo wtedy miała najlepsze światło do malowania. Gdy mama i tato pojawiali się na plaży, Rafał już dawno pracował. Nie ukrywała jego istnienia celowo, tak po prostu wyszło.

Stojąc przed drzwiami swojego pokoju, przypomniała sobie, że klucz do nich leży na stoliku u rodziców. Niechętnie zawróciła. Już chciała zapukać, gdy usłyszała przez drzwi głos ojca:

- *Pamiętaj, ostatni raz spędzamy wakacje nad morzem, za dużo tu wspomnień. Sama widzisz, że to jej malowanie na wydmach wzbudza duże zainteresowanie. Wiesz, czym się to może skończyć?*

- *Jesteśmy w Gdańsku, a nie w Szczecinie, no i wybacz, ale ponosi cię fantazja, minęło przecież tyle lat...*

- *A te kwiaty? Ten głuchy telefon? Ile dziewcząt maluje na plaży? Ona ma w genach to cholerne morze i malowanie! Wiedziałem, że to nas zdradzi. Całe życie się tego bałem.*

- *Dobrze, wyjedźmy. Nie ma sensu się kłócić. Chodź do mnie, przytul się.*

Usłyszała, jak zaskrzypiał tapczan. Odwróciła się na pięcie i wybiegła.

Wyjechali późnym popołudniem, tak jak życzył sobie tata. Pod Malborkiem zderzyli się z nieoświetlonym busem. Mama zginęła na miejscu, ojciec zmarł w drodze do szpitala.

Ona miała złamaną rękę i kilka siniaków.

Mama nie zdążyła jej nic wyjaśnić, obiecała tylko, że porozmawiają później, gdy będą same. Wiele lat nie dawało jej spokoju pytanie: jaką tajemnicę rodzice zabrali do grobu?

Ciocia Julia tłumaczyła jej, by nie dręczyła się tym, bo skoro stało się, jak się stało, to widocznie los chciał, by nie poznała sekretu rodziców.

Magda nie chciała tych wspomnień. Szybko wśliznęła się do łóżka i nakryła głowę kołdrą. A jednak dopadł ją ten obraz...

Kłęczała na kamiennej posadzce pomiędzy trumną matki i ojca. Jej dłonie rozgniatyły łądzyki kwiatów, które wetknęła jej w ręce ciocia Julia. Robiły się od tego lepkie, wilgotne, wstrętne. Dym z kadzidła dusił ją, była bliska omdlenia...

Koniec, dosyć, nie chce wracać do tamtego lata i późniejszych wydarzeń. Wtedy uznała, że rodzice zginęli z powodu jej malowania na plaży. To przez jej pasję tak pośpiesznie opuścili pensjonat i wyjechali śmierci naprzeciw. Tam, w kościele, podjęła tę trudną decyzję.

To była największa ofiara, jaką mogła wtedy złożyć. Przestała malować. Czy dobrze zrobiła?

Dzisiaj nie była taka pewna, były okresy w jej życiu, gdy malowania bardzo jej brakowało, a Konrad wprost nalegał, by rozwijała talent, widział teczkę z jej rysunkami. Ale ona złożyła w ofierze to, co lubiła najbardziej, to miała być kara za to, że ona przeżyła... Teraz zrozumiała, jak głupio postąpiła. Czas narodzin i śmierci jest nam dany, nie mamy na niego wpływu. Powinna się cieszyć, a nie karać za dar życia. Musi to przemyśleć, podobnie jak wiele innych spraw. Musi dużo zmienić w swoim życiu i siebie samą też. Tylko czy to jest możliwe?

- Mamusiu, jakie to piękne! - Usłyszała głos Piotrusia. - Sara jest w Raju, prawda, mamusiu? Jak ona ślicznie wygląda i jaka jest szczęśliwa - zachwycił się.

- Masz rację, syneczku, Sara jest w Raju. A takie kolorowe chmury pojawiają się podobno nad Islandią, zapytamy o nie pana Michała. Dlaczego już nie śpisz?

- Bo jest rano, muszę iść do przedszkola.

Rzeczywiście było późno, musieli się śpieszyć, bo Ada z córeczką już czekały.

Magda układała na kanapie wszystko, co jej zdaniem powinna wziąć w podróż.

Michał przejrzy to, gdy przyjdzie wieczorem.

Konrad dzwonił już dwa razy. Dojechał szczęśliwie i szybko. Dzisiejszy dzień spędzi w biurze. Bardzo się ucieszył, gdy mu powiedziała, że całą noc malowała portret Sary.

- Nareszcie! Przełamałaś się, to jest takie ważne, by robić w życiu to, co się lubi, a ty masz talent, zawsze ci to mówiłem. Wykorzystaj ten impuls, dużo maluj, to cię odmieni, uwierz mi - prosił.

Zmartwił się też, że znowu nie może spać. Radził, by się teraz położyła, chociaż do czasu, zanim Piotruś wróci z przedszkola. Przyjmowała jego dobre rady z mieszanymi uczuciami. Znowu mu nie ufała. Czowała, że dzieli ich przepaść, którą śmierć Sary na chwilę zasłoniła. Wrócił żal. Teraz chciała, by wytłumaczył się ze swoich wcześniejszych decyzji, z tego odstawienia jej i Sary na boczny tor. Z drugiej strony miała świadomość, że przeszłości nie da się zmienić, więc po co jej to? Ale nie może być tak, jak gdyby nic się nie stało, jakby ich małżeństwo było szczęśliwe, spełnione, bo nie było, i to od dawna.

Chodziła po mieszkaniu i bezwiednie je porządkowała. Nie potrafiła sobie poradzić ze swoimi myślami. Rosła w niej niechęć do Konrada. Czy to możliwe, by kochała człowieka, który porzucił ją w najtrudniejszym okresie życia? I dalej zawodzi? Kim ona była dla niego?

Był jeszcze Piotruś, który bardzo kochał Konrada i miał za co, ponieważ dla niego był dobrym ojcem. Teraz, gdy zabrakło Sary, muszą stworzyć rodzinę dla syna.

- A ja! - Usiadła. Ta myśl, która pojawiła się nie wiadomo skąd, poraziła ją. Czego ja chcę dla siebie? Czy chcę resztę życia spędzić z Konradem? I czy tylko dlatego, że jest ojcem Piotrusia? Zrozumiała, że po prostu tego nie wie. Takich pytań bez odpowiedzi miała więcej.

Czy potrafi sama decydować o sobie? Pracować, zarabiać, wyzwolić się spod opieki męża?

Potrzebowała kierunku, celu. Spokojne i bezbarwne życie przestało jej wystarczać, pragnęła do czegoś dążyć. Powinna być taka jak inne kobiety, jak Hania, Ada. Uświadomiła sobie, że zanim podejmie jakiegokolwiek decyzje i zacznie działać, musi znaleźć odpowiedzi na wiele pytań.

Podeszła do wazonu z różami, rozchyliły delikatne płatki, ładnie pachniały.

Pieszczotliwie dotykała je ustami, to było takie przyjemne. Przypomniała sobie tę falę ciepła tam w przedpokoju, gdy Michał, wręczając jej kwiaty, dotknął jej dłoni. Wtedy zaskoczona popatrzyła mu w oczy i uświadomiła sobie, że nie stoi już przed nią lekarz Sary, ale po prostu mężczyzna. Westchnęła. Zabrała wazon z kwiatami do kuchni, by wymienić wodę.

Na razie poleci na Islandię i ma nadzieję, że znajdzie tam jakieś wskazówki dla siebie.

To przecież niemożliwe, by te wszystkie zbiegi okoliczności niczemu nie służyły.

Michał przyszedł w porze kolacji. Musiał zostać dłużej w klinice, za to od jutra będzie już wolny, dostał urlop.

Przejrzał rzeczy przygotowane przez Magdę do spakowania i stwierdził, że większość bluzeczek, sukienek i krótkich spodenek trzeba zostawić w domu. Islandia w czerwcu nie była gorąca. Za to koniecznie trzeba zabrać kostiumy kąpielowe, ponieważ baseny z gorącą wodą znajdują w każdej, nawet najmniejszej osadzie. Na pewno z nich skorzystają.

- To Islandki muszą być śliczne? - spytała.

- No... - zwiesił głowę - takie puciołowate blondynki o dużych niebieskich oczach. - Na jego twarzy pojawił się uśmiech. - I wszystkie bardzo do siebie podobne. To przez swoją długą izolację od reszty świata ich geny nie miały okazji się wymieszać.

- Teraz rozumiem. - Uśmiechnęła się, patrząc na jego błękitne oczy i jasną czuprynę.

- No, w końcu mam trochę tej krwi w żyłach. - Odgarnął dłonią opadające włosy.

- A jakiej muzyki słuchają na Islandii? - Piotruś zmienił temat.

- O, nawet niemowlaki słuchają głównie heavy metalu.

- Żartujesz! - zdziwiła się Magda.

- Absolutnie nie. W tym kraju muzyka inna niż ciężki rock nie cieszy się popularnością. Wyjątkiem są Björk i Sigur Rós.

- Co tam jeszcze jest dziwnego? - dopytywał się Piotruś.

- Mhm... - zastanowił się Michał. - O, mam, nigdzie indziej pranie nie wisi na sznurku poziomo.

Magda wybuchnęła śmiechem.

- To niemożliwe!

- A właśnie, że możliwe. Deszcz też pada poziomo, a nie pionowo. - Oczy śmiały mu się, ale mówił poważnie.

- Poziomo to tak, a pionowo tak? - upewnił się Piotruś, machając rękami.

- Zgadza się - potwierdził Michał.

- To mama ma rację.

- Nie opowiadaj mi głupstw - wtrąciła się Magda. - On we wszystko uwierzy.

- Ależ to prawda! Na Islandii wieją tak silne wiatry, że porywają krople deszczu i pędzą z nimi kilometrami, właśnie w poziomie.

Rozmawiali tak przy stole do późna. Magda pozwoliła na to, ponieważ Piotruś od jutra miał już nie iść do przedszkola.

Rozdział 24

Magda próbowała się modlić, a Piotruś ściereczką polerował skrzydła marmurowego anioła. Odwiedzili Sarę, ponieważ jutro już nie będzie na to czasu. Magda bardzo starała się wyciszyć, być bliżej córki, bywało przecież, że niemal fizycznie wyczuwała jej obecność, ale dzisiaj miała wrażenie, jakby córeczki nie było. Pewnie sama była zbyt rozkojarzona, tyle się działo.

W nocy znowu kilka razy się budziła. Pojawił się u niej silny lęk przed lotem. Ludzie zamknięci wewnątrz samolotu byli zupełnie bezradni. Człowiek nie powinien się znajdować między niebem a ziemią - to się kłóci z jego naturą.

Piotruś przetarł jeszcze raz płytę nagrobną i położył na niej swój obrazek. Dwa przepiękne kolorowe motyle.

- Śliczne, Piotrusiu, kiedy je zdążyłeś narysować?

- Dzisiaj rano, mamusiu. Chciałem, żeby Sara mogła je sobie przypiąć do warkoczy, tak jak na twoim obrazku. - Zadowolony uśmiechnął się do mamy.

- Na pewno się ucieszy. - Pogłaskała go po główce. Kochany dzieciak, jest taki wrażliwy.

- Mamusiu, prawda, że Sara ma najładniejszy grób? - zapytał Piotruś, rozglądając się wokoło.

- Chyba tak, syneczku, ale pamiętaj, że nie to jest najważniejsze, tylko to, by zawsze była w naszych sercach.

- Ona jest w moim sercu. - Dotknął dłonią swojej piersi. - Nigdy o niej nie zapomnę, nawet jak będę na dalekiej wyprawie. Gdy wrócimy, to o wszystkim jej opowiem.

- Dobry pomysł, Sara bardzo się ucieszy.

Przy bramie cmentarnej czekał na nich Michał. Umówili się, że zabierze Piotrusia do Pizzy Hut, by Magda mogła się spotkać z przyjaciółkami. Zaprosiła je na pożegnalny obiad do restauracji. Celowo nie zorganizowała tego tradycyjnie w domu. To miał być pierwszy krok w nowe życie. Opuszczanie gniazda. Przez kilka lat nie świętowała niczego w lokalu.

Przyjaciółkom bardzo podobał się jej pomysł.

Przed wejściem do restauracji Magda omal nie wpadła na Irenę. Śpieszyła się na spotkanie, ale myślami była jeszcze przy Michale i Piotrusiu. Spodobał jej się gest żółwika, który wykonali, gdy uzgodnili, że po pizzy odwiedzą wystawę motocykli przygotowaną przez Muzeum Śląskie.

- Dzień dobry, pani Magdo. Cieszę się, że się spotykamy.

- Witam, pani Ireno, co u pani słyhać, jak dzieci?

- Dobrze, dobrze. Syn przeszedł do kolejnej klasy, dobrze się uczy.
- Gratuluję. To dobra wiadomość. A co u córki? - zapytała Magda.
- Pracuje, ma staż w przychodni. Spotkała pana Konrada, robił u nich badania.
- Tak, Konrad ostatnio źle się czuje, ale właśnie leci do Stanów, już się umówił tam ze swoim lekarzem. Czekają na niego w jakiejś klinice.
- To dobrze. Będę się modliła, by się udało. Biedny pan Konrad. Tyle nieszczęścia naraz. Czasami zachodzę na grób Sary, piękny jest. Modlę się za spokój jej duszyczki.
- A, to od pani te kwiaty? Bardzo dziękuję. Nie wiedziałam, kto ją odwiedza.
- Proszę wybaczyć, ale jesteście dla nas jak najbliższa rodzina. Nigdy się nie odwdzięczę za to, co zrobił pan Konrad. Nieba bym mu przychyliła...
- No, jestem, zdążyłam, a bałam się, że się spóźnię. - Zza rogu wyszła uśmiechnięta Ada i cmoknęła przyjaciółkę w policzek.

Irena dotknęła ręki Magdy i szybko się pożegnała.

- Dziękuję serdecznie i proszę pozdrowić dzieci. - Magda odprowadziła ją wzrokiem, aż kobieta zniknęła za rogiem. Pozostał w niej jakiś niepokój.

- Kto to był? - spytała Ada.

- To ta kobieta, której Konrad zostawił mieszkanie na Bobrku.

- Ach to ona. Dlaczego tak szybko się zmyła?

- Zawsze była taka nieśmiała, to bardzo dobry człowiek. Wiesz, że ona często odwiedza grób Sary, przynosi jej kwiaty...

Weszły do restauracji.

To było bardzo sympatyczne spotkanie. Dostała przydatne drobiazgi na drogę: kolorową kosmetyczkę od Ady i książkę Beaty Pawlikowskiej *W dżungli życia* od Hani.

Przyjaciółka podkreśliła we wstępie zdanie: „Szukałam w życiu szczęścia. Wyruszałam w podróż...”.

Jadły już deser, gdy Ada wyskoczyła z tym pytaniem: - Jak on mógł ci to zrobić? Tyle naobiecować i w końcu zostawić. - Dręczyła ją decyzja Konrada. Nie chciała go potępiać, bo była mu wdzięczna. Tak sprawnie i szybko załatwił jej nową pracę, z której była bardzo zadowolona, i to zupełnie bezinteresownie. Ale zrozumieć jego postępowania też nie potrafiła.

- Widocznie musiał - droczyła się z nią Hania. - Praca, kochana, jest dzisiaj najważniejsza. Upiór bezrobocia straszy każdego, bez względu na stanowisko. A im wyższe piastujesz, tym gorzej.

- Nie mów tak. Praca jest ważna, ale najważniejsza powinna być rodzina. Mój Bartek nigdy by mi tego nie zrobił.

- Oczywiście, że nie - wtrąciła się Magda. - Twój mąż to zupełnie inny gatunek faceta.

Nie podróżuje, nie kusi go kariera, pracuje na państwowej posiadce i dobrze mu z tym. Nie zarabia kokosów, ale ma czas dla rodziny.

- No wiesz, wszystko ma swoje dobre i złe strony. Czasami zazdroszczę ci, że masz męża na stanowisku, możesz sobie pozwolić na wiele rzeczy. O, masz życzenie polecieć na Islandię i lecisiz. Ale żeby wysyłał cię z obcym mężczyzną? - Pokręciła głową z dezaprobatą.

- Co ty opowiadasz, jaki on obcy, kilka lat się znają, częściej bywał u Magdy w domu niż mąż - oburzyła się Hania.

- A jednak jest obcy! - upierała się Ada. - Jak ty się będziesz z nim czuła? - zwróciła się do Magdy.

- Słuchaj, Ada, to nie tak. Konrad mnie nie wysyła. To ja zdecydowałam, że chcę jechać, a to zasadnicza różnica. Michał jest tylko przewodnikiem. Sama rozumiesz, nieznaną dziki kraj, nigdy nie podróżowałam, nie znam języka. I w dodatku jadę z małym dzieckiem.

Duże ryzyko, muszę się maksymalnie zabezpieczyć.

- I bardzo dobrze robisz. Działać trzeba z głową - poparła ją Hania - zwłaszcza że zabierasz

Piotrusia. To będzie piękna wyprawa. Jak wrócisz, wszystko nam opowiesz.

- Pewno, że opowiem - przytaknęła Magda, dopiwszy wino. - Dziewczyny, zamówić jeszcze jedną butelkę?

- Nie, kochana. Muszę wracać, zrobiło się późno, obiecałam Bartkowi, że będzie mógł spokojnie obejrzeć mecz. Idę jeszcze do toalety.

- Muszę ci to w końcu powiedzieć. Gnębi mnie to od dawna, a teraz może się okazać ważne dla ciebie - zaczęła Hania, gdy Ada zniknęła za filarem. - Przyjrzyj się dobrze temu Michałowi. Moim zdaniem nie jesteś mu obojętna. Byłam kiedyś u ciebie, gdy przyjechał do Sary. Uchwyciłam jedno jego spojrzenie. Wychodziłaś do kuchni zrobić nam herbatę.

Madziu, jak on na ciebie patrzył... Nie mogę o tym zapomnieć.

- Zwariowałaś?! - Magda roześmiała się.

- Może zwariowałam. Ale ten facet jest świetny, daj mu szansę. Myślę, że z Konradem od dawna nie jest ci dobrze. Widzę też, że ostatnio bardzo się zmieniłaś. To dobrze. Wiele rzeczy się zmieniło. Tylko go poobserwuj, teraz będziesz miała okazję.

- Haniu, nie w głowie mi takie sprawy. Konrad jest, jaki jest, ale nigdy nie miałam innego.

- Wiem i nie każę ci od razu iść z nim do łóżka. Ale on jest naprawdę atrakcyjny i taki, no wiesz, w porządku. Godny zaufania. Zresztą sama się przekonasz.

- Co tak szepczecie? - spytała Ada.

- Przekonuję ją, by przez te dwa tygodnie wrzuciła sobie na luz i korzystała z życia pełną gębą - odpowiedziała szybko Hania.

- Jestem za - poparła ją Ada.

Piotruś zażyczył sobie, by zamiast wieczornego czytania bajki Michał opowiedział mu przed snem o elfach i trollach. Wspominała mu o nich Sara.

I potoczyła się opowieść o tym, że na wyspie razem z ludźmi żyją elfy, które pomagają, chronią, przynoszą szczęście i dostatek, a szczególnie życzliwa jest śliczna czarodziejka Huldukona. Oprócz nich na Islandii mieszkają też ogromne trolle, brzydkie, złe i złośliwe. Jeżeli porwą człowieka i będą go przetrzymywać, po pewnym czasie sam zamieni się w trolla, trzeba się więc bardzo pilnować. Trolle znane są także z tego, że czekają na zagubione statki handlowe pełne ładunku, żeby je zatopić w czeluściach oceanu.

Gdy Piotruś, zmęczony i syty wrażeń, zasnął, Magda dalej zadawała Michałowi pytania, a on chętnie dzielił się swoją wiedzą. Widać było, że sprawia mu to wielką przyjemność i nie śpieszy się do domu.

- Wiesz, Islandczycy czują się inni i mają ku temu powody. Żyją na niesamowitej, a zarazem okrutnej wyspie. Tam są naprawdę trudne warunki do życia. Zima trwa długo. Od listopada do lutego w zasadzie panuje ciemność. Podczas nocy polarnej rolę źródła światła przejmuje księżyc. W orientacji w terenie pomaga światło odbite od bieli śniegu - opowiadał.

- Wyobrażasz sobie tę atmosferę niesamowitości? I wtedy pojawia się zorza, zjawisko, które trudno sobie wyobrazić, to trzeba zobaczyć. Jeszcze rzadsze są tęczowe chmury - *glitsky*.

Zima na Islandii to ciemność, silne wiatry i przeraźliwe zimno. Ludzie tylko przemykają się wtedy po pustych ulicach. Przyroda jest bardzo surowa. Lód, góry, wodospady, wybuchające gejzery potrafią stworzyć niesamowite kształty, które stale się zmieniają i zaskakują. Ta ich nieprzewidywalność jest cudowna.

Magda dowiedziała się również, że owe zimowe ciemności sprzyjają depresji, nic więc dziwnego, że tam trzeba się ratować wyobraźnią. Islandczycy to bardzo odcytany naród, utalentowany artystycznie. Jest tak wielu świetnych muzyków, poetów, malarzy, pisarzy, rzeźbiarzy. Złośliwi twierdzą, że Islandia ma artystów zdecydowanie ponad normę. Ludzie lubią się też bawić, tańczyć, śpiewać, co szczególnie daje się zauważyć w weekendy.

- Gdzie się taki naród uchował? - zastanawiała się.

- Masz rację, mówiąc „uchował się”. Oni celowo się izolują. Na przykład język - skrupulatnie usuwają wszelkiego rodzaju zapożyczenia, dbają o swoje tradycje i zwyczaje.

To, co islandzkie jest zawsze najlepsze. Natomiast większość Islandczyków zna dobrze język angielski i nie ma problemów z porozumiewaniem się. To są twardzi ludzie Północy - wolni, niezależni, otwarci i szczęśliwi. Żyją na oddalonych od siebie farmach i doskonale wiedzą, czym jest samotność. To właśnie na Islandii powstały popularne na całym świecie sagi. Te wielotomowe opowieści są świetnym sposobem na wypełnienie długich, zimowych wieczorów.

- Wiem coś o tym. - Magda uśmiechnęła się. - Właśnie pochłaniam kolejny tom. Te powieści są naprawdę wciągające, autorzy potrafią grać na emocjach czytelnika.

- Bardzo się cieszę. Lepiej poczujesz ducha tego narodu. A wiesz, że ten bezludny pejzaż zachwyca turystów, relaksuje i skłania do refleksji. Dla wielu podróz na Islandię to jakby wyprawa na inną planetę.

- Tak ciekawie opowiadasz i z takim entuzjazmem, widać, że kochasz tę swoją drugą ojczyznę.

- Wiesz, to może dziwne, ale dopiero teraz sobie uświadomiłem, że tak. To dzięki wam. Do tej pory nie miałem komu o tym opowiadać i zastanawiać się nad tym. Dlatego bardzo mi zależy, żeby było wam tam dobrze.

- A ja się boję, że mogę się nie sprawdzić jako podróżniczka. To moja pierwsza wyprawa, obym nie narobiła ci kłopotów.

- Spokojnie, wystarczy, że ja dobrze znam ten teren, niepotrzebnie się martwisz.

- No nie wiem, muszę ci się do czegoś przyznać. Pewno to głupie, ale boję się lotu.

Coś mnie paraliżuje na samą myśl, że mam wsiąść do samolotu. Ten lęk narasta we mnie z każdym dniem, jakby mnie ostrzegał przed nieszczęściem. Nie wiem, jak sobie z tym poradzę.

- Wielu ludzi czuje to samo. Należysz do osób uzależnionych od grawitacji. -

Uśmiechnął się. - Mogę ci podać łagodny środek uspokajający. Dobre rezultaty daje też ulubiona muzyka. Zakładasz słuchawki, przymykasz oczy i nawet nie wiesz, kiedy kończy się podróz. Poważnie, najczęściej to wystarcza.

- Przy tobie wszystko jest takie proste - westchnęła.

- Po to tu jestem, żeby się wami opiekować. Dbać o ciebie... i o Piotrusia.

Rozdział 25

Konrad skończył pakowanie. Za godzinę spotka się z rodziną na lotnisku. Jadą już w ekspresie z Katowic. Nie mógł się doczekać. Marzył o tym, by Magda go przytuliła, i chciał się nacieszyć Piotrusiem. Uśmiechnął się na myśl o jego zaaferowaniu - malec zobaczy wreszcie z bliska samoloty, wszystko będzie dla niego nowością. Szkoda, że nie zdąży obejrzeć Warszawy, wielu rzeczy szkoda.

Jego zastępca, Radek, już dzwonił rano, życzył mu bezpiecznego lotu. Chyba się domyślał, że nie był to tylko wyjazd w interesach. Sekretarka Patrycja też tak ciepło się z nim pożegnała.

Zażył tabletki, wypił kawę, ale nie potrafił nic zjeść. Wierzył, że lekarze w Stanach jakoś to opanują.

Wczoraj do późna pisał list. Szczerze aż do bólu opisał Magdzie ostatnie lata, od urodzenia się Sary. O swojej walce i sukcesach w pracy, o wyprawach w najdziksze strony świata, które wzmacniały w nim poczucie siły fizycznej i duchowej, o spełniającym się marzeniu o wielkiej karierze. O tym, że jest naprawdę dumny ze swoich osiągnięć, bo nie spadły z nieba. On, chłopak z Bobrka, udowodnił, przede wszystkim sobie, że gdy się bardzo chce i ciężko pracuje, to osiąga się wyznaczone cele. Miał również dużo szczęścia, ale to już nie do końca było jego zasługą.

Uczciwie wyznał jej prawdę o kobietach w swoim życiu - Chinkach, Tajkach, Francuzkach - które owszem zaistniały, ale nigdy nie były niczym więcej jak tylko rozrywką, relaksem, sposobem na stres. I o tej ostatniej, która zatrąła mu życie, i o swojej walce, cierpieniu, kolejnych terapiach, nowych lekach, wizytach w szpitalach i u szamanów.

Najwięcej pisał o swoich wyrzutach sumienia, o tym, jak panicznie bał się o nią i Piotrusia, dopóki nie przekonał się, że nie są zarażeni. I o wielkim żalu, że przegrywa z chorobą, że musi ich opuścić, chociaż najbardziej na świecie kochał zawsze ją i dzieci, ale nie zawsze umiał to docenić i okazać. Szczególnie zawinił w sprawie Sary.

Wyznał jej miłość i swój podziw, że wzięła na swoje barki to, co najtrudniejsze w ich małżeństwie. Oddała im najlepsze lata swojego życia. On tego nie potrafił. Dzięki jej bezgranicznemu zaangażowaniu ich dzieci były szczęśliwe. Nawet Sara, tak pokrzywdzona przez los, miała najlepsze dzieciństwo, bo przeżyła swoje dziesięć lat z kochającą, czułą matką, pozostającą do jej dyspozycji w dzień i w nocy. Prosił ją, by poświęciła więcej czasu sobie, by rozwijała swoje zdolności, by wyszła z domu do ludzi, żyła aktywnie, bo życie jest piękne i warto zrobić wszystko, aby przeżyć jak najwięcej.

Łzy kapały mu na te kartki papieru, momentami szlochał rozdzierająco. To była spowiedź życia, z prośbą o wybaczenie. Nad ranem, kompletnie wyczerpany, umieścił to wszystko w dużej brązowej kopercie i dołączył do reszty dokumentów, które przekaże swojemu prawnikowi. Wiedział, że Magda przeczyta o tym dopiero po jego śmierci, bo gdyby ten nowy eksperyment w Stanach jednak się udał, nie będzie prosił jej o wybaczenie, tylko udowodni swoją miłość. Bo o tym, że dostał od losu miłość, tę najprawdziwszą, już wiedział.

Naprawdę był szczęściarzem.

Obchodził pokoje i sprawdzał, czy wszystko jest zamknięte, światła pogaszone, czy nie zapomniał czegoś, co powinien zabrać. Stał przed regałem z płytkami. Te fotografie i filmy dowodzą, że naprawdę istniał, negują proces przemijania. Tysiące zdjęć, utrwalone wydarzenia, zatrzymane ulotne chwile... Gdy znikną, zabraknie dowodu, że był...

Na koniec wszedł do łazienki. Już miał wychodzić, gdy zobaczył swoje odbicie w lustrze. Wpatrywał się w nie przez chwilę i nagle łzy zamazały mu obraz. Piersią wstrząsnął szloch. Zakrył dłońmi tę chudą, zniszczoną chorobą twarz i pozwolił, by łzy płynęły mu przez palce. Ogarnął go wielki, trudny do udźwignięcia smutek. Poczł, jak bardzo jest nieszczęśliwy, bo przeraźliwie samotny. Nikt go nie obejmował, nie pocieszał, nie gładził po głowie. A tak bardzo tego potrzebował. Nigdy takiego pocieszenia nie zaznał, bo matka zmarła, zanim był jej świadomy. Co najwyżej usłyszał od braci: „przestań ryczeć, nie jesteś babą”.

Nagły wybuch śmiechu na klatce schodowej zmroził go, skulił się jak ugodzony nożem. Gromki rechot młodych rozbawionych ludzi oddalał się. Pewno wychodzili studenci, którym sąsiad z naprzeciwka wynajmował pokój.

Wyprostował się i jeszcze raz popatrzył w lustro. Teraz zobaczył poważnego, pewnego siebie człowieka sukcesu, któremu może zbyt mocno błyszczały oczy.

Magda stale śledziła wzrokiem Piotrusia. Sama była bliska paniki. Pierwszy raz w życiu była na lotnisku. Te tłumy ludzi, kolejki w różnych kierunkach, kobiecy głos, który w kilku językach podawał komunikaty. Jakieś samoloty lądowały, inne wylatywały. Wszędzie bagaże, dzieci w różnym wieku, sklepy, kawiarnie, a wszystko to na niewielkiej w sumie powierzchni.

Ich bagaże oklejone naklejkami pojechały już na taśmie gdzieś w głąb. Piotruś uparcie jeździł w górę i w dół ruchomymi schodami.

Magda rozglądała się niespokojnie, starała się nie tracić z oczu syna i Michała. Na czas podróży to z nimi tworzyła całość. Niepokoiła się, gdy się rozpraszali, chciałyby ich jak kwoka bezpiecznie osłaniać skrzydłami.

Przyjechali ekspresem. Piotruś przespał całą podróż. Za wcześnie musiała go obudzić.

Bardzo się śpieszyli, taksówka czekała już na dole, lecz Michał uparł się, że trzeba koniecznie zapakować i zabrać rysunki małego. Piękne kolorowe elfy, całe w kwiatach wśród motyli, i duże brzydkie trolle na tle groźnych gór. Piotruś namalował je dla dziadka Einara. Michał

był nimi zachwycony, uznał, że to wspaniały pomysł.

Przy okazji zobaczył również portrecik Sary z motylkami przypięty nad tapczanikiem chłopca. Popatrzył na Magdę tak jakoś ciepło i powiedział, że ma w sobie islandzką duszę, i już wie, po kim Piotruś odziedziczył talent.

Konrad miał dojechać na lotnisko ze swojego mieszkania w Warszawie. Nigdy w nim nie była. Teraz uświadomiła sobie, że to dziwne, iż nie miała pojęcia, gdzie i jak mieszkał jej mąż. Chyba nie była dobrą żoną. Powinna była zadbać o większy udział w jego życiu... Teraz często dręczyły ją takie z pozoru proste pytania: Jaka jestem? Zła czy dobra? Wartościowa czy żyjąca jak pasożyt? Na pewno była leniwa. Nie chciało jej się nawet ustalać, jakim człowiekiem była. Uznała, że to zbyt trudne. Nie, nie mogła brać na siebie całej winy za nieudane małżeństwo. To w końcu on ją zostawił z tym wszystkim! Spokojnie, teraz nie czas na... jeszcze nie wie na co. Potem o tym pomyśli.

Spotkali się na wspólnym śniadaniu w restauracji na lotnisku. Konrad pił tylko kawę, podobno zjadł w domu przed wyjściem. Wydawał jej się jeszcze szczuplejszy, a może tak tylko wyglądał przy dobrze zbudowanym Michale? Obserwowała dyskretnie obydwu. Bardzo się różnili. Konrad był krótko obcięty, ciemnym szatynem o szarych oczach. Miał szczupłą, pociągłą twarz. Ubrał się w garnitur, białą koszulę i krawat. W ręce trzymał torbę z laptopem.

Widać było, że leci służbowo, jakby prosto na salę konferencyjną.

Michał przeciwnie, był ubrany turystycznie w niebieskie dżinsy, błękitny bawełniany podkoszulek i letnią kurtkę z kapturem. Blondyn o niebieskich oczach i gęstej niesfornej czuprynie. Byli podobnego wzrostu, ale Michał wydawał się wyższy, potężniejszy.

Zastanawiała się, czym tak naprawdę kierował się jej mąż, wysyłając ją w podróż z tak przystojnym mężczyzną. Nie był zazdrosny jak inni mężowie? Może uznał, że nie jest dość ładna, by musiał się obawiać? Może już jej od dawna nie kochał? Właściwie nigdy nie rozmawiali o innych kobietach. Nie powinna mieć złudzeń, na pewno były w jego życiu. Taki młody, przystojny, na stanowisku. A może nadal jakaś jest i mieszka tam, w Nowym Jorku?

To by wiele tłumaczyło. W takim razie byłby świetnym aktorem, ponieważ niczym się nie zdradził. Czytała gdzieś, że biznesmeni, tak jak pokerzyści, muszą perfekcyjnie panować nad emocjami, specjalnie się ich szkoli. A także że w dzisiejszym biznesie honor to przeżytek, liczą się zyski, notowania. Niewiele wiedziała na ten temat. Nie miała pojęcia, jak sobie radził

Konrad, czy tak do końca uczciwie zarabiał pieniądze? Uciekała od takich myśli. Gdy żyła Sara, zostawiała te problemy na potem. A teraz ją przerażały. Może lepiej nie wiedzieć? Nie.

Właśnie z taką postawą musi walczyć. Koniec strusiej metody, powinna być świadoma wszystkiego, mieć oczy i uszy otwarte.

Konrad był dla niej wielką zagadką. Paradoksalnie, znacznie większą niż na początku ich znajomości. Dzisiaj na przykład wzbudzał w niej mieszane uczucia. Żal i niechęć mieszały się w niej ze współczuciem i z troskaniem. Naprawdę wyglądał na chorego, chyba źle się czuł. Dobrze, że będą go leczyć w tej Ameryce. Żeby to tylko nie było nic poważnego.

Miała dosyć chorób i śmierci.

Co za myśli ją naszły? Przecież była na lotnisku, przed nią wspaniała wyprawa do nieznanego kraju, powinna się cieszyć. Wystarczyło popatrzeć na Piotrusia, aż kipiał energią i radością. Dosłownie zachłystywał się wszystkim. Szczęśliwe dziecko.

Konrad patrzył, jak jego najbliżsi odchodzą. Michał i Magda, a między nimi trzymany za rękę Piotruś. Zacisnął zęby z całej siły. Oni wyglądali wspaniale, jak sympatyczna, kochająca się rodzinka. On ledwo panował nad uczuciem żalu i wściekłości.

Malec był tak podekscytowany podróżą, lotniskiem i samolotami, że stale im gdzieś znikał. Bez przerwy musieli go szukać. Jego czerwony plecak tylko migał w tłumie. Chłopiec nie rozstawał się z

aparatem fotograficznym, co chwila błyskał flesz. Zadawał mnóstwo pytań, na które Konrad starał się spokojnie odpowiadać. Dopiero gdy przyszedł czas pożegnania, przycichł. Długo tulił się do taty. Konradowi ciężko było się z nim rozstać. Jego kochany synek, te błyszczące, żywe oczka, rumiane policzki i ta zachłanność na wszystko.

Ten dzieciak to gejzer energii. Bystry, spostrzegawczy, myślący. Superchłopak, jego syn.

Wodził za nim wzrokiem, starając się jak najwięcej zapamiętać. Czy jeszcze go zobaczy?

Natomiast Magda była dzisiaj wyciszona, często się zamyślała. Pewno na swój sposób przeżywała tę podróż. To w końcu jej pierwsza wyprawa. Tak ładnie wyglądała w garsonce z szarej wełny i czarnym golfie. Taka szczupła, elegancka. Jego żona. Przez ramię miała przewieszoną torbę z laptopem Piotrusia. Zaaferowana, niespokojna, chciała mieć wszystko i wszystkich pod kontrolą.

- Dbaj o siebie - poprosiła. - Nie pracuj tyle i dzwoń do nas, chcę wiedzieć na bieżąco o wynikach badań i diagnozie. Szkoda, że nie możesz lecieć z nami.

- Będziemy cały czas w kontakcie - zapewniał ją. - O nic się nie martw, wszystko jest pod kontrolą, miłej podróży. Takie jest życie, nie zawsze ma się to, co by się chciało.

Następnym razem się uda.

- Tak myślisz?

- Na pewno! - Uśmiechnął się.

- No to do zobaczenia, Konradzie. Wylatujesz za dwie godziny? Tak się rozlatujemy w różne strony świata. Dziwne, nie uważasz?

- Ależ skąd. W dzisiejszych czasach to normalne - przekonywał ją. - Kobiety dużo podróżują i to często służbowo, chciałyście emancypacji, to ją macie. - Znow poślął jej uśmiech.

- Pewno masz rację. - Nie była jednak przekonana. Ona musiała się uczyć świata od nowa, tak bardzo się zmienił przez te kilka lat jej zamknięcia w domowym kokonie. Przytuliła się do niego, pocałowali się.

- Ślicznie wyglądasz - wyszeptał tak jakoś ciepło. - Kocham cię. - Zaskoczył ją, tak dawno tego nie słyszała. Odchodząc, pogłaskała go po wychudzonym policzku. Jak go zrozumieć?

I jeszcze chwila z Michałem. Do tej pory trzymał się z boku, niewiele mówił, ale był czujny, widać było, że ma wszystko pod kontrolą.

- Opiekuj się nimi.

- Jasne, obiecałem ci to. Możesz być spokojny.

I mocny uścisk dłoni, potwierdzenie niepisanej umowy.

Potem kołowanie na pas startowy, ryk silników i samolot zniknął za horyzontem.

Konrad nagle poczuł się bardzo zmęczony, emocje gwałtownie opadły. Już nie musiał się uśmiechać, udawać, że dobrze się czuje. Najtrudniej było mu grać rolę wdzięcznego za opiekę nad rodziną. Cały czas był cholernie zazdrosny. Tak silnie przeżywał to pierwszy raz w życiu. Nie mógł znieść myśli, że ten młody, przystojny, zdrowy facet stoi obok jego żony!

Trzyma za rękę jego syna! Oddałby wszystko, by być teraz z nimi.

Chwilami nie mógł uwierzyć, że wysłał Magdę na koniec świata z kimś takim, chyba zwariował. Żaden normalny mężczyzna by tego nie zrobił, nawet gdyby był pewny wierności żony tak jak on. Ale coś mu mówiło, że to było najlepsze, co mógł dla nich zrobić.

Z trudem odwrócił wzrok od płyty lotniska. Poczuł się jak ktoś, kto dotarł do mety po bardzo wyczerpującym biegu. Nawet nogi go bolały. Z wysiłkiem przeszedł do kawiarni.

Obawiał się, że te dwie godziny czekania na samolot zupełnie wyczerpią jego siły. Dawno nie czuł się tak źle. Marzył już tylko o tym, by znaleźć się pod opieką doktora Seana Courteneya.

Usiadł przy stoliku, zamówił kawę i otworzył laptop. Jak zawsze, szybko pochłonęły go sprawy firmy.

Konrad rozsiadł się wygodnie w fotelu. Zamówił wodę z lodem i przymknął oczy. Tak dobrze byłoby

zasnąć i obudzić się w Nowym Jorku. Nigdy mu się to nie udawało, w podróży był zbyt czujny. Tym razem jednak zawładnęła nim dziwna ociężałość. Rozluźnił krawat i podłożył sobie poduszkę pod głowę. Jego obolałe ciało poczuło się lepiej.

Nie wiedział, jak długo byli już w powietrzu, gdy zobaczył narastającą światłość z lewej strony. Nie miał siły otworzyć oczu. Jasność nasiliła się, zacisnął powieki i wtedy zobaczył ją wyraźnie.

Szła w jego stronę w białej sukience. Jasne włosy splecione w dwa warkocze.

Uśmiechała się. Sara, jego córeczka. Zatrzymała się i wyciągnęła do niego rączki. Czekąca.

A on znowu nie chciał być z nią, bo znowu się bał. Całe życie uciekał przed tym dzieckiem i wszystkim, co ze sobą niosło. Była tą jego częścią, którą stale instynktownie odrzucał. Była chorobą, niezasłużonym cierpieniem, poczuciem klęski. Wcale nie odczuł ulgi, gdy umarła, nie pozbył się wyrzutów sumienia. To wszystko w nim tkwiło, jakby śmierć nie ucinająca wszystkiego. W dodatku poczucie winy i rozpacz odbierało życiu wszelki smak.

- Odejdź - poprosił.

Uśmiechnęła się i znikła.

Rozdział 26

Michał czuł dziwne podenerwowanie, gdy tylko pomyślał o Konradzie. Ściskając jego dłoń na pożegnanie, widział, że jest bardzo źle. Obawiał się najgorszego. Ciężko mu to, że nie może powiedzieć o tym Magdzie. Gdyby coś się stało, spadłoby to na nią jak grom z jasnego nieba.

Przekonywał Konrada, by delikatnie przygotował żonę na taką ewentualność, ale ten nie chciał o tym słyszeć. Przeciwnie, wymógł na nim zachowanie ścisłej tajemnicy. Trudno, umowa to umowa. Będzie, co ma być. Dziwne są układy w niektórych związkach. Wydawało mu się nie do pomyślenia, by on sam mógł ukrywać coś takiego przed żoną. Szczerość, uczciwość w związku uważał za podstawę.

Z każdą mijającą chwilą oddychał swobodniej, uświadamiał sobie, że zbliżają się do Islandii. To już ostatni etap. Z Kopenhagi wylecieli punktualnie. Magda z o wiele większą swobodą poruszała się po terminalu i z uśmiechem wsiadała do samolotu linii Iceland Express. Jakby oddalając się od domu, odcinała się od wszystkich problemów, zahamowań i lęków. Szybko przystosowywała się do nowych warunków. Zaczęła cieszyć się podróżą, interesowała się wszystkim, co ją otaczało.

Michał tęsknił już za widokiem swojej drugiej ojczyzny, cieszył się na spotkanie z dziadkiem i przyjaciółmi. Wiedział, że zrobi wszystko, by jego podopieczni zachwycili się i polubili ten kraj, bo był tego wart.

Patrzył z uśmiechem na Piotrusia, który komentował z wielkim zaaferowaniem wszystko, co dojrzał przez okno. Od czasu do czasu chmury znieścacka rozstępowały się, pokazując jakieś szczyty gór. Często same chmury tworzyły niesamowite kształty. Piotruś uwieczniał to swoim aparatem.

Magda siedziała ze słuchawkami na uszach, słuchała muzyki i uśmiechała się.

Wyglądała na odprężoną, tylko przy starcie kurczowo trzymała go za rękę.

Bardzo mu zależało, by misja Magdy się powiodła. To wszystko również dla niego było niesamowite, te ich dziwne sny. Nie miał pojęcia, czego się spodziewać. Kilka razy był

w tym kościele, ale nigdy nie doznał jakiegoś objawienia, nie zauważył żadnych szczególnych znaków. Nie słyszał też o żadnych cudach, ale nigdy wcześniej się tym nie interesował. Dla niego większą tajemnicą była sytuacja, w której się znalazł. Zastanawiał się, czy jego obecność przy boku Magdy była przypadkowa, czy ich losy zostały splecione na czas podróży, czy... Pomyślał, że właściwie całe życie człowieka składało się z takich zbiegów okoliczności i przypadków. Trudno by mu było skonkretyzować to, co w tej chwili czuł. Na pewno dużą odpowiedzialność - chciał ich nie tylko chronić, ale także sprawić, by byli zadowoleni, szczęśliwi. Siedząc tak blisko niej, doznawał jednocześnie jakiegoś wewnętrznego samozadowolenia, coś się w nim uśmiechało, wyzwalało czułość i delikatność - coś nim zawładnęło. Wszystko wskazywało na to, że jego mózg wytwarzała zwiększone dawki endorfiny.

Rozbawiony uśmiechnął się do swoich myśli.

- Czy podać państwu coś do picia? - zapytała stewardesa. - Kawa, herbata, sok?

- Piotrusiu, napijesz się? - zwrócił się do chłopca.

- Nie, dziękuję, ale zjem tamtego batonika. - Chłopczyk pokazał palcem, robiąc jednocześnie zdjęcie stewardesie.

Magda pokręciła przecząco głową i zamknęła oczy.

- Poprosimy o batonik - powiedział z uśmiechem Michał.

- Życzę państwu przyjemnego lotu - pożegnała się uprzejmie stewardesa.

Michał oparł się wygodnie, przymknął oczy i uśmiechnął się. Spodobało mu się to „życze państwu”.

- Prosimy zapiąć pasy. Za chwilę wylądujemy na lotnisku w Keflaviku - ogłosiła stewardesa.

Michał sprawdził zapięcie Piotrusia i Magdy. Cieszył się, że za chwilę uściska dziadka Einara. Rozmawiał z nim długo przez telefon kilka dni temu, wtajemniczył ze szczegółami w całą tę sytuację. Staruszek bardzo się przejął i obiecał swoją pomoc. Ciągle martwił się też o Johannę, ale przede wszystkim był szczęśliwy, że tak niespodziewanie szybko zobaczy wnuka. Umówili się, że będzie czekał z samochodem na lotnisku i odwiezie ich do hotelu w Rejkiawiku.

Michał zamówił apartament w Castle House. Miasto dysponowało wieloma hotelami, było w czym wybierać. Zależało mu nie tylko na wygodzie - chciał, by Magda mogła się poczuć trochę jak w domu. W Castle House wynajmowano apartamenty z doskonale wyposażonym aneksem kuchennym i komfortowym salonem oraz dostępem do internetu, co było ważne dla Piotrusia, który chciał mieć możliwość kontaktu z ojcem. Plusem tego hotelu było również to, że znajdował się w spokojnej dzielnicy, ale blisko centrum. Do wszystkich atrakcji miasta można było dojść spacerkiem. Dla siebie wynajął pokój w innym hotelu, dwie przecznice dalej. Nie chciał im narzucać swojego towarzystwa, a poza tym uznał, że to spodoba się Konradowi.

Poczuł dłoń Magdy. Uśmiechnął się. Zamknął ją w swoich dłoniach i uścisnął. Silniki ryczały, samolotem wstrząsało, w końcu osiadł na pasie.

Formalności nie trwały długo. To lotnisko dysponowało tylko jednym terminalem, w porównaniu z kopenhaskim było o wiele mniejsze.

Z kawiarni wyszedł wysoki mężczyzna i skierował się w ich stronę. To dziadek Einar.

Jego białe, gęste włosy i równie biała broda ostro odcinały się od ciemnej skórzanej kurtki i grubego granatowego swetra. Rozpięty zamek błyskawiczny odsłaniał futerko, którym kurtka była podszyta.

Podniósł prawą dłoń, pomachał i zatrzymał się. Czekał, aż dojdą do niego.

- Dziadek Einar? - Piotruś zatrzymał się przed nim, wyciągnął rękę i przedstawił się: -

I am Peter.

- *O, yes!* Witam na Islandii - powiedział mężczyzna po polsku i potrząsnął dłonią chłopca.

Michał dokończył prezentacji i przejmując rolę przewodnika, wskazał kierunek marszu w stronę postaju taksówek.

- Nie, Michale, nie tędy - zawrócił go Einar. - Jest pilna sprawa. Gestem zaprosił

wszystkich do kawiarni. Przy dużym stoliku kelnerka podała wcześniej zamówiony czajnik z herbatą, a na talerzach leżały kanapki i ciasta. Piotruś pierwszy sięgnął po ciasto, wszyscy poczuli się trochę głodni.

- Musisz wiedzieć, że wczoraj Fridrik szukał konia, chociaż była mgła - zaczął swoją opowieść. - Znalazł go, ale w drodze powrotnej zgubili się. Zejście ze wzgórza było zbyt strome, koń spłoszył się trochę i przyparł Fridrika do skały. Kto tam wie, co naprawdę się wydarzyło? Znasz Fridrika, jest uparty jak osioł. Twierdzi, że nic go nie boli, ale nie daje się dotknąć. Nie chce słyszeć o lekarzu. Powiedział, że jak przyjedzie Michał, to go obejrzy.

Widzę, że cierpi, ale z upartym nie pogadasz. Pomyślałem, że do hotelu możecie pojechać później. Rejkiawik wam nie ucieknie, zatrzymacie się w domu Na Skale na początek wyprawy po Islandii. Mam rację?

Michał popatrzył mu w oczy i zrozumiał - dziadek miał już jakiś plan. Uśmiechnął się i omówił sprawę z Magdą i Piotrusiem. Zgodzili się.

Silny wiatr uderzył w nich, gdy opuszczali budynek lotniska. Było chłodniej niż w Warszawie, ale zdążyli się już przebrać w Kopenhadze. Dotarli do awionetki.

Magda z przyjemnością wciągnęła powietrze, czyste, rześkie. Czuła, że oddycha jej się o wiele lżej niż w Polsce. Zniknęło też uczucie zmęczenia podróżą. Michał opowiadał

o tym zbawiennym wpływie nieskażonego powietrza, ale nie wiedziała, że zadziała tak szybko.

Piotruś cały czas robił zdjęcia. Pod nimi rozciągały się porośnięte soczystą trawą pastwiska, pola lawowe i niezliczona liczba wodospadów. Olbrzymie przestrzenie, skały, lodowce i brak jakichkolwiek ludzkich osiedli.

Po półgodzinie wylądowali na bazaltowej pustyni. Czekali na nich jacyś ludzie.

Załadowano awionetkę na pakę i przewieziono na farmę.

Magda miała wrażenie, że gra rolę w jakimś niesamowitym filmie przygodowym.

W ciągu zaledwie kilku godzin została przeniesiona w zupełnie inny świat. To, co ją otaczało, w niczym nie przypominało znanej jej rzeczywistości. Począwszy od wiatru, który targał jej włosami i pachniał wodą i solą, poprzez krajobrazy zaskakujące stale zmieniającymi się formami, po ludzkie twarze, ogorzałe, wysmagane wiatrem, przyglądające się jej uważnie błękitnymi oczami. Ścisnęła na powitanie spracowane szorstkie męskie dłonie, przypominała sobie opisy takich rąk w skandynawskich sagach. Widziała, jak przenosili wzrok z niej na Michała i kiwali znacząco głowami. Nie musiała znać ich języka, by zrozumieć te gesty.

Samochodami dotarli na farmę. Piotruś piszczał z radości, pokazując jej stado kuców za ogrodzeniem. Jeden szczególnie mu się spodobał, prawie biały, a właściwie jasnokremowy, z długim do ziemi ogonem.

- Ten jest mój, chcę się z nim zaprzyjaźnić. Będę mógł? Proszę - zwrócił się do Michała.

- To jest ona, Princess - wyjaśnił. - Myślę, że jak cię polubi, to będziesz mógł na niej pojeździć. Porozmawiaj o tym z dziadkiem Einarem.

Michał pomógł Magdzie wysiąść. Sięgnęła po torbę z laptopem i czerwony plecak syna. Piotruś stał już w towarzystwie mężczyzn i przyglądał się, jak wtaczano awionetkę do hangaru. Odwróciła się i zapatrzyła na dom Na Skale. Nazwa odzwierciedlała rzeczywistość.

Prostokątny, długi, stał po skosie, częściowo zwrócony w stronę zatoki. Za nim piętrzyła się stalowa w kolorze skała.

Niewielki ganek miał kilka kamiennych schodków prowadzących do wnętrza. Drzwi zostawiono otwarte. Zapalone światło zapraszało do środka.

- Wejdzmy - zaproponował Michał. - O Piotrusia się nie martw. Wszyscy będą go pilnowali, jest bezpieczny. W Islandii dzieci są najważniejsze, wszystkie są kochane i nie ma podziału na moje czy nie moje.

Weszli do pomieszczenia, w którym mieszkańcy zdejmowali kurtki i płaszcze.

- Ściągamy buty? - zapytała.

- Jest tu taki zwyczaj, ale nie dotyczy gości. - Uśmiechnął się rozbawiony.

- Lepiej zdejmę. Usiadła na drewnianej ławie i rozwiązała sznurówki traperów. Michał poszedł w jej ślady, cały czas się uśmiechając.

Przeszli do olbrzymiego pokoju. Podeszła nieśmiało do kamiennego kominka, w którym palił się ogień. Nad kominkiem wisiał duży portret mężczyzny. Jego wzrok przykuwał uwagę. Niebieskie oczy, gęste siwe włosy i wąsy. W uchu złoty kolczyk.

- To mój pradziadek - wyjaśnił Michał.

- Ma coś z pirata - zażartowała.

- Trochę pirat, trochę wiking. Rogata dusza. Jedno mnie pociesza, przyjrzyj się. Moi przodkowie nie łysieli. - Roześmiał się.

Popatrzyła na jego gęstą jasną czuprynę, białe zęby i te błękitne oczy.

- Masz dobre geny - stwierdziła z uśmiechem. Świetnie wyglądał w grubym granatowym swetrze i dżinsach. Miał zdrowe, silne, dobrze zbudowane ciało. Doskonale pasował do tego klimatu, do tego wnętrza. Omiotła wzrokiem pokój. Skórzane fotele, dębowe stoliki i kredensy. W dalszej części owalny stół nakryty białym obrusem, przygotowany do posiłku dla kilku osób.

- Ten dom musi być stary. Jest po prostu wspaniały - szepnęła zachwycona.

- Tak. Ma już ze sto lat. Kiedy tu przyleciałem po raz pierwszy, miałem wtedy siedem lat, od razu poczułem, że jestem w domu. Nigdy nie powiedziałem o tym moim rodzicom. Nie chciałem im robić przykrości. Mieszkaliśmy w ciasnym mieszkaniu, z którego byli tacy dumni. Uznałem, że Islandia, dom dziadków to kraina z baśni, w którą chłopaki z podwórka i tak by nie uwierzyli.

- Witajcie, witajcie w domu. Na pewno jesteście głodni, za chwilę będzie kolacja. -

Kobieta szła w ich stronę, uśmiechając się coraz szerzej.

Michał wyszedł jej naprzeciw i przytulił mocno. Objęci podeszli do Magdy.

- To Magda. Przyleciała zobaczyć Hallgrímskirkja, a to moja druga mama, Ardis, żona Fridrika Arnarsona. Zaraz nas nakarmi, bo uwielbia to robić. - Mówiąc to, patrzył na o wiele niższą, pulchniutką kobietę z czułością i ciepłem.

- Witam w domu Na Skale. - Podała Magdzie ciepłą, miękką dłoń.

- Bardzo mi miło. Jestem oczarowana tym... wszystkim - przywitała się Magda.

Nagle pokój zapełnił się ludźmi. Mężczyźni wchodzili od strony jadalni i z sieni.

Piotruś, podskakując, podbiegł do kominka.

- Mamo, tu jest wspaniale! Jeszcze nie zdążyłem wszystkiego zobaczyć. Tutaj wszystko jest takie inne!

- Spokojnie. - Próbowała wyhamować jego entuzjazm. - Masz rację, tu jest pięknie.

Idziemy do łazienki. - Popatrzyła na Michała, który poszedł z nimi w głąb domu.

Kiedy wielodaniowa kolacja dobiegała końca, Piotruś zasypiał na siedząco.

- Czas do łóżka - zwróciła się Magda do syna.

- Ale jeszcze nie jest ciemno, jeszcze świeci słońce.

- Kochanie, to jest taki kraj, w którym cały czas jest jasno, nocy nie będzie - tłumaczyła.

- Ja się nim zajmę - zaproponował Michał. - Wszystko mu wyjaśnię. - Postawił chłopca na krześle i zabrał go na barana.

Towarzystwo przy stole świetnie się bawiło. Rozmawiali, przekrzykiwali się, wybuchi śmiechem. Wyczuwało się między nimi wielką zażyłość. Magda uśmiechała się nieśmiało. Język islandzki był nie do powtórzenia. Zwracano się do niej po angielsku, ale rozumiała tylko pojedyncze wyrazy, krótkie zdania. Dziadek Einar znał trochę język polski.

Tłumaczył to, co trzeba. Chciał jej nalać piwa lub wódki, ale odmówiła. Czuła się już bardzo zmęczona. Nie mogła się połapać, która jest godzina. Wydawało jej się, że bardzo dawno temu opuściła Polskę. Wszystkie problemy stamtąd odpłynęły, straciły jakby rację bytu.

Wrócił Michał, nachylił się nad jej głową i powiedział, że mały już śpi i jeżeli czuje się zmęczona, to odprowadzi ją do jej sypialni. Było już późno.

W drodze do pokoju powiedział jej, że dzwonił do hotelu i uprzedził, że chwilowo nie przyjadą, ale nie zwolnił pokoju. Sami zdecydują, kiedy tam dotrą. Podał im numer telefonu, pod który mają przekazywać wszystkie dotyczące ich wiadomości. Tutaj niestety telefony komórkowe najczęściej są poza zasięgiem. Zatrzymali się przed drzwiami sypialni.

- Dziękuję ci, Michale. Tu wszystko jest jak w bajce. Nie wyobrażałam sobie, że może być tak pięknie.

- Niewiele zdążyłaś zobaczyć i jesteś tak zmęczona, że za chwilę zaśniesz na stojąco - powiedział z czułością w głosie. - Śpij spokojnie. Ten dom to najbezpieczniejsze miejsce na świecie. Dowiedziałem się tego od babci, a ona wiedziała, co mówi. - Uśmiechnął się.

Leżała na wygodnym materacu i pomimo ogromnego zmęczenia nie mogła zasnąć. Na drugiej części małżeńskiego łóżka spał Piotruś, posapując przez sen. Rączki miał szeroko rozłożone, a policzki zaróżowione. Uśmiechnęła się, przypominając sobie jego entuzjazm -

chciał być wszędzie jednocześnie, zobaczyć jak najwięcej. Wszystko było wspaniałe i inne!

Tak, podzielała jego uczucia, to był inny świat. Sama poczuła się jak mała dziewczynka, którą położono do łóżka, chociaż za oknem niebo było błękitne. W domu wszystko ucichło, pewno mieszkańcy poszli już spać. Wiatr napierał na szyby i wyraźnie słyszała szum morza. Zamknęła oczy, mając nadzieję, że te odgłosy ukołyszają ją do snu. I tak się stało.

Rozdział 27

Kinga szła wolno w stronę dyżurki, skończyła poranne zabiegi i marzyła o mocnej kawie. Wczoraj dosyć późno położyła się do łóżka. Była na randce z Grzegorzem, trzeciej i ostatniej. Nie zamierzała poświęcać mu więcej czasu. Facet okazał się wyjątkowo nudny, wlepiął wzrok w jej biust i to było wszystko, na co go było stać. Przez dwa wieczory wysłuchiwała jego narzekań. Smutnym, wypranym z emocji głosem krytykował wszystko i wszystkich. Wiecznie z czegoś niezadowolony. Jej próby zmiany tematu wystarczały na krótko. Kilka razy udało jej się nawet wywołać na jego twarzy coś w rodzaju uśmiechu, ale w końcu miała dosyć udowadniania trzydziestolatkowi, że życie jest piękne i ma sens.

To Ola jej go podsunęła, facet jeździł nowym volvo i nie brakowało mu forsy. Nawet nie był specjalnie skąpy - zapraszał na kolacje do dobrych restauracji, przysyłał kurierem kwiaty - ale litości, po każdym spotkaniu musiała poprawiać sobie nastrój, bo czuła się jak wyżęta szmata. To był jakiś wampir energetyczny, wysysał z niej całą radość życia. Zresztą wczoraj też wydawał się znudzony, coś tam bąkał, że musi wyjechać na dłużej w interesach.

I dobrze, krzyżyk na drogę - jak mawiała jej babcia. Pozwoliła mu się całować i pomiętosić piersi na pożegnanie. Do seksu nie dążył, czego trochę żałowała, wczoraj. Dzisiaj cieszyła się, że na tym się skończyło, bo właśnie uznała, że nie chce się z nim więcej spotykać. Nudny dupek, szkoda, że bogaty, bo trochę żal.

- Kinga, chodź szybciej - ponaglała ją pielęgniarka Wiola. - Dzwoni jakaś kobieta. Nic nie rozumiem, ty znasz angielski. Pyta o doktora Tarnowskiego.

„A to ciekawe!” - pomyślała, sięgając po słuchawkę. Parę dni temu Ola opowiedziała jej o niespodziewanym spotkaniu z Michałem.

Rozmowa okazała się jeszcze bardziej intrygująca, niż mogła przypuszczać. Johanna jakaś tam dzwoniła z Islandii. Wcale nie wypytywała o Michała, tylko o kobietę z dzieckiem, z którą przyleciał na wyspę. Była bardzo bezpośrednia w rozmowie, nie bawiła się w zbędne grzeczności. Kinga domyśliła się, że rozmawia z kolejną, tym razem islandzką dziewczyną doktorka. W poczuciu kobiecej solidarności i z powodu osobistej zemsty opowiedziała jej wszystko, co wiedziała na ten temat. Jak dobrze, że Ola podrzuciła jej te newsy.

Rozmówczyni ostrymi słowami oceniła mężatki obarczone dziećmi, którym wszystkiego w życiu było za mało. Pazerne, chciwe i nienasycone, zrobią wszystko, by usidlić atrakcyjnego mężczyznę. Nie cofną się przed niczym, nie mają godności i są wyjątkowo perfidne. Podstępne Polki!

Tu Kinga postanowiła zaprotestować, że Polki wcale nie były wyjątkami. Johanna łaskawie przyznała jej rację. Nie mogła tylko zrozumieć, dlaczego Michał przyleciał na wyspę z kobietą. Nie wozi się drzew do lasu. I w tym punkcie się zgadzały.

Niestety, sama nie знаła szczegółów, a bardzo chciałyby je poznać. Jej osobiście Michał nigdy nawet nie wspomniał o takiej podróży. Zabolało.

Beztróskim głosem dodała, że doktor Tarnowski już taki jest - lubi towarzystwo kobiet, to przecież atrakcyjny mężczyzna. W Polsce słynie z tego, że fruwa z kwiatka na kwiatek. Johanna podziękowała jej za informacje i rozłączyła się.

- O czym tyle gadałyście? - zapytała Wiola.

- No, wiesz, dzwoniła narzeczona doktora, Islandka. Wściekła jak osa, bo dowiedziała się, że przyleciał tam z jakąś kobietą. Chciała wiedzieć, co to za jedna - wyjaśniła Kinga.

- Coś takiego? A ty wiesz, z kim poleciał?

- No coś ty, skąd miałabym wiedzieć? Zapewniłam ją tylko, że to żadna z nas, no wiesz, żadna ze szpitala.

- To się w końcu dograł. - Wiola roześmiała się.

- Chyba tak. Ta Johanna wygląda mi na ostrą kobietę. Myślę, że da mu popalić.

Kinga z przyjemnością piła swoją mocną kawę. Miała o czym myśleć. Przypomniała sobie rozmowę telefoniczną sprzed kilku dni. Ola dzieliła się przeżyciami: - Wyobraź sobie, oglądam te głupie motocykle. Mój siostrzeniec próbował włączyć na każdy, musiałam mieć oczy naokoło głowy. I kogo zauważyłam? Tarnowskiego! I nie był

sam, kręcił się koło niego taki wygadany sześciolatek. Zadawał mu strasznie dużo pytań, a on cierpliwie na wszystkie odpowiadał. Widać było na oko, że się dobrze znają i lubią. Na szczęście było dużo ludzi i mogłam podejść bardzo blisko. No i co się dowiedziałam?!

Trzymaj się, Kinga. Doktorek leci na Islandię z tym chłopczykiem i jego mamą. Mały pytał

go, czy tam też jeżdżą na motocyklach, a on mu powiedział, że tak i to dużo, ale on osobiście woli jeepem albo konno. Coś tam mówili o siostrze chłopca, która niedawno umarła i nie może z nimi lecieć. Pewnie była pacjentką doktora. A, i jeszcze obiecał małemu, że na dobranoc opowie mu o jakichś elfach czy coś takiego. Rozumiesz. Kładzie małego do łóżka -

dodała z naciskiem. - To mi wygląda na coś poważnego.

Oczywiście, że to sprawdziła. Sara Kostrzewska. Michał miał u niej dużo wizyt domowych. No tak, to dlatego nie zauważyła wcześniej, że coś się święci. Dobrze, że to nie któraś ze szpitala, tego by nie zniosła. Ta Kostrzewska była mężatką. „Czyżby doktorek gustował w mężatkach z dziećmi? No, ale ta Islandka mu nie podaruje. Nieźle się wkurzyła -

pomyślała z satysfakcją. - I jeszcze ją podkreśliłam”. Uśmiechnęła się zadowolona.

- Kinga, pacjentka spod czwórki pilnie cię wzywa. - Wiola przerwała jej rozmyślenia.

- Już idę.

Rozdział 28

Usłyszała krzyki, pełne emocji, w nieznanym jej języku. Gwałtowne trzaśnięcie drzwiami i płacz. Rozdzierający, spazmatyczny płacz kobiety.

Usiadła na łóżku zdeorientowana. Nasłuchiwała, serce biło jej jak szalone. Teraz słyszała tylko morze. Szum fal rozbijających się o brzeg. Była pewna, że stało się coś złego.

Piotruś! Odwróciła się gwałtownie. Jego część łóżka była pusta, zniknął też stosik ubrań z krzesła pod ścianą.

Wyskoczyła z pościeli, zdjęła piżamę i naciągnęła spodnie. Ręce trzęsły jej się ze zdenerwowania. Jeszcze sweter. Podwijała golf na szyi, gdy usłyszała śmiech syna.

Przekomarzał się z Michałem. Zbliżali się. Ktoś zapukał, zanim zdążyła odpowiedzieć, drzwi otworzyły się szeroko i wpadł Piotruś. Michał zatrzymał się w progu.

- A mówiłem, że już nie śpi? - Chłopiec odwrócił się w stronę drzwi z miną wszechwiedzącego.

- Dzień dobry - powiedziała Magda.

- Dzień dobry - odpowiedział Michał. - Jak się spało? Miałaś jakieś sny?
- Dziękuję, dobrze. A sny? Niestety, nie pamiętam.
- Mamusiu. - Piotruś przytulił się do niej. - Będę mógł pojechać na koniku? Proszę, proszę.
- Zaraz, spokojnie. - Magda potrzebowała trochę czasu, by zapanować nad tempem zdarzeń.
- Może ja wyjaśnię - odezwał się Michał. - Islandzkie konie to takie większe kuce, tylko nie można nazywać ich kucami w towarzystwie Islandczyków, to im się nie spodoba.

Mają bardzo łagodne usposobienie, chętnie współpracują z człowiekiem. Na tej farmie są specjalnie trenowane, by służyły do hipoterapii. Jestem pewien, że Piotrusiowi nic złego się nie stanie, a będzie miał okazję pojechać na koniu.

- Mamusiu, proszę. - Patrzył jej błagalnie w oczy.
- Nie tak nerwowo. Najpierw trzeba zjeść śniadanie...
- Już dawno zjadłem - przerwał jej zniecierpliwiony.
- No dobrze, zgadzam się - westchnęła pokonana.
- Dziękuję! - Piotruś zarzucił jej rączki na szyję, cmoknął w policzek i wybiegł z pokoju.
- Bez obaw. - Michał uśmiechał się. - Tam się nim zajmą, to naprawdę bezpieczne.
- Dziękuję, że poświęcasz mi tyle czasu. To właściwie moja rola, ale chyba zasnęłam. Długo nie mogłam zasnąć.

- Wszyscy przyjezdni mają z tym problemy. Ja też. Nie jesteśmy przyzwyczajeni zasypiać, gdy niebo jest błękitne. Może zjesz śniadanie? Czeka na ciebie w jadalni.

- Trochę później. - Uśmiechnęła się. - Muszę się ogarnąć.
- To nie przeszkadza.

Magda ostrożnie schodziła na kamienistą plażę. Morze przywoływało ją zapachem wodorostów i soli, który wnikał do jej wnętrza z każdym oddechem. Cały ranek podziwiała jego piękno z tarasu domu. Czuła, że działa na nią w jakiś magnetyczny sposób. Odprężało, a jednocześnie pobudzało do działania. Próbowwała namówić na spacer Piotrusia, ale on był tak pochłonięty końmi, że przestała dla niego istnieć. Widziała, że dobrze się czuje z mężczyznami, naśladuje ich sposób poruszania się i gestykulacji. Chodził za nimi krok w krok i starał się pomagać, ale ona obawiała się, że swoimi pytaniami ich zamęczy. Michał ją uspokajał, twierdził, że w tym domu dawno nie było dziecka, więc wszyscy są zachwyceni i chętnie się nim zajmują.

Magda starała się nie zakłócać normalnego rytmu dnia tego domu. Bariera językowa uniemożliwiała jej bliższe poznanie mieszkańców. Patrzyła tylko, podziwiała, to wszystko było dla niej nowe i zupełnie inne od wszystkiego, co знаła. Stary dom miał swój niesamowity urok. Ściany były obwieszane obrazami przedstawiającymi wodospady, lodowce, skały o niesamowitych kształtach, a przede wszystkim grę światła na niebie; nie brakowało też portretów: kobiet, dzieci, mężczyzn w rybackich ubraniach na kutrach i w porcie. Wszędzie stały biblioteczki, wisiały półki pełne książek. Przypomniała sobie to, o czym opowiadał jej Michał, że większość mieszkańców rozwija w sobie jakąś twórczość.

Malowane różnymi technikami obrazy nie miały jednakowego poziomu artystycznego. To nie była twórczość jednego malarza, niektóre powstały bardzo dawno temu.

Najbardziej fascynowało ją jednak morze. Słyszała go i czuła z każdego miejsca tego domu. Pamiętała pobyty z rodzicami nad Bałtykiem jako wielkie nieustające święto. Morze było czymś wyjątkowym, czekała niecierpliwie na te wyjazdy dwa, trzy lata, bo ojciec zdecydowanie bardziej kochał góry. W jej świadomości morze utożsamiało się z beztróskim dzieciństwem, radością i w końcu największym dramatem...

Schodziła ostrożnie po nierównym podłożu. Często się zatrzymywała i podziwiała krajobraz bez końca. Nie czuła lęku, chociaż jeszcze nigdy nie otaczała jej tak dzika przyroda.

Przyglądała się rozkołysanemu morzu. Długie wysokie fale rozbijały się o skały i rozpryskiwały w powietrzu białą pianę.

Udało jej się zejść na coś w rodzaju plaży. Pod butami chrzęściły kamyki, muszle i ciemnozielone wodorosty. Woda na kamieniach lśniła w słońcu jak diamenty. Oczarowana podeszła do linii wody, ale szybko musiała uskoczyć - następna fala zalała jej buty. Wiatr targał włosami, pchał ich końce do oczu. Była pod dużym wrażeniem tej dzikości krajobrazu.

Ostre, nagie skały, morze napierające na brzeg, błękitne niebo, bez jednej chmurki, i ona, jedyna żyjąca istota w zasięgu wzroku.

Jakiś wewnętrzny głos kazał jej iść w lewo. Maszerowała, podziwiając nierówny, wznoszący się i opadający brzeg. Głazy zagradzające jej drogę stawały się coraz większe. Już widziała koniec zatoczki. Wysokie skały wysuwały się daleko w morze. Zastanawiała się, czy nie zawrócić, ponieważ coraz częściej nogi obsuwały jej się na mokrym podłożu. I wtedy ją zauważyła.

Na wysokiej skale stała kobieta przechylona w stronę spienionej wody. Wiatr rozwiewał jej długie włosy, podrywał w górę spódnicę.

Magda zastygła w bezruchu, wstrzymała oddech. Była przekonana, że za chwilę kobieta runie do morza. Nagle ocknęła się, zaczęła krzyczeć i machać rękami, by zwrócić na siebie jej uwagę. Odległość była duża, morze głośno szumiało. Z wysiłkiem wspięła się na głaz, przy którym stała. Wymachiwała podniesionymi rękami i krzyczała najgłośniej, jak potrafiła. Nagle kobieta odwróciła się w jej kierunku i również zaczęła coś krzyczeć i machać rękami. Wyglądało to trochę komicznie. Dwie kobiety stojące w sporej odległości na skałach krzyczały i poruszały gwałtownie rękami.

Zobaczyła, że kobieta zeszła ze swojej skały i nadal coś wykrzykując, szła w jej stronę. Magda ruszyła ku niej. Zmierzały w swoim kierunku najszybciej, jak się dało, ale odległość musiała być znacznie większa, niż się Magdzie z początku wydawało. W końcu stanęły naprzeciw siebie. To była młoda dziewczyna. Mówiła do niej szybko po islandzku, pokazując raz morze, raz skały naprzeciw. Przeszła na angielski, Magda rozumiała tylko „morze” i że ma iść, szybko.

Twarz kobiety była mokra od łez, oczy miała podpuchnięte. Stała tam na skale i płakała, przeżywała jakiś dramat, pochylając się nad wzburzonymi falami. I może... Magda bardzo chciała jakoś okazać, że jej współczuje. Zrobiła krok do przodu i przytuliła ją mocno do siebie. Kobieta najpierw zeszywniała, a później szarpnęła się, ale Magda mocno ją przytrzymała. Mówiła do niej uspokajającym głosem, że życie jest piękne, chociaż bardzo trudne, a los nas doświadcza, czasami bardzo boleśnie, ale wszystko mija i złe chwile też odejdą w przeszłość, że nie ma sytuacji bez wyjścia, chociaż teraz z pewnością tak jej się nie wydaje.

Wiedziała, z własnych pobytów w szpitalach, że obecność drugiego człowieka, przytulenie, ciepłe słowa bardzo pomagają w najtrudniejszych momentach. Ile matek tak pocieszała, wspierała samym dotykiem, uściskiem, gdy ich dzieci odchodziły? Wiele razy sama tego doświadczała, kiedy stan Sary nagle się pogarszał.

Mięśnie dziewczyny wiotczały, w końcu wtuliła się, oparła głowę na wgłębieniu jej szyi i głośno westchnęła.

Magda nie przestawała mówić i gładzić ją po plecach. Wrócił płacz, który przerodził się w szloch, a po pewnym czasie w ciche łkanie. Magda sięgnęła po chusteczkę, przetarła mokrą twarz dziewczyny, odgarnęła jej włosy z czoła i pocałowała w wilgotny policzek.

Opowiadała o swoim rozczarowaniu, o nieprzespanych nocach, o poczuciu, że życie nie ma sensu. Czowała, że łzy spływają jej po policzkach. Patrzyły na siebie i uśmiechały się. Mówienie o własnym bólu sprawiało Magdzie ulgę, czuła jakąś oczyszczającą ją moc. Przed nikim się tak nie otworzyła. Nikomu dotąd nie opowiadała o tym, jak bardzo brakuje jej Sary.

W pewnym momencie kobieta położyła dłoń na swoim brzuchu, gestem rozpoznawanym na całym świecie. Magda położyła obok swoją i z największą czułością pogładziła go. A więc to ciąża, pewnie

niechciana, a dziewczyniewydaje się, że nie ma innego rozwiązania tylko skok do morza. Przytuliła ją jeszcze raz, mówiła o Sarze, o tym, jakim wydawała się nieszczęściem, a jak naprawdę wiele znaczyła w jej życiu, ile radosnych chwil przeżyły, jak bezgraniczną miłością ją obdarowała. Nikomu nie oddałaby nawet jednej minuty spędzonej z córeczką.

Dziewczyna wyjęła z kieszeni spódnicy jakiś papier, rozwinęła go i pokazała Magdzie. Wyglądało to na jakieś urzędowe pismo, tekst był bardzo krótki, zaledwie kilka zdań. Magda była przekonana, że tak oznajmia się najgorsze wiadomości, te zdania muszą być okrutne w swojej treści, jak wyrok, od którego nie ma odwołania. Zmięta kartkę i wyrzuciła. Dotknęła brzucha dziewczyny i tłumaczyła, wkładając w to całe swoje serce, że nie ma nic ważniejszego od tej istotki zamkniętej w jej łonie, zupełnie bezradnej. Że będzie matką, że może dać życie, a to największy, najpiękniejszy dar. Że dziecko przyniesie ze sobą problemy, ale jednocześnie obdaruje ją najszcześniejszymi chwilami, które na zawsze zmienią jej życie.

Nagle głos dziewczyny zmienił się, zaczęła gestykulować, pokazując na morze, które właśnie zwróciło im zwinięty papier, a następną falą zalało im nogi do wysokości ud. Magda, zaskoczona lodowatym zimnem, próbowała uskoczyć i wtedy się przewróciła. Teraz cała była mokra i z każdą chwilą czuła, że drętwieje z zimna.

Dziewczyna chwyciła ją za rękę i zmusiła, by szła za nią. Bez przerwy wykrzykiwała do niej angielskie słowa, ale Magda rozumiała tylko: „morze”, „musimy uciekać!”. Intonacja głosu zwiastowała jakieś zbliżające się nieszczęście. Szły, potykając się co chwila, w stronę, z której przyszła dziewczyna. Nie uskakiwały już przed falami, które zalewały im nogi po kolana, chłodny wiatr przenikał Magdę, robiło się potwornie zimno. Teraz sama zauważyła, że wody między głazami z każdą chwilą przybywało, rozumiała, przed czym ostrzegała ją ta młoda kobieta - zaczął się przypływ. Szły coraz bliżej wysokiej skarpy, a mimo to fale je dosięgały. Magda popatrzyła na morze, które parło na ląd całą armią białych grzywaczy.

Dopadł ją lęk, bała się tej masy wody, już nie zachwycała się jej urodą. Dziewczyna ponaglała ją, wskazując stromą skałę jako miejsce ratunku. Nie, to niemożliwe, by musiała się wspiąć tak wysoko. Przestraszyła się, nie poradzi sobie.

Dziewczyna chwyciła ją ponownie za rękę i poprowadziła po kamieniach, które piętrzyły się przed nimi. Nogi Magdy w mokrych traperach co chwila się obsuwały, gdyby nie pomoc, ślizgałaby się w dół.

Teraz zauważyła pęknięcie w skale przypominające komin. Przewodniczka, bez przerwy do niej mówiąc, pokazywała, gdzie ma położyć dłonie, a gdzie postawić nogi.

Kiwnęła głową, że spróbuje. Rozpoczęły wspinaczkę. Magda obserwowała ruchy kobiety. Ręce miała zdrętwiałe z zimna. Dopiero teraz zauważyła, że w kurczowo zaciśniętej dłoni trzyma zmięty papier. Włożyła go do kieszeni. Skupiła się i powoli stawiała stopy na występie skalnym.

Gdy osiągnęła połowę wysokości, dziewczyna gdzieś znikła, teraz Magda widziała nad sobą idealnie błękitne niebo. Szło jej coraz sprawniej, wystające półeczki dawały pewne oparcie dla nóg i rąk. Skupiła się na każdym ruchu, starając się nie poddać panice, która próbowała nią zawładnąć. Kiedy ponownie spojrzała w górę, zobaczyła nad sobą twarz Michała.

- Spokojnie, już prawie jesteś, nie śpiesz się - powiedział łagodnym głosem. A później jego silna dłoń podciągnęła ją do góry. Gdy stanęła na pewnym gruncie, otulił ją kocem, przyciągnął do siebie i mocno przytulił. Wtuliła się w jego ramiona. Poczwała wielką ulgę.

Rozpłakała się.

Rozdział 29

Leżała przykryta ciepłą kołdrą na granicy snu i jawy. Błogie uczucie. Michał bardzo troskliwie się nią zajmował. I to było takie przyjemne. Poczwała się szczęśliwa. Od tak dawna nie doświadczała takich uczuć.

Gdy już się przebrała, zjadła gorący rosół i połknęła jakieś tabletki, koniecznie chciała się zobaczyć z

dziewczyną, która uratowała jej życie, ale okazało się, że już wyjechała. To była Mali, córka Ardis i Fridrika Arnarsonów. Odwiedziła ojca, bo dowiedziała się, że miał

wypadek. Michał zbadał go wieczorem w dniu przyjazdu, stwierdził u niego złamane żebro i ogólne potłuczenia. Obwiązał mu bandażem elastycznym pierś i kazał leżeć.

- Wiesz, że ta dziewczyna ma wielki problem? - spytała Michała.

- Wiem, że jest w ciąży i nie chce słyszeć o ślubie, chociaż rodzice akceptują jej partnera. Jest ich jedyną córką i chcieliby zorganizować wielkie przyjęcie weselne, zgodnie z tradycją.

- A jak zareagowali na dziecko?

- W Islandii sporo dziewczyn zachodzi w ciążę przed ślubem, to nie problem. -

Zamilkł na chwilę, a potem dodał: - Myślę, że cieszą się z wnuka lub wnuczki.

- Chcę ci coś pokazać, ale przyrzeknij, że to pozostanie między nami - poprosiła, patrząc mu uważnie w oczy.

- Przyrzekam.

Wstała, podeszła do przewieszonych przez krzesło spodni, wyjęła z kieszeni mokry pomięty papier i podała mu go.

Rozwinął delikatnie, przeczytał i długo milczał.

- To coś złego, jakiś wyrok, prawda? - zapytała.

- Niestety tak. Dziecko Mali nie rozwija się prawidłowo, wszystko wskazuje na to, że urodzi się upośledzone umysłowo.

- Biedna dziewczyna - jęknęła.

- Tak. Musi podjąć decyzję, czy urodzić to biedactwo, czy nie.

- A może nie urodzić?

- Może, w Islandii ustawa antyaborcyjna nie obowiązuje. Tutaj przyszła matka ma decydujący głos.

- Czy można jej jakoś pomóc?

- Nie sądzę. Sama musi zdecydować. To jej życie.

- Myślisz, że ojciec dziecka wie, zaakceptuje?

Michał zastanawiał się chwilę.

- Na tyle, na ile znam Mali, to pewno jeszcze mu nie powiedziała. Powie, gdy już sama będzie wiedziała, co robi.

- Bardzo jej współczuję, jest taka młoda. Gdy stała tam, samotna na skale, i pochylała się w stronę morza, myślałam, że za chwilę skoczy.

- Nie zrobiłaby tego. Kobiety urodzone na tej wyspie są bardzo silne. Wiesz, gdy odjeżdżała, powiedziała mi, że bardzo jej pomogłaś w podjęciu ważnej decyzji. Teraz rozumiem.

- Tak się bałam. Groźnie to wyglądało. Ten silny wiatr, spienione fale i ona, taka drobna na tej skale.

- Tak, tutejsza przyroda jest idealną scenerią dla dramatów. A wracając do morza, czy ty masz pojęcie, na jakie niebezpieczeństwo się naraziłaś? Na tej wyspie występują dwa przypiływy i odpływy każdej doby księżycowej. Przy tak silnym wietrze poziom wody znacznie się podnosi. Gdyby nie Mali, nie zdążyłabyś zawrócić, morze porwałoby cię jak łupinę. Zresztą to moja wina, nie ostrzegłem cię.

- Teraz już wiem, że głupio zrobiłam, ale... nie wiem, jak ci to wytłumaczyć... po prostu musiałam tam iść. Sama próbuję to zrozumieć.

- Wiem, że u niektórych ludzi instynkt... przecucia... są bardzo rozwinięte. Sam tego doświadczyłem w czasie studiów, na wyprawie wspinaczkowej w Apeninach. Kiedyś ci opowiem. Pewnie masz takie zdolności. Natomiast nie wyobrażam sobie, co bym zrobił, gdyby coś ci się stało. - Zamknął jej dłoń w swoich. Trwali tak przez chwilę, patrząc sobie w oczy.

- Obiecuj mi, że będziesz mnie informowała o każdym samotnym spacerze. Nie znasz tutejszych warunków. One naprawdę są specyficzne i stwarzają wiele zagrożeń.

- Obiecuję. - Uśmiechnęła się ciepło. Nagle zapragnęła przytulić się do niego, ale nie odważyła się.

Czuła, że wytworzyła się między nimi jakaś nić głębokiego porozumienia. On chyba nie wiedział, że jest wyjątkowy.

Magda poprawiała kołnierzyk koszulki, podciągnęła spodenki syna, ale on już się niecierpliwił, śpieszył się do obory, stodoły, na pastwisko. Rzadko przebywał w domu. Odkąd tu przyjechali, jej syn zrobił się bardzo samodzielny, jakby nie była mu już potrzebna. Coś się gwałtownie zmieniło, docierało do niej, że przestaje być małym chłopczykiem. To ona miała problemy z dostosowaniem się, on w naturalny sposób wtopił się w to tak odmienne życie.

Najważniejsze były króliki, konie, koty i psy. Znał je wszystkie po imieniu, jak również domowników i pracowników farmy. Dla niego bariera językowa jakby nie istniała, posługiwał się mieszaniną polskich i angielskich słów oraz świeżo poznanych islandzkich i radził sobie zdecydowanie lepiej od niej.

Ona poznała zaledwie kilka głównych pomieszczeń w gospodarstwie. Na podwórku za domem stały obok siebie przyczepa do przewożenia koni i łódź rybacka, było sporo składzików, których dokładnego przeznaczenia nie знаła. Domyślała się, że ci, którzy zdecydowali się zamieszkać na takim odludziu, musieli być samowystarczalni. Miała wrażenie, że pomimo techniki, którą było widać na każdym kroku, panowała tu atmosfera z niedawno czytanej sagi. Ludzie byli zajęci od rana do wieczora, spotykali się dopiero przy kolacji. Próbowwała być przydatną, ale efekty osiągała marne. Szybko uznała, że najlepiej będzie dla wszystkich, jeśli postara się nie przeszkadzać. Właściwie gdy tylko Michał od niej odchodził, stawała się bezradna.

Michał był potrzebny na farmie. Badał ludzi i doglądał zwierząt. Często przychodzili do niego mieszkańcy innych farm, coś mu opowiadali, klepali go po ramieniu, często się śmiali. Był lubiany. Tutaj zawsze widywała go w dżinsach, swetrze, kurtce, nigdy w garniturze, a takim go znała od kilku lat. Czasami jeździł konno, ale najczęściej land roverem.

Po południu Piotruś miał odwiedzić najbliższych sąsiadów dziadka Einara. Tak bardzo się cieszył, bo na tamtą farmę przyjechała dwójka dzieci. Na stałe mieszkają w Keflaviku, ale wakacje spędzają u swoich dziadków. Piotruś był tak ciekawy, jacy są jego rówieśnicy, że nie mógł się doczekać lunchu.

Magdzie trudno było się pogodzić z tym, że syna stale przy niej nie było. Wyraźnie dawał jej do zrozumienia, że woli towarzystwo mężczyzn. Rozumiała to. W tej dzikiej krainie czuł potrzebę naśladowania ich. Konie, samochody, łodzie, morze, skały, dzikie rozległe tereny - to wszystko sprawiało, że do domu trafiał tylko po to, by coś zjeść i się wyspać.

Wieczorami padał wyczerpany na łóżko i zasypiał natychmiast. Musiała jej wystarczyć jego rozjaśniona twarz, rozwiane włosy widziane z daleka.

Dzisiaj Michał zorganizował wyprawę na jezioro lodowca Flaajokull. Jego kuzyn miał mały samolot i wolne popołudnie. Chciał odwiedzić swoich krewnych i dostarczyć im części do jakiejś maszyny. zaproponował im ten wypad. To była okazja, by trochę poznać ten dziki kraj. Po raz pierwszy miała się rozstać z synem na dłużej. Ufała dziadkowi Einarowi, ale lęk jej nie opuszczał. W pierwszym odruchu chciała zrezygnować z wyprawy, lecz... zwyciężyła w niej chęć przeżycia czegoś niesamowitego, zobaczenia lodowca, o którym czytała i który podziwiała na fotografiach. W końcu po to przyleciała na Islandię.

Widziała, że Michał obserwował ją i uśmiechał się. Była pewna, że doskonale wiedział, co przeżywa. Może nawet celowo tak to zorganizował? Miał rację, musi walczyć z nadopiekuńczością. Piotruś dorasta, a ona powinna stawić czoło tym paraliżującym ją lękom.

To, co zobaczyła i przeżyła, było tak niesamowite, że z pewnością nie zapomni tego do końca życia. Michał miał rację, gdy jeszcze w Polsce opowiadał jej, że jego druga ojczyzna przypomina inną planetę. Najpierw lecieli nad kamienistym wąwozem, w dole płynęła rwąca, spieniona rzeka. Skały miejscami pokrywała soczysta trawa, ale prawdziwie piękne były skalne zbocza w bajecznych kolorach: beżu,

brązu, rdzy, aż do czerwieni. Kilka kilometrów dalej zobaczyli spieniony wodospad. Złapała ramię Michała i z przejścia wbiła się w niego mocno palcami. Nad wytworzonym pyłem wodnym rozlała się tęcza. Spojrzał jej w oczy i skinął ze zrozumieniem głową. Huk wodospadu zagłuszał wszystko.

Im dalej lecieli, tym bardziej odmienny ukazywał jej się widok. Skały zmieniły kolor na granatowy, stalowy, w szczelinach leżały resztki śniegu, aż w końcu zobaczyła jezior lodowca. Wkrótce wylądowali w jakiejś zatoce. Michał zachęcił ją do spaceru wzdłuż brzegu, sam chciał pomóc kuzynowi wylądować skrzynki z towarem. Samochód po nie był już w drodze.

Szła po czarnej kamienistej plaży, wiał silny chłodny wiatr, na szczęście była odpowiednio ubrana. Powietrze było rześkie i krystalicznie czyste. Spienione fale obmywały piramidy seledynowych lodowych skał. Wielkie kawały lodu o przedziwnych kształtach i kolorach płynęły w stronę zatoki.

Nagle zza chmur przebiło się słońce i... dech jej zaparło. Różnej wielkości bryłki lodu porozrzucane po czarnej plaży zaiskrzyły się kolorami jak pryzmaty. Wędrowała oczarowana wśród tych kryształków, a chłodny wiatr studził jej rozpaloną głowę. Dla tego widoku warto było przylecieć na tę wyspę. Coraz lepiej rozumiała entuzjazm Michała.

Widziała z daleka ich zmalą sylwetki, postanowiła, że dojdzie do tej największej skrzęcej się bryłki lodu i zawróci. Żałowała, że nie wzięła aparatu fotograficznego. I nagle czar prysł, stalowe chmury zasłoniły słońce, w jednej sekundzie wszystko zszarzało. Wiatr się znacznie nasilił, wzburzone morze uderzało gwałtowniej o brzeg. Zawróciła i przyśpieszyła kroku, ciasniej zawiązała kaptur. Miała zmarznięte policzki i nos. Poczuła się opuszczona, dotarło do niej, że w tej niesamowitej krainie nie ma ludzi ani zwierząt. Gdziekolwiek by spojrzała wszędzie dzika przyroda, żadnych śladów działalności ludzkiej. Gdyby nie świadomość, że tam przed nią jest gdzieś Michał, zaczęłaby się bać. Czuła, że w takim miejscu samotność oznaczała poczucie zagrożenia i nasilającego się lęku. Człowiek nic tu nie znaczył, był bezsilny wobec nieokiełznanej przyrody. Chciała jak najszybciej znaleźć się blisko Michała.

Czekał na nią z termosem gorącej herbaty i ciepłym uśmiechem. Omal go nie uściskała za to, że był.

- I co o tym wszystkim myślisz? - spytał, pokazując na drogę, którą przyszła.

- To jest takie... nieziemskie.

- A nie mówiłem? - Uśmiechnął się zadowolony.

- Wiesz, co się działo, gdy wyjrzało słońce? Poczułam się wśród tych lodowych kryształów jak Gerda w krainie Królowej Śniegu. To było baśniowe przeżycie, odrealnione, inaczej nie potrafię tego nazwać. Tęcza w każdym kawałku.

- Wiedziałem, że tak to przeżyjesz. Gdy ja tu pierwszy raz przyleciałem z dziadkiem Einarem, przez chwilę poczułem się, jakby otworzył się przede mną skarbiec Ali Baby. I to zanim zdążyłem powiedzieć: „Sesamie, otwórz się”. Myślałem, że to rozsypane diamenty.

Byłem wtedy małym chłopcem, ale to wrażenie pamiętam do dziś.

- Rozumiem cię, myślę, że ja też nie zapomnę tego widoku. Ale gdy w jednej sekundzie wszystko zszarzało, poczułam się bardzo samotna, opuszczona. Dopiero wtedy zauważyłam, że tutaj jest tak niesamowicie dziko, nie ma ludzi i zwierząt ani nawet roślin.

- Tak. - Uśmiechnął się. - Nie da się tu żyć. Człowiek przez wieki tego nie ujarzmił.

Ale dobrze, że są takie miejsca, uczą pokory. Dlatego podziwiam i szanuję tutejszych ludzi.

Są tacy silni, twardzi, pierwotni. Rozumiesz, o czym mówię?

- Tak, coraz lepiej cię rozumiem. - Na jej twarzy pojawił się uśmiech. - Nalej mi jeszcze tej herbaty, przyjemnie rozgrzewa.

- Oczywiście. - Roześmiał się. - Ardis chyba wzmocniła ją rumem. Mamy jeszcze trochę czasu, Gunnar będzie za jakąś godzinę. Jesteś bardzo zmęczona?

- Nie, wcale. Ta herbata stawia na nogi.

- To dobrze, chciałem ci jeszcze coś pokazać. Za tymi skałami stoi zardzewiały wrak statku. Dawno tam nie byłem. Czasami podpływają w to miejsce uchatki. Może będziemy mieć szczęście i przekonasz

się, że jest tu jednak jakieś życie, oczywiście latem.

- Latem? - Zaśmiała się, rozcierając zmarznięte dłonie.

Uchatek nie było, a do samego wraku też nie dotarli, widzieli go tylko z oddali, ponieważ wiatr się spieniał, walił spienionymi falami o brzeg, tworząc w powietrzu mgłę z drobinek wody. Ich kurtki błyszczały od wilgoci. W drodze powrotnej dostali jednak w nagrodę niecodzienne zjawisko na niebie. Słońce znalazło dwie skośne szczeliny w szarych, popędzanych wiatrem chmurach. Wyglądały jak żółte oczy olbrzymiej dzikiej bestii. Magda instynktownie przytuliła się do Michała, a później oboje wybuchnęli śmiechem.

- Jaki potwór, widziałeś? - przekrzykiwała wiatr. - Gdybym była sama, umarłabym ze strachu.

- Nie jesteś sama - zapewnił i wziął ją za rękę. Jego dłoń była przyjemnie ciepła.

Gunnar czekał już na nich, popędzał, ponieważ pogoda gwałtownie się zmieniała.

Rozdział 30

Zadzwonili z hotelu Castle House i przekazali mi wiadomość od Konrada -

poinformował Michał. Usiadł spóźniony przy stole i odczytał tekst z karteczki: - „Mam dużo pracy, ale myślę o was. Byłem w szpitalu, zrobili mi dokładne badania.

Czuję się dobrze. Chyba miło spędzacie czas na wyspie? Całuję i ściskam. Serdecznie wszystkich pozdrawiam”.

- No pewnie, że tak. Jest super, super! - zawołał Piotruś. - Zrobiłem bardzo dużo zdjęć, próbowałem je wysłać tacie, ale chyba nie doszły, bo nie odpisał. Jak będziemy w Rejkiawiku, to zaraz prześlę mu wszystkie. Tu jest najlepiej na świecie, prawda, mamusiu?

- Prawda, tu jest po prostu wspaniale. - Uśmiechnęła się do syna.

- Moglibyśmy polecieć jutro do Rejkiawiku, jeżeli tylko macie ochotę - zaproponował Michał.

Piotrusiowi widelec wypadł z dłoni i z brzękiem uderzył o talerz. Przy stole zapanowała cisza. Chłopiec miał szeroko otwarte oczy, które powoli wypełniały się łzami.

- Ja nie chcę! Ja chcę być tutaj. Jutro jedziemy przecież w góry, z owcami, prawda? -

Odwrócił się w stronę mężczyzn, szukając u nich ratunku.

- No tak, chcemy przyłączyć do stada owce, które trochę chorowały i już są zdrowe.

Taka mała wyprawa - wyjaśnił Einar. - Myślałem, że małemu spodoba się nocowanie w szałasie, przy ognisku. To tylko półtora dnia.

- Mamo, ja muszę zaprowadzić te owce! To takie ważne. A poza tym umówiłem się już z Gretą i Derrikiem. Oni też jadą ze swoimi owcami - zwrócił się do Magdy. Był tak przejęty, że wstrzymał oddech, czekając na odpowiedź.

Magda spojrzała bezradnie na Michała.

- Dwa dni w tę czy w tamtą - rozłożył ręce - myślałem tylko, że chcieliście zobaczyć jak najwięcej, jest tyle atrakcji, możemy nie zdążyć. Ale decyzja należy oczywiście do was.

- To za dwa dni - zdecydował błyskawicznie Piotruś - jak wrócimy z pastwiska.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Popatrzyła ponad głową syna na Michała i uśmiechnęła się, właściwie takie rozwiązanie też jej odpowiadało.

- Ale, ale syneczku, a kiedy chciałeś mi powiedzieć o tej wyprawie? Mówisz, że jutro rano jedziecie w góry, a zgoda rodziców? - spytała, poważniejąc.

- Chciałem ci powiedzieć zaraz po kolacji, przysięgam. - Patrzył błagalnie. - Ja też niedawno się dowiedziałem, prawda? - zwrócił się do dziadka Einara, który uśmiechnął się na znak potwierdzenia.

- Nie będzie przeszkadzał? - zapytała. - Jest jeszcze mały i nie ma żadnego doświadczenia.

- Da radę. To zręczny chłopak, świetnie sobie radzi z koniem i ma serce do zwierząt.

- No nie wiem, jeszcze nigdy nie rozstawaliśmy się na tak długo. - Miała duże wątpliwości.

- To się da załatwić - wtrącił się Michał. - Możemy dojechać do nich jeepem.

Spotkamy się przy wieczornym ognisku.

- Mamo, zgódź się, proszę. To będzie superprzygoda. Prawdziwe ognisko w górach, rozumiesz? Ja muszę jechać z nimi! - Piotruś był tak podniecony, że cały drżał z przejęcia.

- Uspokój się, synu. Zgadzam się, ale... - i w tym momencie została zasypana buziakami. - Spokojnie.

- Odsunęła go na odległość ramienia. - Popatrz mi w oczy i obiecaj, że będziesz słuchał dziadka Einara i wszystkich dorosłych.

- Przysięgam! - zawołał żarliwie.

- No to świetnie! - włączył się do rozmowy Einar. - A teraz, chłopcze, pamiętaj, że jutro wstajemy bardzo wcześnie, więc dzisiaj nie ma marudzenia z pójściem do łóżka.

- Tak, dziadku - zgodził się chętnie Piotruś. - A opowiesz mi jeszcze o elfach?

- Dobrze. Przyjdź do mnie po kąpieli. - Starszy pan uśmiechnął się zadowolony.

Trudno było nie lubić tego malca.

- Odezwał się po trzech dniach, łaskawca. - Magda zwróciła się cichutko do Michała. -

A obiecywał, że będziemy w stałym kontakcie...

- Nie denerwuj się. To przecież my zmieniliśmy plan wyprawy i przez to kontakt był utrudniony. Zresztą nie musiał się martwić. Przekazałem mu wiadomości o tym, że czujecie się dobrze, poznajecie Islandię od najlepszej strony - tłumaczył szeptem.

- No ładnie, to znaczy, że ty pierwszy zadzwoniłeś do niego?

- Obiecałem mu to, jestem przecież waszym opiekunem.

- On też obiecał. Mnie. Gdyby bardzo chciał, to znalazłby sposób. - Nie dała się przekonać.

- Zrozum, na niego czekało tam wiele obowiązków. Bardzo tęsknisz?

- To nie o to chodzi. - Machnęła ręką. - Po prostu nigdy nie byliśmy dla niego tak ważni jak jego praca. Niepotrzebnie łudziłam się, że coś się zmieniło.

- Trudno to oceniać z tak daleka. Nie znamy szczegółów...

- Nie tłumacz go. Sama widzę, jak to naprawdę wygląda.

Michał zapukał do pokoju dziadka Einara. Było już późno, ale musiał z nim porozmawiać, zanim ten wyruszy z owcami na pastwiska.

- Siadaj, chłopcze. Spodziewałem się, że wpadniesz. Musimy omówić kilka spraw.

- Tak, dziadku, sporo się działo w ostatnim czasie. Najpierw Fridrik. Wolałbym, żeby nie siadał jeszcze na konia, nie ma już dwudziestu lat. To żebro musi się porządnie zrosnąć, martwi mnie też jego nadciśnienie. A widziałem go w stajni, chyba szykuje się do drogi?

- O niego się nie martw. Zostaje na miejscu. Wiesz, że nie przywiążesz go do łóżka, ale głupi nie jest. A poza tym ma problem z Mali. Wielki problem... - dziadek zamilkł.

Przez chwilę milczeli obaj.

- Wytłumacz mi, chłopcze, jesteś lekarzem, dlaczego tak się dzieje? Dziewczyna zdrowa i ten jej chłopak też, a dzieciak...

- Tego medycyna jeszcze nie wie. Średnio jedno dziecko na tysiąc rodzi się z zespołem Downa. Mali musi sama zdecydować. Te dzieci często przychodzą na świat bardzo chore, z wadami serca. Nie wszystkie przeżywają poród, nierzadko umierają we wczesnym dzieciństwie. No i wymagają stałej opieki...

- Tak, ale to też człowiek. Dlaczego rodzi się z takim piętrem? To nie może być po prostu pomyłka jakichś chromosomów.

- Masz rację, dziadku. Niestety nie znamy przyczyny pojawiania się tego dodatkowego chromosomu. Widzę, że odrobiłeś lekcje z medycyny. - Uśmiechnął się.

Dziadek machnął ręką.

- To nie ja, to Ardis. Mali jej wyjaśniła, o co chodzi. Bardzo to wszyscy przeżywamy, u nich w rodzinie nigdy nie było takich przypadków...

Znowu zapadło milczenie.

- Dzwoniła Johanna - przerwał je Einar. - Chciała rozmawiać z tobą, ale byliście na lodowcu. Pytała o Magdę i dzieciaka. Chciała wiedzieć, dlaczego przyjechałeś z nimi do domu, a nie do Rejkiawiku. Powiedziałem jej, że to był mój pomysł. Chciałem cię mieć dłużej przy sobie. Krążyła wokół tematu, ale nie zapytała, kim oni są dla ciebie. Spytała: „Jacy są Polacy?”

- Co powiedziałaś?

- Że są w porządku. Zwiedzają Islandię.

- Aha.

- Pewno by tu już przyjechała, ale jej nie zapraszałem. A chciałbym, bo to w końcu moja wnuczka. Wspomniała, że jej ojciec ostatnio gorzej się czuje. Chyba nie jest dobrze.

- Fatalnie. Zobaczy się ze mną, gdy będziemy w Rejkiawiku?

- Myślę, że tak. Musisz być przygotowany do tej rozmowy.

- Jestem na to gotowy - odparł zdecydowanie. - Będziemy przyjaciółmi. Mam taką nadzieję.

- W porządku.

Milczeli przez dłuższy czas.

- No, dalej, mów. Widzę, że masz i inne problemy. - Dziadek klepnął go w udo.

Michał wstał i podszedł do kominka. Poprawił płonące polano i popatrzył dziadkowi w oczy.

- Z Castle House przesłano mi dwie wiadomości. Jedną dla Magdy i tę przekazałem przy stole. Była też druga, tylko do mojej wiadomości. Konrad napisał, że jego stan jest ciężki, ale stabilny. Niestety, nie ma już szans na testowanie nowego leku. A wiesz, co to oznacza. On dalej nie zgadza się na poinformowanie Magdy o stanie swojego zdrowia. Mamy kontynuować podróż bez względu na wszystko.

- Michał westchnął ciężko i rozłożył

bezzadnie ręce.

- Tak, to jest problem. Ty pewnie uważasz, że ona powinna o tym wiedzieć? - Pokiwał głową Einar. - Masz rację, tak byłoby uczciwie. Ale pamiętaj, on wynajął cię tylko na przewodnika wycieczki. Macie umowę.

- Wiem, ale...

- Chyba że sytuacja się zmieniła, że jesteś dla niej kimś więcej.

- Czy ja dla niej? Tego nie wiem, ale ona dla mnie na pewno.

- To za mało, chłopcze. Trzymaj się umowy.

Rozdział 31

Magda po cichu spakowała do plecaka zapasowe ubrania dla syna. Nie mogła zasnąć, wdychała zapach domu, czuła jego spokój. Stała przy dużym oknie i patrzyła na zatokę.

Surowy krajobraz, olbrzymie przestrzenie, wiatr, woda tak bardzo odpowiadały jej nastrojom.

W tej chwili niebo było szarobłękitne, a morze wydawało się spokojne. Ostre skały rzucały fantazyjne, blade cienie. Nad horyzontem zawisło słońce, niezachodzące o tej porze roku.

Trudno to było pogodzić z faktem, że zegar wskazywał zbliżającą się północ.

Od kiedy pamiętała, morze zawsze ją fascynowało, odliczała dni do wyjazdu na wakacje. Szkoda tylko, że ojciec tak zdecydowanie preferował wypady w góry. Nie rozumiała tego, ponieważ był świetnym pływakiem. To on nauczył ją pływać w wieku trzech lat, ale morza nie lubił. Czyżby przeczuwał, że właśnie tam spotka go coś złego? Patrzył też niechętnie na jej pasję malowania. Ale opinie nauczycieli były jednoznaczne, miała talent i mama pilnowała, by rozwijała się w tym kierunku.

Dopiero teraz to sobie uświadomiła. Zawsze mama, która nie była kierowcą, jeździła z nią autobusem na zajęcia do Pałacu Młodzieży. Ojca to nie interesowało, chociaż wiedziała, że była jego oczkiem w

głowie. Naprawdę dziwne - zastanawiała się. I to, że po ich tragicznej śmierci porzuciła malowanie i nigdy nie była nad morzem. Czuła wtedy taką silną potrzebę, by poświęcić to, co kochała najbardziej. Malowanie i morze. Dlaczego? To z pewnością wiązało się z jej poczuciem winy, bo oni zginęli, a ona nie. Ale ten dzień poprzedzający wypadek... mama miała jej coś wyjaśnić... nie zdążyła. To coś miało związek z jej malowaniem na plaży. Czuła narastający niepokój. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślała?

Nie wypytała ciotki Julii? To ona zajmowała się nią po śmierci rodziców. Teraz było za późno, ciocia od kilku lat nie żyła.

Ale było w tym coś niepokojącego, coś fałszywego, niedobrego. Gwałtowna, niespodziewana utrata rodziców musiała być wielkim szokiem dla młodziutkiej dziewczyny, jaką wtedy była, to naturalne, ale dlaczego w imię solidarności dodatkowo zabiła w sobie to, co było dla niej najważniejsze?

Skąd jej to przyszło do głowy? Solidarność z czym? Ze śmiercią? Kara za co? Może łatwiej było zatrzaskać drzwi za zdarzeniami, nad którymi straciło się kontrolę? Tylko że wcześniej czy później to powraca... W sumie to nie była mądra decyzja. Teraz tak to oceniała.

Tyle osób próbowało ją przekonać, by wróciła do malowania, ciocia Julia wielokrotnie przytaczała przypowieść o zmarnowanych talentach... Konrad zachęcał na wszystkie sposoby... Im bardziej nalegali, tym mocniej trzymała się swojej decyzji... Ich argumenty do niej nie trafiały. Dlaczego? A podobno trzeba żyć w zgodzie z własnym ja, realizować marzenia.

Podeszła do komody, w której poukładał swoje rzeczy Piotruś. Cichutko otworzyła szufladę, wyjęła papier i pastele. Usiadła przy oknie i zaczęła szkicować.

Te ciemne, ostre skały to twardość życia, rzucane cienie to niepewność jutra, lęk, obraz nieprzewidywalności losu.

Niezmacony błękit nieba jest zwiastunem dobrych, pogodnych dni. Spokojne morze - obietnicą, że życie będzie pulsowało stałym rytmem. Z każdą kreską rosło w niej uczucie wielkiej ulgi, swobody. Czuła, że pęka jakaś skorupa, która od tylu lat ograniczała ją, tłamsiła. Przypomniła sobie, że kiedyś wszystko, co czuła, mogła przelewać na papier za pomocą kształtów i kolorów. Odezwały się w niej wspomnienia dawnych doznań, które pogrzebała wiele lat temu. Gdzieś tam, w jakichś starych pudłach leżą jej rysunki i obrazy, z pewnością najwięcej tych o morzu. Gdy stała na wydmach, a wiatr rozwiewał jej włosy, czuła to zespolenie z naturą, nieograniczoną przestrzenią, czuła się wolna. Wydawało jej się, że może wszystko... Musi je odnaleźć, przypomnieć sobie siebie z tych czasów.

Wybrała się w tę podróż po coś i teraz już wiedziała, jak bardzo odmieni ona jej życie.

Odnajdywała odpowiedzi na nurtujące ją pytania. Nie przy jakimś ołtarzu w wysnionym kościele, ale w tym starym domu i wśród dzikiej, nieujarzmionej przyrody odnalazła swoją drogę, uświadomiła sobie, co tak naprawdę jest ważne, co chciałaby robić. Chce smakować każdą chwilę, doświadczać życia, chce odszukać w sobie źródło własnego ja i czerpać z niego.

Magda uśmiechnęła się. Michał miał rację, gdy opowiadał, że ludzie odwiedzający Islandię zmieniają się, bo ten specyficzny kraj skłaniał do refleksji. Na zewnątrz surowy, wymagający, dawał ciepło w środku. Dlaczego w ich snach pojawia się Islandia? Bo był to kraj dziki, nieposkromiony. Tu natura narzucała człowiekowi sposób życia, myślenia, przeżywania.

Ciekawe, jak na jej plany zareaguje Konrad? Może się nawet ucieszy? Kiedyś próbował ją zachęcać do malowania. On lubił ambitne, inteligentne, przebojowe kobiety.

Może z czasem taka się stanie? Może mu chociaż trochę dorówna? Zawsze twierdził, że każdy człowiek powinien się nieustannie rozwijać, robić to, co lubi, co go pasjonuje, bo tylko wtedy będzie naprawdę szczęśliwy. Gdy tylko wróci do domu, zabierze się poważnie do malowania, znajdzie sobie nauczyciela, jakąś pracownię. Nie będą to studia, ale jej pasja.

Konrad zarabiał tak dużo, że chyba jeszcze przez kilka miesięcy nie będzie musiała szukać pracy. Był

jej to winien. Poświęci też ten czas Piotrusiowi, od września rozpoczął naukę w szkole. Trzeba wyrównać wszystkie rachunki. Do tej pory zajmowała się głównie Sarą, żyła jej życiem, teraz chce spróbować żyć po swojemu. Gdzieś wyczytała, że życie to fascynująca przygoda... W tym otoczeniu łatwo było w to uwierzyć.

Znużona, ale jednocześnie szczęśliwa wsunęła się pod kołdrę. Szum fal sprawił, że spokojnie zasnęła.

Rozdział 32

Magda miała uczucie, że gra rolę w jakimś filmie. Stała na ganku starego dworku, a jej mały synek siedział wyprostowany na koniu z bardzo poważną miną. Widać było, że we wszystkim naśladowuje mężczyzn. Wiatr rozwiewał mu czuprynę. Była z niego dumna. Jej mały mężczyzna.

Stadko owiec gotowych do marszu obszczekiwał duży pies. Mężczyźni wsiedli na konie, zajmowali miejsca i w chwilę później ruszyli. Dziadek Einar jechał blisko Piotrusia.

Tworzyli wspaniałą parę. Duży, silny mężczyzna z białą głową obok małego szczupłego chłopczyka. Piotruś wyznał jej rano, że cieszy się, iż ma wreszcie prawdziwego dziadka, o wiele lepszego, niż miał Patryk, kolega z przedszkola.

Machała mu na pożegnanie tak długo, jak długo mógł ją widzieć. Piotruś kilka razy się odwracał i też machał rączką.

Michał stanął za jej plecami, poczuła przyjemny zapach jego wody po goleniu.

- Nie martw się, za parę godzin wyruszymy za nimi i osobiście utulisz synusia do snu.

- Wyraźnie pokpiwał sobie z niej.

- Wiesz, jakoś się nie martwię. - Wzruszyła ramionami. - Z dziadkiem Einarem jest bezpieczny. Dobrze wyglądają razem. Piotrusiowi zawsze brakowało takich pokoleniowych kontaktów. Nigdy nie miał dziadka, Einarem jest zachwycony.

- Zauważyłaś to? - Uśmiechnął się. - Ja też zwróciłem na to uwagę. Chłopak świetnie się tu czuje, a Einar go uwielbia.

- Zobacz, jak pewnie siedzi na koniu, nie boi się, jakby się tutaj urodził i od urodzenia siedział w siodle - podkreśliła z dumą.

- To głównie zasługa islandzkich koni. - Uśmiechnął się przekornie. - Są bardzo spokojne i zrównoważone, nie płoszą się. Wielowiekowa izolacja przyczyniła się do czystości rasy. Do niedawna były jedynym środkiem transportu na wyspie. Są niezwykle silne i wytrzymałe. Potrafią pokonać polodowcowe rzeki, nie straszne są im silne wiatry, deszcz i zamiecie śnieżne. Wiesz, że do dzisiaj obowiązuje bezwzględny zakaz sprowadzania tutaj koni z innych krajów? Musimy je chronić przed ewentualnymi nosicielami chorób, na które one nie są odporne. No dobra. Koniec wykładu, mamy trochę czasu, co zamierzasz? - zmienił

temat.

- Nie mam konkretnych planów - powiedziała. - Niewiele spałam tej nocy, ale w tym klimacie jakoś nie czuję zmęczenia. Chyba oddychamy jakimś eliksirem młodości - zażartowała.

- Korzystaj z tego, korzystaj. - Roześmiał się. - A co robiłaś w nocy?

- Trochę malowałam i dużo myślałam o przyszłości.

- Pokażesz mi? Proszę, proszę... - naśladował sposób przekonywania Piotrusia.

- No nie wiem. - Zarumieniła się. - To takie wprawki, od wielu lat tego nie robiłam.

- No właśnie, widziałem ten portrecik Sary. Myślałem o tym. Masz dar i szkoda, że go nie rozwijasz.

- Właśnie w nocy postanowiłam, że wracam do malowania. Kiedyś było to dla mnie bardzo ważne.

To stanowiło moją formę wyrażania siebie, ale... skończyłam z tym... -

Zamilkła. - To było tak dawno i była to bardzo bolesna decyzja...

- Rozumiem. Tym bardziej nie odpuszczę, muszę koniecznie zobaczyć obraz, który przekonał cię w słusznej sprawie.

- Oj, to nic wielkiego, nie wyobrażaj sobie...

- No, już, już, nie wymigasz się, idziemy. - Objął ją ramieniem i pociągnął w stronę jej pokoju.

Stał przy oknie, trzymając kartkę z rysunkiem. Milczał.

- Mówiłam, że to nic...

- To jest wspaniałe - przerwał jej cicho. - Udało ci się uchwycić nastrój tego zakątka.

Jego grozę i smutek, a przy tym całe piękno. Wiesz, że jesteś naprawdę utalentowana? -

Popatrzył na nią ciepło.

- Tak kiedyś mówiono. - Machnęła ręką.

- No i... dlaczego?

- Nie chcę o tym mówić. Zrobiłam to dla ojca. Wydawało mi się, że to przez moje malowanie na plaży zginęli rodzice.

- I nikt nie próbował cię przekonać?

- Oj, tak, ciocia Julia usiłowała wielokrotnie. I Konrad. Ale to była moja pierwsza ważna w życiu decyzja. Wierzyłam, że słuszna. I potrzebna. Dzisiaj tylko nie mogę sobie przypomnieć komu, do czego. Pewnie głównie chodziło o to, że była moja, rozumiesz? Byłam jej wierna, aż do teraz...

Michał odłożył rysunek, podszedł do niej.

- To właściwa decyzja. Myślę, że wyprawę na Islandię już możemy uznać za spełnioną, tylko musisz wytrwać w swoim postanowieniu. - Patrzył jej głęboko w oczy i ciepło się uśmiechał.

Poczuła się szczęśliwa, wierzyła mu.

Usiedli na tarasie. Niebo było bezchmurne, lekki wiatr przyniósł świeży zapach morza. Pili kawę i rozmawiali.

- Michale, czuję się jak dziecko we mgle. Nie znam języków, nie prowadzę samochodu, w podróży muszę mieć opiekuna - zwierzała mu się. - Chcę to jak najszybciej zmienić. Jest we mnie wiele lęku wynikającego z braku doświadczenia i niewiary we własne siły. Mam nad czym popracować. - Uśmiechnęła się. - Jednocześnie wypełnia mnie taka radość, bo widzę siebie coraz wyraźniej. Zaczynam być świadoma swych ograniczeń, ale i możliwości. To daje mi poczucie siły.

- A mówiłem, że Islandia...

- I mówiłeś prawdę. - Roześmiała się. - Największym moim problemem jest praca zawodowa. Uwierzysz, że mam trzydzieści cztery lata i jeszcze nigdy nie pracowałam zawodowo? Nie zarobiłam nawet złotówki? Trudno dać wiarę, prawda?

- Miałaś inne zadanie do wykonania, o wiele trudniejsze...

- Nie, to nie tak. Poznałam wiele kobiet w podobnej do mojej sytuacji i one musiały sobie same radzić ze wszystkim, również z utrzymaniem siebie i chorego dziecka. - Myślę, że to największe bohaterki naszych czasów, one naprawdę walczą o godne życie i godną śmierć dla swoich chorych, niepełnosprawnych dzieci. I nikt nie docenia ich wysiłków. - Ale komu ja to tłumaczę, przecież ty oglądasz to codziennie.

- No tak, ale ty masz męża, który świetnie zarabia, nie ma takiej potrzeby...

- Masz rację, ja to wszystko wiem. Do tej pory wydawało mi się to sprawiedliwym podziałem ról, ale teraz zaczyna mi to przeszkadzać. Muszę to zmienić. Muszę dorosnąć, rozumiesz? Najpierw utrzymywali mnie rodzice, później renta po nich i ich oszczędności, w końcu mąż. Najwyższy czas stanąć na własnych nogach. To bardzo trudne dla mnie...

Michał przejęty tym szczerym wyznaniem położył swoją dłoń na jej dłoni i uścisnął serdecznie.

- Twoja przyjaźń jest dla mnie bardzo ważna - wyszeptała. - Od wielu lat. Byłeś przy mnie w najtrudniejszych momentach... Bardzo to sobie cenię. Tego się nie zapomina. -

Zamilkła wzruszona.

- Wiele przeszłaś...

- Tak - westchnęła. Przełknęła głośno ślinę i uśmiechnęła się. - Oj, ta Islandia, zmusza do refleksji. Tu nic mi nie zamazuje obrazu samej siebie, ta pierwotność przyrody naprawdę ustawia priorytety. Zrozumiałam, że życie musi być takie proste, no wiesz, pracowite, uczciwe, sensowne. Bo samo życie jest najważniejsze.

- Pięknie to powiedziałaś. Tu rzeczywiście prawda o człowieku dochodzi szybko do głosu. Tu trzeba być pracowitym i rzetelnym, żadna fuszerka nie przetrwa. Musisz wiedzieć, że Islandia to kraina wielu opuszczonych farm, kościółków, nawet całych wiosek. Tutaj przyroda wciąż wygrywa z człowiekiem, a siły natury uczą pokory.

- Tak to właśnie czuję. Odkryłam, że życie daje nam wiele możliwości, musimy tylko zdecydować, które są najlepsze dla nas, i trzymać się tego. Myślę, że znalazłam swoją dalszą drogę.

- Bardzo się cieszę. - Uśmiechnął się ciepło. - Wiedziałem, że to nastąpi, tylko nie przeczuwałem, że tak szybko. Jesteś dzielna.

- Wcale nie. - Zaśmiała się. - Uczę się życia od nowa. Czuję się jak nastolatka, która wraca do dorosłości. Wszystko mnie zachwyca i przeraża jednocześnie. Przez wiele lat nie ja decydowałam, poddałam się życiowemu prądowi, który mnie niósł. Chyba najwyższy czas na zmianę. W końcu zaczęłam porządkować swoje życie, szukam odpowiedzi na ważne dla mnie pytania.

- Rozumiem cię. Ja też mam takie pytania, na które od lat nie mogę znaleźć odpowiedzi.

- Naprawdę? Jakoś trudno mi w to uwierzyć. Wybacz, ale odbieram cię jako wyjątkowo uporządkowanego człowieka, który dokładnie wie, co chce robić w życiu. Twój zawód, chyba jeden z najtrudniejszych, twoje zaangażowanie, ten spokój wewnętrzny.

Odpowiedzialność, życzliwość...

- Dostyc, nie pędź tak w tę stronę - zaprotestował. - Nie ma ideałów. Gdy poznamy się bliżej, przekonasz się, że mam swoje słabości. Zobacz, jestem dzieckiem mieszanego małżeństwa. I nie potrafię od wielu lat zdecydować, czy bardziej jestem Polakiem, czy moje miejsce jest tu na tej wyspie. Taka jedna decyzja odmieniłaby całe moje życie. I tu, i tam czuję się świetnie, czuję się u siebie, ale gdzie mam założyć gniazdo? Gdzie mają się rodzić moje dzieci? Na razie zdaję się na los, ale lata płyną i czuję, że będę musiał sam podjąć decyzję. I uwierz mi, nie jest to łatwe zadanie. - Uśmiechnął się.

- Wierzę ci. Przepraszam, każdy jest przytłoczony własnymi problemami...

- I to jest prawidłowe - podkreślił z naciskiem. - Tych decyzji nikt za nas nie podejmie. Masz przykład chociażby z Mali...

Ich rozmowę przerwał sygnał telefonu. Michał przeprosił i zniknął we wnętrzu domu.

Magda postanowiła spakować plecak. Wieczory w górach na pewno są chłodne. Gdy się z tym uporała, podeszła do okna. Miała naprawdę wspaniały widok na zatokę. Myślała o Michale, o jego tożsamości. Próbowwała postawić się na jego miejscu. Wydawało jej się, że potrafiłaby wybrać. Dom to dla niej miejsce, gdzie się urodziła, wychowała, chodziła do szkoły. Dom był najważniejszy. Ale tak naprawdę nie była nigdzie indziej, więc nic nie mogła na ten temat powiedzieć.

Ona już przynajmniej wiedziała, co będzie robiła przez najbliższe miesiące. Musi wrócić do malowania. Ma sporo do nadrobienia, ale to nieważne, czuła w sobie zapał, energię, widziała w tym sens.

Piotruś od września rozpoczyna szkołę, to wiele zmieni. Teraz będzie mogła się zrewanżować Adzie, zaopiekuje się jej córką, gdy ona z mężem pójdą do pracy. Konrad powinien poprzeć jej plany, zawsze ją do tego zachęcał. Finansowo na pewno sobie poradzą.

Poszuka też pracy, chociaż wiadomo, że nie będzie łatwo. A później zobaczy... stopniowo przyjdzie czas na kolejne decyzje...

Jej największym problemem był sam Konrad. Mąż... formalnie tak. Jednocześnie człowiek, którego

nigdy nie było, gdy go najbardziej potrzebowała. Zawsze gdzieś obok.

Porzucił ją i chorą córeczkę. Kim była w jego życiu? Matką Piotrusia. Wyraźnie widziała, że dla Konrada liczyły się tylko kariera, jego pasje i syn. Czy tak wygląda małżeństwo?

A miłość, zaufanie, szczerłość, wierność? Tego już dawno nie było w ich związku. Jedno było pewne - nie mogła ufać komuś, kto ciągle miał wątpliwości, czy być z nią, czy bez niej.

Przychodził i odchodził, kiedy chciał. Zupełnie przestali się rozumieć. Tak dłużej być nie mogło. Już wiedziała, że po powrocie czeka ją trudna rozmowa z mężem, pewno niejedna.

Albo przebudują swój związek, albo się rozstaną... Każda z tych możliwości była realna i każdą potrafiła zaakceptować. To było dla niej ważne odkrycie. Po raz pierwszy dopuściła do siebie myśl, że mogłaby żyć bez Konrada. Do tej pory małżeństwo to było małżeństwo, a nie jakaś tam miłostka. Dla niej było jasne, że oznacza ono zaangażowanie się na całe życie.

To stan, w którym kochasz codziennie i codziennie wybaczasz. Nie oszukujesz, nie dezertujesz, niezależnie od wszelkich prób i cierpień zsyłanych przez los. Pozostajesz wiernym... i tyle. Ale co, jeśli druga strona tego nie respektuje? Gdy zawodzi? Czy są granice, których nie wolno przekraczać? A jeśli zostały przekroczone? To właściwie nie ma już związku, nie ma małżeństwa...

Jej rozmyślania przerwał głos silnika, pod dom podjechał samochód. Cichutko wyszła na korytarz. Przez boczne okno zobaczyła, że z jeepa wysiadła jakaś nieznana jej kobieta.

Szczupła, wysoka, z długimi jasnoblonde włosami.

- Mikael! - zawołała, a dalej popłynął zupełnie niezrozumiały dla Magdy potok islandzkich słów.

- Johanna! - odpowiedział Michał, podchodząc do samochodu.

Dziewczyna podbiegła do niego i rzuciła mu się na szyję. Trwali w uścisku jakiś czas.

Potem objęła go w pasie i ruszyli w stronę domu. Rozmawiali radośnie, uśmiechali się. Widać było, że dobrze się znają, że są ze sobą blisko.

Magda cichutko wycofała się do swojego pokoju. Usiadła na łóżku zupełnie zdezorientowana. Nigdy do tej pory nie pomyślała, że Michał może mieć dziewczynę.

A powinno ją to zastanowić. Taki przystojny młody facet. Znali się parę lat, ale nie pamiętała choćby jednej wzmianki o kobiecie. Oczywiście nie musiał, to jego osobista sprawa, ale to byłoby naturalne, gdyby jakaś była w jego życiu. To przykład, jak niewiele wiedziała o mężczyznach. Jaka była naiwna i głupia.

Zerwała się, musiała natychmiast wyjść, opuścić ten dom dotychczas taki przyjazny i ciepły. Czuła, że się dusi... Powietrza, wiatru, morza - tego potrzebowała teraz najbardziej.

Złapała kurtkę i cichutko wyszła bocznymi drzwiami. Przez moment słyszała podniesione głosy Michała i tej dziewczyny. Nie zrozumiała ani słowa, ich język był taki... obcy.

Bardzo szybko znalazła się nad brzegiem morza. Wiatr rozwiewał jej włosy i chłodził twarz. Cudowne uczucie. Wzięła głęboki oddech. Po namyśle ruszyła w kierunku przeciwnym do poprzedniego. Tym razem przypływ jej nie zaskoczy. Z każdym krokiem czuła się lepiej, głęboko wdychała rześkie powietrze. Po dziesięciu minutach marszu zorientowała się, że musi zawrócić. Skały zamykały horyzont, wysuwały się coraz dalej w morze. Domyślała się, że nie było przejścia.

Stała w tym pustkowiu, opuszczonym przez Boga i ludzi, zupełnie sama. Wokół niej nic tylko gołe skały i morze. Zwróciła twarz w stronę nieba, przymknęła oczy.

Nagle poczuła, że stopniowo wypełnia ją jakaś ogromna moc. Napłynęła do jej stóp, jakby z kolejną falą morską, następnie dotarła do kolan, a gdy trafiła do luźno zwisających dłoni, Magda zwinęła je w pięści i mocno zacisnęła. Moc wypełniła jej klatkę piersiową, by w końcu znaleźć ujście przez szeroko otwarte usta. Usłyszała swój dziki, nieokiełznany krzyk, który porwał wiatr i rozniósł nad bezmiarem wody. Krzyk, który stopniowo przerodził się w przeciągłe wycie. Chrapliwe, momentami piszczące zawodzenie. Stała się częścią natury, obudziła się w niej drapieżna, potężna siła. Trwała jakiś czas w tym uniesieniu, aż wreszcie poczuła, że energia, która wyprężyła jej ciało, zaczęła się z wolna wycofywać,

jak odpływ morza, powoli, ale zdecydowanie. W końcu zawładnęła nią słabość, wyczerpana oparła się o najbliższy głaz. Popatrzyła na swoje dłonie, już rozchylone, pod paznokciami zobaczyła krew. Czuła się szczęśliwa i oszołomiona. Po raz pierwszy w życiu mogła wykrzyknąć światu to coś, co dławilo ją jak korek powstrzymujący energię szampana.

Jednocześnie w miarę słabnięcia ciała wyostrzały się jej myśli... Dostrzegła siebie żyjącą od lat w letargu. Najpierw grzeczną i posłuszną w domu rodziców, bezpieczną, kochaną. Nigdy się nie buntowała, nigdy nie była krnąbrną, samowolną nastolatką, żadnych ekscesów. Upierała się jedynie przy malowaniu, chociaż drażniła tym ojca, ale miała ciche poparcie matki. Później ten ołtarz i dwie trumny. Czuła się zobowiązana złożyć w ofierze to, co miała najcenniejszego, bo ocalała... A potem w jej życiu pojawił się Konrad - wielka miłość, krótki czas radości, wielkich nadziei, wybujałych marzeń. Ucięła to wszystko Sara, córeczka, wielka, choć jakże inna miłość w jej życiu. Zawładnęła nią i odeszła, zostawiając pustkę. Popatrzyła na niewielkie grzywy fal rozlewające się pianą na kamienistym brzegu.

W dali na horyzoncie zauważyła malutki statek. Kuter rybacki wracał do portu... Nagle zrozumiała - człowiek potrafi zapanować nad tym morskim żywiołem, potrafi wykorzystać jego siłę, jego dary...

To tylko w jej życiu dominowała uległość. Zbyt łatwo podporządkowywała się, godziła na to, co zdecyduje los, rodzice, mąż... Była pokorna, naiwna, nieświadoma...

Wyraźnie to teraz widziała. Tyle czasu zmarnowała. Może i miała wtedy jakieś pomysły, ale stan głębokiej stagnacji uniemożliwiał wprowadzenie ich w czyn. To jej banalne odkładanie ważnych spraw na później sprawiało, że nigdy nic nie dochodziło do skutku, było niszczone w zarodku. W dodatku rodziło pogardę dla siebie samej, wywoływało jątrzące poczucie wstydu spychane coraz głębiej... Sama się godziła na to zabijanie swoich największych marzeń. Poddała się niemocy, która metodycznie niszczyła jej pragnienia, zainteresowania i aspiracje.

Teraz koniec z tym. Musi powalczyć o siebie, swoje marzenia, swoje uczucia. To niewiedza jest pożywką dla paralizującego lęku. Już nie może sobie pozwalać na niedostrzeganie, niezrozumienie, ciągłe wątpliwości i niezdecydowanie. Musi zadawać sobie pytania i szukać na nie odpowiedzi: „Co się za tym kryje? Co jest inne, niż się wydaje? Co wiem? Czego wolałabym nie wiedzieć?”.

Wstała, otrzepała spodnie i ruszyła w stronę domu. Krok miała niepewny, potykała się. Przeżyła coś niesamowitego. Wiedziała jedno: od tej chwili musi być odważna i aktywna.

Musi podejmować własne decyzje i walczyć o ich realizację. Musi być świadoma siebie i rzeczywistości.

Podniosła wysoko głowę, dumna z siebie za te myśli. Uśmiechnęła się triumfalnie i...

potknęła się. Nagle znalazła się na ostrych, mokrych kamieniach. Kolano zabolęło. Usiadła i zobaczyła, jak przez materiał przesączała się krew. Parsknęła śmiechem. Idiotka! Kto chodzi z głową zadartą do góry po takim kamienistym brzegu? Czuła bolesne pulsowanie. I dobrze, chciała tego fizycznego bólu. Zrozumiała, że natura ludzka jest jednocześnie tragiczna i komiczna.

Rozdział 33

Magda szła, lekko utykając, uśmiechała się. Czuła się inną kobietą. Dlaczego? Nie próbowała odpowiadać na to pytanie. Za to doceniała poczucie siły w sobie, które dawało jej odwagę patrzenia na siebie i świat bez lęku. Chciała je zachować jak najdłużej. Coś w niej krzychało: zobacz, jak jest pięknie, jesteś na swojej pierwszej dalekiej wyprawie, zobacz i przeżyj jak najwięcej. Niczego nie przegap, nie daj sobie odebrać tych chwil, bo nigdy nie wrócą. Masz w sobie dar, musisz go tylko rozwinąć. Daj mu szansę. Tak, już się paliła do tego. Już dojrzewała w niej potrzeba utrwalenia tamtej niesamowitej chwili na skałach.

Jeszcze nie wiedziała, jaką postać przyjmie energia, która spłynęła na nią z tej mieszaniny żywiołów, ale sama myśl o tym już ją podniecała. Tak dawno tego nie odczuwała, a teraz napływało to do niej szerokim strumieniem. Pomyślała sobie, że musi to namalować - jeśli uda jej się to utrwalić, zachowa to

na dłużej, może na zawsze.

Nawet nie zauważyła, kiedy weszła na teren zabudowań. Zbliżała się do domu, marzyła o mocnej, gorącej kawie. I wtedy ją zobaczyła. Długowłosa piękność wsiadała do jeepa, sama. Trzasnęła drzwiczkami i zapaliła silnik.

Chyba wtedy została zauważona. Samochód wykonał ostry półobrót i ruszył w jej stronę, żwir wyprysnął spod kół. Wszystko odbywało się tak szybko, że Magda stanęła, naprężyła się. To jedyne, co potrafiła zrobić. Jeep zatrzymał się pół metra przed nią. Widziała wyraźnie te duże niebieskie oczy intensywnie w nią wpatrzone. Nie przestraszyła się, nie uciekła wzrokiem. Przeciwnie. Lekko uniosła głowę i uśmiechnęła się. Kobieta za szybą skinęła głową, bez uśmiechu. Zrewanżowała jej się tym samym. Samochód ostro się wycofał

i wyjechał na drogę. Dziwne spotkanie. Ale była dumna ze swojego zachowania. Zwyciężyła na polu bitwy. Bzdura, co za idiotyczne porównanie. Jednak uczucie zadowolenia jej nie opuściło.

Michał stał na ganku i był świadkiem tej sceny. Musi jej to wyjaśnić.

- Hej, ktoś chciał mnie rozjechać jak obrzydliwego robala. Czym sobie zasłużyłam? - zapytała, wchodząc na ganek.

- Nie chciała. To Johanna. Chciała ci się przyjrzeć.

- Tak, i to z bardzo bliska. A dlaczego odjechała?

- Bo zobaczyła, co chciała? - Wzruszył ramionami. - Trudno zrozumieć kobiety. -

Rozłożył dłonie.

- A Johanna to kto?

- To długa historia. Chodź coś zjeść, Ardis przygotowała lunch.

- Z przyjemnością, jestem głodna.

- Ładnie wyglądasz, jesteś taka... - zastanawiał się chwilę, przepuszczając ją w drzwiach do jadalni -...promienna?

- Nazwałabym to „wypełniona energią” - powiedziała ze śmiechem.

- Opowiesz mi o tym?

- To długa historia.

Roześmieli się. Poczuli łączącą ich więź, ciepło ich kontaktu.

Rozmawiali długo, szczerze, z wzajemnym zrozumieniem i serdecznością. Przekonała się, jak bardzo losy ludzkie mogą być poplątane.

- No i okazało się, że wcale nie jestem jedynakiem, mam siostrę - dokończył.

- Niesamowita historia.

- Tak - zamyślił się. - Bardzo żałuję, że nie mogę jej o tym powiedzieć. Einar też cierpi z tego powodu. Johanna jest częścią naszej rodziny. To nasza krew, nasze geny. Jednak nie da się zmienić faktu, że ona ma ojca. Uważam, że człowiek, który wychował ją jak córkę, ma do niej większe prawo niż biologiczny ojciec.

- A jednak zastanawiam się, czy będąc na jej miejscu, nie wolałabym mimo wszystko znać prawdy. Nie zmieniłoby to moich uczuć do ojca, tak sądzę, ale chyba każdy wolałby wiedzieć, jak jest naprawdę. Ja na pewno.

- Nie możesz tego wiedzieć. Długo nad tym myślałam. Taka wiadomość mogłaby zniszczyć życie wielu osób. Pewne tajemnice nigdy nie powinny być odkryte. Zobacz, mój ojciec zginął, nie mając o niczym pojęcia. A gdyby się dowiedział od razu, mógłbym się nigdy nie narodzić. Wiem jedno, nie mogę zburzyć szczęścia tamtych ludzi, obiecałem to Sigrid i dotrzymam słowa.

- Jakie to wszystko trudne - westchnęła. - I przerażające... Gdy pomyślę, że coś, co wydaje mi się oczywiste, może być tylko bardzo realistycznym pozorem...

- Tak, masz rację. Widzisz, nie zawsze możemy być tak szczerzy i otwarci, jak byśmy tego chcieli, bo możemy zrobić o wiele więcej krzywdy. Nauczyłem się, by nie oceniać innych, dopóki nie poznam

wszystkich faktów - powiedział z przekonaniem.

- Jakiś ty mądry! I wcale nie żartuję. - Roześmiała się, uchylając się przed okruczem bułki, który rzucił w jej stronę.

- Wiesz, co zauważyłem? Że naszym życiem częściej rządzą przypadki i zdarzenia, nad którymi nie mamy kontroli, niż racjonalne wybory i działania, które powstają z naszej woli.

- Też to zauważyłam, ślepy traf znacznie częściej decyduje o moim życiu.

- Widzisz, też jesteś mądra. - Roześmiał się.

- Z kim przystajesz... - Rozłożyła dłonie.

- Koniec filozofowania. Pakujemy się i w drogę, zrobiło się późno. - Zerwał się. -

Ubierz się ciepło, wieczory są bardzo chłodne.

- Przecież wiem.

- Oczywiście. Ale moim obowiązkiem jest ci to powiedzieć, jestem twoim opiekunem i przewodnikiem - podkreślił, poważniejąc.

- Życiowym?

- Też. Troszeczkę. - Uśmiechnął się ciepło.

Michał podjechał jeepem przed ganek. Pomógł jej wsiąść. Zanim ruszyli, położyła dłoń na jego dłoni i uścisnęła ją. Poczłł echo jej dotyku w całym ciele. Włączył silnik i ruszyli kamienistą drogą.

- Cieszę się, że tu jestem. Tyle się dzieje, tyle zmienia. Islandia coraz bardziej przypomina mi tę utrwaloną w sagach. W nich stale podkreśla się fakt, że nikt nie jest sam, oplatają nas niezliczone nitki powiązań. Często bardzo zaskakujące. Nasza przeszłość, ta znana, a może bardziej ta niepoznana, ma na nas duży wpływ. Ciekawe, czym ta wyspa jeszcze mnie zaskoczy? - zastanawiała się.

- Przygotuj się na wiele. Tak naprawdę jeszcze niczego nie widziałas, dopiero zaczynamy naszą podróż.

- Świetnie, jestem gotowa. W drogę, przewodniku.

Kolację jedli przy ognisku. Humory wszystkim dopisywały. Piotruś był tak podekscytowany przeżyciami, że trudno było zagonić go do szałas. Duże stada owiec zostały zamknięte w zagrodach. Psy poszczekiwały. Magda dołączyła do kobiet, by pomóc w myciu naczyń. Okazało się, że w szałasach mieszkwały całe rodziny, nawet z niemowlętami. Letni wypas owiec to zupełnie inny styl życia. Tu jakby czas się zatrzymał. Podobało jej się to.

Gdy wróciła, zobaczyła, że Piotrusia nie było już przy ognisku. Inne dzieci również zniknęły. Dziadek Einar powiedział, że zarządził ciszę nocną, a Piotruś z Michałem są w przeznaczonym dla nich szałasie. Odszukała go, ale nie weszła do środka. Usiadła cichutko na ławce przed drewnianym domkiem. Zachwycała się tym miejscem. Rozległe polany pokryte trawą, a wkoło góry. Dzwonki owiec odzywały się coraz rzadziej, za to przy ognisku robiło się coraz gwarniej. Słyszała z oddali muzykę i śpiewy. Oparła się o ścianę domku i przymknęła oczy, czuła spokój i zadowolenie, szczęście. Wtedy usłyszała tę rozmowę.

- Mów prawdę. Tak jest najprościej. - Dotarł do niej spokojny głos Michała.

- Wcale nie najprościej. Gdybym się nie przyznał, nikt by się nie dowiedział, że to ja, i by mnie nie ukarali. Bo winę trzeba udowodnić - przekonywał go Piotruś.

- A wiesz, co to jest „poczucie winy”? To sprawa twojego sumienia. Będzie cię dręczyć, czasami bardzo długo, a to nie jest przyjemne.

- Nie, ja tak nie myślę, przecież będę się cieszył, że ominęła mnie kara.

- Jedno kłamstwo pociąga za sobą drugie, a te następne. To tak jak kamyki. Kopniesz jeden, a on, spadając, porusza inne, na koniec może być z tego lawina, która zmiążdży na dole niewinnych ludzi.

- No ale to wcale nie musi tak być - upierał się Piotruś. - Można skłamać tylko raz i koniec.

- Myślę, że nie. Jeżeli raz skłamiesz i poczujesz, że ominęła cię słuszną karą, to na pewno przyjdzie taki moment, że skłamiesz jeszcze raz i jeszcze raz. I w końcu przestaniesz odróżniać, co jest kłamstwem, a co nie. I jest jeszcze coś. Nikt nie lubi osoby, która kłamie, bo komuś takiemu nie można zaufać. Chciałbyś się przyjaźnić z kimś, kto nie mówi prawdy?

- Nie, nie chciałbym.

- No widzisz. Nikt by nie chciał. Prawdomówność to najważniejsza sprawa, ale i najtrudniejsza, niestety. A wiesz, że czasami milczenie też jest kłamstwem? Na przykład wiesz o czymś, co mogłoby komuś pomóc, ale tobie zaszkodzić, i wolisz milczeć. Bo prawdomówność często wymaga odwagi. Za to taką osobę wszyscy szanują.

- Jak dziadka Einara? Jego wszyscy szanują.

- Zauważyłeś to? To dobrze. Możesz być taki jak on, oczywiście, ale musisz zrezygnować z kłamstwa. To jeden z najważniejszych wyborów w życiu. Od tego zaczyna się wybranie drogi, którą będziesz szedł przez życie. Od ciebie zależy, czy pójdziesz drogą prawdy, czy kłamstwa i oszustwa.

- A spryt? Tata mówił, że tylko sprytni ludzie osiągną szczyty.

- Oj, nie wszystko naraz kolego. „Spryt” to kolejne trudne słowo. Umówmy się, że najpierw dobrze przemyślisz sobie słowo „kłamstwo”. I jak już zdecydujesz, co bardziej ci się opłaca, to porozmawiamy o tym jeszcze raz, a dopiero potem zajmiemy się sprytem.

- No dobrze. To rzeczywiście jest trudne, trzeba nad tym pomyśleć - zgodził się Piotruś.

- A teraz śpij, jutro czeka nas dużo pracy.

- Wiem. Dobranoc.

- Dobranoc.

Magdę zaskoczyła ta rozmowa. Dlaczego rozmawiali o kłamstwie? Myślała, że Piotruś nie ma z tym problemów, czyżby kogoś okłamał? Ona sama nigdy nie kłamała, nie czuła takiej potrzeby, uczciwość była podstawą w jej życiu. Piotruś był zawsze szczerym i otwartym dzieckiem, ale jednocześnie uświadomiła sobie, że nie pamięta, by kiedykolwiek prowadziła z nim takie poważne rozmowy, umknęło jej, że nie jest już małym dzieckiem.

Michał wyszedł na zewnątrz. Położył palec na ustach, nakazując jej ciszę, wziął ją za rękę i poprowadził w stronę ogniska.

- Skąd ta rozmowa? Okłamał kogoś? - spytała, gdy już się trochę oddalili.

- Nie. Twój syn to świetny, myślący chłopak. Zadaje mnóstwo pytań. Rozważa to teoretycznie. Jest bystrym obserwatorem. Lubię te nasze rozmowy. Zastanawiam się, czy ja też taki byłem w jego wieku.

- Pewno tak, skoro wyrosłeś na takiego porządnego człowieka.

- Madziu, zbyt mnie idealizujesz. A wracając do tematu, od wielu lat nie zadawałem sobie takich pytań. Cieszę się, że mam kontakt z Piotrusiem, ta jego ciekawość świata, przenikliwość, świeżość spojrzenia robią na mnie duże wrażenie. Dzieci często nas zaskakują.

Nieraz tego doświadczałem w szpitalu.

Rozdział 34

Ostatni dzień pobytu, jutro wracają do Polski. Zobaczyli wszystko, co sobie wcześniej zaplanowali. Tej wyprawy nigdy nie zapomną. Poznali wielu wspaniałych ludzi, już tęsknią za nimi - i ona, i Piotruś.

Islandia to kraj małych miejscowości, gdzie wszyscy się znają i często spotykają.

Każdy obcy witany jest z zainteresowaniem, brakiem rezerwy i lęku. Miejscowi obdarzają go zaufaniem i chęcią niesienia pomocy - Magda sama tego doświadczyła. Do tej pory mieszkała w dużym mieście, w sercu Europy, wśród setek tysięcy ludzi, u których nie wzbudzała żadnej reakcji, była całkowicie anonimowa.

Zrobili mnóstwo zdjęć - będą wspaniałą pamiątką. Pokochała podróżowanie, codziennie inne widoki, inne spotkania, wrażenia, smaki, kolory. Wszystko się zmieniało, bo byli w ciągłym ruchu. Wieczorem z

nadmiaru wrażeń nie mogła zasnąć.

Błękitna laguna, coś niesamowitego - kąpiel w ciepłej, mlecznobłękitnej bardzo słonej wodzie to nie tylko wielka przyjemność. Ta woda ma właściwości lecznicze, można się w niej kąpać nawet zimą. A Grindavik, port rybacki... Wypłynęli dużą łodzią i oglądali wieloryby, które często tam przyplływają. Olbrzymie wspaniałe stworzenia. Oprócz tego gejzery, wodospady - będzie o czym opowiadać dziewczynom w Polsce.

Od czterech dni mieli stały kontakt z Konradem. Pisał maile i dzwonił, chciał wiedzieć o wszystkim. Wysyłali mu mnóstwo zdjęć, aż się dziwiła, że przy tym nawale zajęć w Nowym Jorku znajdował czas, by to wszystko przeglądać, komentować i pytać o każdą rzecz. Zamęczał telefonami Piotrusia, aż próbowała interweniować. Prosiła, by dał chłopcu spokój, przecież będzie wiele czasu na opowiadanie w domu, po powrocie. Teraz dzieciak sam chciał jak najwięcej zobaczyć, poznać, przeżyć. Wieczorem zasypiał błyskawicznie, ledwo położył się do łóżka. Niestety, Konrad ignorował jej prośby.

Widziała, że często kontaktował się też z Michałem, a ten po każdej rozmowie posepniał, uciekał gdzieś myślami. Miało to wpływ na ich serdeczne kontakty, wręcz dusiło całą radość. Była o to zła na męża.

W stosunku do niej Konrad był bardzo miły, ale mu nie ufała. Stale wypytywał, jak się czuje albo co ją zachwycało. Zapewniał, że bardzo tęskni, że chciałby razem z nimi oglądać to, co podziwiał tylko na zdjęciach. Musiała przyznać, że nie brakowało w tym uczucia, ale wyczuwała, że coś jest nie tak - za dużo, za czule, za grzeczne to wszystko było. Zastanawiała się, czym ją rozczaruje, w czym po raz kolejny zawiedzie.

Znowu zamieształ w jej uczuciach, przewracał do góry nogami wcześniejsze przemyślenia. Wspomniała mu, że zaczęła malować i postanowiła na serio wrócić do malarstwa. Był zachwycony, namawiał ją gorąco. Przynajmniej z tym nie będzie miała problemów. Natomiast nalegał, by przeprowadziła się do Warszawy, że tak będzie najlepiej dla Piotrusia. Nie chciała się z nim kłócić na odległość, taką niesamowitą odległość, ale była przeciwna. Nie podobał jej się ten pomysł, nie widziała siebie w obcym mieście i nie odpowiadało jej, że to znowu on przemyślał sprawę, on zdecydował, on wyznaczył jej rolę dopasowującej się do jego planów. Nie była już uległą osobą dryfującą po rzece życia.

Wyzaczyła sobie zadania do wykonania i cele, które zamierzała osiągnąć. To nie były tematy do rozmów telefonicznych. Nie chciała się śpieszyć, potrzebowała spokoju i konsekwencji w działaniu, a jego pomysły wprowadzały chaos. Na razie zbywała go, twierdząc, że na wszystko przyjdzie czas, teraz bierze udział w wyprawie swojego życia i na tym chce się skupić. Czuła, że go tym drażni, ale jej to nie przeszkadzało, wprost przeciwnie, dodawało jej pewności, że sama o sobie decyduje, że sobie poradzi.

Michał rozumiał to jak nikt inny. On również przywiązywał wagę do instynktu, do energii, którą człowiek czerpał z natury. Jego także pobyt na tej wyspie odradzał - wracał do Polski, do kliniki, wypełniony energią i wiarą w sens swojej walki. Czuła, że w tej chwili był

najbliższą jej osobą. Kimś, kto nigdy jej nie zawiódł, był z nią w najtrudniejszych chwilach.

To jemu ufała... O wiele bardziej niż mężowi... I to ją niepokoiło.

Rozmawiała też przez telefon z Hanią i Adą. Żaliły się na ponadtrzydziestostopniowe upały, które opanowały Polskę. Obydwie zazdrościły jej chłodu Rejkiawiku i czekały z utęsknieniem na swoje urlopy. I tak codzienność skracała jej radość pobytu na wyspie.

Zaczynała tęsknić za brakiem zasięgu dla telefonów, jak było na początku wyprawy. Miała uczucie, że jedną nogą stoi w tym cudownym mieście pełnym życzliwych, uśmiechniętych i gościnnych ludzi, a drugą w Polsce, w swoim życiu, swoich problemach, które ją coraz mocniej absorbowaly.

Pakując rzeczy Piotrusia, natknęła się na piękny rysunek. Niebieskie niebo, słońce na horyzoncie, a na ciemnych morskich falach rozlana żółta plama składająca się z mnóstwa małych rybek.

- Piotrusiu, jakie to piękne, kiedy to namalowałeś?

- A, to. To chyba jak wróciliśmy z wyprawy na wieloryby - przypomniał sobie.

- No tak, tylko że wieloryby były bardzo duże, pamiętasz?

- Mamo, to nie są wieloryby, tylko złote rybki. Było ich tak dużo, że wyglądały jak złoty dywan leżący na falach. Nie widziałaś? Musi ich być tak dużo, całe miliony, bo każdy człowiek ma jakieś marzenie, które ma się spełnić. Jedna złota rybka by sobie nie poradziła.

Jej mały synek nie przestawał ją zaskakiwać.

Ustalili z Michałem, że Hallgrímskirkja odwiedzą dopiero na zakończenie wyprawy.

W końcu kościół był głównym celem ich podróży, niech więc symbolicznie zamknie całą wyprawę. Tak się to jakoś samo ułożyło - odwrotnie, niż planowali na początku. Teraz wydawało jej się to najlepszym rozwiązaniem. Chce zobaczyć tę świątynię i podziękować za wyprawę na koniec świata. Zastanawiała się, dlaczego w snach pojawiła się właśnie Islandia.

Teraz wiedziała, że to kraj wyjątkowy. Rozległe dzikie przestrzenie, nieokiełzane przez człowieka. Tu natura narzucała sposób życia, myślenia, przeżywania.

Poczuła, że ta podróż pozwoliła jej zamknąć pewien etap w życiu, wyznaczyć sobie nowe cele, a najważniejsze - pomogła jej choć trochę zrozumieć samą siebie.

Szli, trzymając Piotrusia za rękę. Z każdym krokiem potężniała przed nimi bryła świątyni. To zdecydowanie nie był kościół z jej snów, chociaż to właśnie jego sylwetka wezwała ją do Rejkiawiku.

Pomnik Leifa Erikssona - sławnego wikinga, odkrywcy - stał na wysokim postumencie na sporym placu przed kościołem. Mężczyzna z dumnie podniesionym czołem.

W prawej ręce trzymał olbrzymi topór, a w lewej krzyż. Do pasa miał przyczepiony miecz.

Ubrany był w kolczugę i powiewającą pelerynę.

Piotruś stanął przed pomnikiem w podobnej pozycji, zrobił srogą minę i poprosił o zdjęcie z groźnym wikingiem. A później Michał musiał mu opowiedzieć wszystko, co o nim wiedział. Magda czekała cierpliwie na koniec historii, bo nie miała odwagi sama wejść do środka.

Drewniane duże drzwi prowadziły ich do przedsionka, a stamtąd do wnętrza świątyni.

Było ogromne, strzeliste i jasne. Szli powoli po szarym chodniku na kamiennej posadzce.

W tym samym kolorze były obicia drewnianych ławek. Jasne ściany bez obrazów, złocen, rzeźb tworzyły surowe, ascetyczne wnętrza. Podobało jej się to, bo było tak bardzo inne od ciemnych barokowych wnętrz polskich kościołów. Nie było tu tego specyficznego zapachu...

światości. Zapachu ławek ze starego drewna wyślizganego ubraniami wiernych, wędnących kwiatów i świec.

Na tej wyspie wszystko było inne, przywykła do tego. Duża liczba wąskich, smukłych okien sprawiała, że było miło, radośnie, jasno. Niewiele osób, głównie turystów, przechadzało się, podkreślając pustkę.

Michał z Piotrusiem zatrzymali się na dłużej przy wspaniałych olbrzymich organach, ją najbardziej interesował ołtarz. Musiała przejść całą długość kościoła, by tam dotrzeć.

Jeszcze nigdy nie widziała czegoś tak skromnego, pięknego w swojej prostocie. Na półkolistym podwyższeniu stał samotnie stół ofiarny przykryty białym obrusem. Na nim postawiono cztery pojedyncze metalowe świeczniki z białymi świecami. Między nimi umieszczono dwa białe wazon-y z jakimiś drobnymi kwiatkami, wyglądały jak polne.

W środkowej części dostrzegła srebrny krzyż. Gdy podeszła do kamiennych schodów, zobaczyła, że ołtarz stał jakby w niebie. Liczne okalające go okna wypełnione były błękitem i bielą chmur. To tło nieustannie się zmieniało, ponieważ na zewnątrz wiał silny wiatr.

Odetchnęła z ulgą, uspokajała się, opadło z niej całe napięcie, w którym żyła od rana.

Ten kościół wydawał jej się taki czysty, jasny, prosty, brakowało jej właściwego słowa na jego określenie. Może dziewiczy? Nie czuła w nim żadnej tajemnicy, historii, starych dziejów, ukrytych

kodów... Tylko przestrzeń i światło. Uśmiechnęła się zadowolona i zawróciła.

Powoli szła w stronę organów. Zajmowały całą ścianę nad drzwiami wejściowymi.

Były piękne, błyszczały srebrem niezliczonej liczby piszczałek przeróżnej wielkości i grubości. Stanowiły największą ozdobę tej świątyni.

W połowie drogi postanowiła usiąść i pomodlić się. Michał z Piotrusiem oglądali drewnianą rzeźbioną ambonę i kryształową chrzcielnicę. Widziała, że mężczyzna był stale pochylony w stronę jej syna, a ten bez przerwy pokazywał na coś palcami. Mały z pewnością maksymalnie wykorzystywał wiedzę Michała.

Przymknęła oczy. Czowała się dobrze, lekko, radośnie. Cieszyła się, że jest w tym miejscu, daleko od wszystkiego, co przeżywała wcześniej. Poczwała się tak, jakby zamknęły się drzwi do poprzedniego etapu w jej życiu, tam w Polsce. Tu zaczynało się coś nowego, jasnego, radosnego, wypełnionego nadzieją. Była znowu dziewczyną, przed którą otwierał się świat wielu możliwości. Zrozumiała, że czasami trzeba wyjechać daleko, by zobaczyć siebie i swoje życie z innej perspektywy.

Nagle poczuła, że z boku rozbłysło światło, otworzyła oczy. Promienie słońca utworzyły poświatę długich pasm przecinających przestrzeń świątyni. I wtedy ich zobaczyła.

Sara, uśmiechnięta, szczęśliwa, szła, trzymając za rękę Konrada. On nachylony w jej stronę uśmiechał się do niej. Ona mówiła coś do niego, on potakiwał głową. Słyszała odgłos ich kroków na kamiennej posadzce.

Spełniło się największe marzenie jej życia: Konrad i Sara, uśmiechnięci, zagadani, szli, trzymając się za ręce... I wtedy chmury przysłoniły słońce, znikły srebrzyste promienie, znikł obraz.

W stronę Magdy rzeczywiście szła jakaś córeczka z ojcem, trzymali się za ręce, rozmawiali. Byli coraz bliżej, teraz słyszała, że mówią nieznanym jej językiem. Jak mogła być taka naiwna, cuda się nie zdarzają. Jej córeczka nigdy nie pójdzie z tatą na spacer. Konrad nie będzie się do niej uśmiechał, ani trzymał za rączkę. Łzy popłynęły jej po policzkach. Ta dziewczynka miała nawet jasne warkoczki, takie jak Sara... Ale nie była nią...

Poczwała czyjaś dłoń na ramieniu, odwróciła się i zobaczyła niebieskie oczy Michała.

Przytulił ją mocno, a ona rozplakała się.

- Co się stało? - zapytał, wycierając jej policzki chusteczką.

- Jestem wariatką. - Machnęła ręką. - Przed chwilą w promieniach słońca zobaczyłam Sarę i Konrada. Szli, trzymając się za ręce, byli tacy szczęśliwi.

Michał zbladł, odsunął się o krok.

- Nie, nie, to pomyłka oczywiście, to tamci ludzie, widzisz ich? - pokazała mu. - Nie obawiaj się, nie tracę zmysłów. - Uśmiechnęła się. - Czasami tak bardzo czegoś pragniemy, że... to idiotyzm. Przepraszam.

- Nie mów tak. Nigdy bym cię nie posądził o szaleństwo. Po prostu zaskakuje mnie twoja wrażliwość, intuicja... Te twoje wizje, sny są niesamowite.

- Ja dopiero próbuję poznać samą siebie, ale to jest trudne.

- Masz rację, to bardzo trudne, ale zarazem fascynujące - podkreślił. - Ale widzę, że nieźle ci to wychodzi.

- Dzięki.

- Chcesz tu jeszcze pobyć, czy możemy już wracać? Widzę Piotrusia przy wyjściu, chyba obejrzał już wszystko, co chciał.

- Czas wracać. To był ostatni punkt naszego programu. Koniec wyprawy, wspaniałej i bardzo ważnej w moim życiu. Byłeś najlepszym przewodnikiem. Dziękuję.

- Nie, nie. Nie żegnamy się przecież. Nasza podróż wciąż trwa, absolutnie nie jest skończona. Jeszcze wiele przed nami.

Wziął ją za rękę i ruszyli w stronę wyjścia.

Document Outline

- [Podziękowanie](#)
- [Rozdział 1](#)
- [Rozdział 2](#)
- [Rozdział 3](#)
- [Rozdział 4](#)
- [Rozdział 5](#)
- [Rozdział 6](#)
- [Rozdział 7](#)
- [Rozdział 8](#)
- [Rozdział 9](#)
- [Rozdział 10](#)
- [Rozdział 11](#)
- [Rozdział 12](#)
- [Rozdział 13](#)
- [Rozdział 14](#)
- [Rozdział 15](#)
- [Rozdział 16](#)
- [Rozdział 17](#)
- [Rozdział 18](#)
- [Rozdział 19](#)
- [Rozdział 20](#)
- [Rozdział 21](#)
- [Rozdział 22](#)
- [Rozdział 23](#)
- [Rozdział 24](#)
- [Rozdział 25](#)
- [Rozdział 26](#)
- [Rozdział 27](#)
- [Rozdział 28](#)
- [Rozdział 29](#)
- [Rozdział 30](#)
- [Rozdział 31](#)
- [Rozdział 32](#)
- [Rozdział 33](#)
- [Rozdział 34](#)

Table of Contents

[Podziękowanie](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)